teksty DRUGIE

INTELEKTUALIŚCI I ESTECI

z treści:

Zygmunt Bauman
Intelektualiści a państwo
Stefan Morawski
Pochwała Leszka Kołakowskiego
Zofia Stefanowska
Michał Głowiński jako badacz nowomowy
Stefan Treugutt
Fides, Spes, Caritas
Edward Balcerzan
Przyboś metafizyczny
Jarosław Marek Rymkiewicz
Kilka szczegółów

4
(16) 1992

Redaguje Kolegium:
Włodzimierz Bolecki, Tomasz Burek,
Jerzy Jarzębski, Zdzisław Łapiński,
Anna Nasiłowska (zastępca redaktora naczelnego),
Ryszard Nycz (redaktor naczelny)

Sekretariat redakcji:
Jacek Kopciński,
Joanna Łuczyńska (sekretarz redakcji)

Stale współpracują:
Edward Balcerzan, Stanisław Barańczak,
Jan Błoński, Michał Głowiński,
Czesław Hernas, Janusz Sławiński

Adres redakcji:
00-330 Warszawa, Nowy Świat 72,
Pałac Staszica, pokój 128,
tel. 26 52 31, w. 101

teksty DRUGIE 4 1992
Dwumiesięcznik Instytutu Badań Literackich PAN
TEORIA LITERATURY KRYTYKA INTERPRETACJA

Intelektualiści, esteci i myśl praktyczna

Intelektualiści i esteci wiele mają cech wspólnych, choć nie ma powodu ukrywać, że obecny kształt numeru „Tekstów Drugich" jest wynikiem pewnego zbiegu okoliczności, a nie przemyślanej i zaplanowanej z góry koncepcji. Okoliczności, gdy im jeszcze w tym lekko pomagać, lubią układać się jednak w całkiem nieprzypadkowe i dające do myślenia wzory. Ten właśnie, zetknięcie dwóch obszarów o zastanawiających zbieżnościach, narzucał się w sposób nieodparty. Bo czyż oba określenia nie traktowane były z ironicznym dystansem? „Ach, intelektuele" — zwykli mawiać pobłażliwie ci, co uważają się za „ludzi czynu", wymawiając ten wyraz specjalnie nosowo, „tak z francuska", żeby nie ulegało wątpliwości, że mają im do zarzucenia przerafinowanie nie mogące przysłużyć się realizacji celów praktycznych.

„Ach, esteci..." — tu raczej „człowiek praktyczny" wyda z siebie westchnienie, ma bowiem do czynienia z klasą osobników kompletnie oderwanych od normalnych, życiowych hierarchii. Gdybyż mogli dowodzić swojej przydatności tak, jak Han Yu, żyjący na przełomie VIII i IX wieku, który dowiedziawszy się o trapiącej pewną prowincję Chin pladze krokodyli, napisał i odczytał nad brzegiem rzeki skierowany do nich list, w którym zażądał, żeby się wyniosły. Odnósł on skutek prawie natychmiastowy, krokodyle zniknęły bowiem następnego dnia, podczas gdy nie słyszano ani o pozytywnych skutkach ody do słowika, ani nawet o tym, aby apele o pokój sygnowane nazwiskami największych mędrców

powodowały zakończenie wojen czy zmiękczały ludzkie serca w sprawie ratowania zagrożonych gatunków zwierząt i dewastacji środowiska naturalnego. Z jednym, znamiennym wyjątkiem: owych apeli i listów, nawet w dość konkretnych i ograniczonych sprawach, bala się niezmiennie władza komunistyczna. Nie pisano do władzy, aby „zniosła się sama", ale na przykład grzecznie proszono o większy przydział papieru. Jestem przekonana, że już teraz zrozumienie reakcji wściekłości i represji, jakie taka petycja zwykle wywoływała, nastręczyłoby dużo trudności sporej liczbie młodych ludzi.

Ideologizacja całego życia powodowała zmiany ról społecznych i zaburzenia w sferze wartości. Też dziwne, ale najwięcej wątpliwości — ze wszystkich stron — budziła rola estety. Toteż jeśli twórczość Przybosia znajduje się od wielu już lat „w czyśćcu", podejrzana o czystą ekwilibrystykę słowną bez „głębszego znaczenia", jest to w dużej mierze wynikiem sytuacji, że od wielu już lat tryumfowała pewna odmiana moralizmu, nakładająca na każdego, kto posługuje się słowem, obowiązki polityczne sprawowane przez ten rodzaj elity „zamiast" nie mogącej się wypowiedzieć większości — w jej imieniu. To rzeczywiście romantyczna rola, pociągająca za sobą także romantyczne mistyfikacje.

Do przenikliwej, ale i budzącej grozę analizy Zygmunta Baumana (która w prezentowanej przez nas wersji jest jedynie fragmentem obszerniejszego tekstu) dałoby się dopisać osobny rozdział tyczący sytuacji intelektualisty wschodniego po rozpadzie systemu. Krytyczny stosunek do rzeczywistości był przez wiele ostatnich lat cechą konstytuującą tę szczególną klasę. Stefan Morawski ma zapewne rację uznając wadzenie się z Bogiem za motyw przewodni pisarstwa Leszka Kołakowskiego, ale zaczynając rzecz od innej, może banalniejszej, bo oczywistej strony tym motywem można by uczynić spieranie się z różnymi wersjami świeckiej wizji teleologicznej. W momencie gdy spór ten wygasa, a w każdym razie nabiera jedynie historycznego znaczenia, kończy się też rola (a może nawet więcej: misja) wschodniego intelektualisty, która na ustabilizowanym Zachodzie wywoływała cień zazdrości.

W dzienniku Mircei Eliadego pod datą 16 lutego 1949 znajduje się notatka o zebraniu rumuńskich emigrantów. Eliade zwołał ich by przedyskutować sprawę m i s j i p o l i t y c z n e j, jaką historia nałożyła na intelektualistów: „W wojnie religijnej, w którą zostaliśmy wciągnięci, przeciwnik zwalcza tylko elity, a te dla dobrze zorganizowanej policji nie stanowią trudnego łupu. Dlatego właśnie w naszych czasach uprawianie kultury to

jedyna skuteczna polityka, jaką uprawiać mogą emigranci. Tradycyjny układ został odwrócony: to już nie politycy znajdują się w żywym, konkretnym centrum historii, tylko uczeni, «elity intelektualne»" (przeł. A. Zagajewski). Otóż i mamy dokładne odwrócenie „kompleksu nieudacznika". A przy tym zdania te brzmią dziwnie podobnie do wygłaszanych wiele razy w środowisku polskim, nie tylko emigracyjnym.

Z całą pewnością istniało coś takiego, jak wspólny etos intelektualisty wschodniego. Emigracja była jego ważną częścią, stanowiła krystalizację tej postawy oczyszczoną z elementów kompromisu. Te same wartości można jednak z łatwością wskazać w polskim marzeniu o „kulturze niezależnej", w której emigracja spotkałaby się z krajowym oporem stanowiąc coś w rodzaju niezależnej krainy ducha, alternatywy dla struktur i wartości tworzonych przez państwo. Intelektualista wschodni, niezależnie od tego, czy zajmował się filozofią, historią, literaturą, czy socjologią, jeśli miał świadomość dokonanego wyboru, żył w poczuciu, że wypełnianie owej misji stanowi kompletną odpowiedź na pytanie o sens uprawianego zawodu. Niezależnie bowiem od specjalności owym sensem była negacja zastanego i wskazywanie alternatywy, najczęściej w postaci kultury zachodniej, wyjąwszy takie przypadki, jak Solżenicyn. I to niezależnie od całej świadomości krytycznej wobec współczesnych form kultury masowej, amerykanizacji, nieuchronnej komercjalizacji, społeczeństwa konsumentów itd.

Świadomie podkreślam tu ową „wschodnią" wspólnotę dążeń i wartości, pomijając całą kwestię Europy Środka, wyłansowaną być może w celach politycznych, ale skwapliwie podchwyconą ze względów prestiżowych, by nie rzec: snobistycznych. Intelektualistę polskiego, rumuńskiego, rosyjskiego łączyło wiele: przede wszystkim wspólna sytuacja wobec systemu — i niezwykłe prerogatywy w świecie ducha. W porównaniu z nimi materialne ubóstwo wydawało się doprawdy rzeczą mało znaczącą, nie wartą wspominania. Zachodni intelektualista odnosząc sukces, czyli stając się znany, mógł liczyć na porównywalną sytuację duchowego przywództwa tylko jeśli lansował lewicowość i kusił wizją odwrotną niż jego wschodni odpowiednik.

Sytuację dzisiejszą można określić tylko jako szok. Pospieszne przechodzenie wielu dawnych autorytetów intelektualnych do polityki i zużywanie się w niej, pogłębienie materialnej degradacji profesji związanych z nauką — to tylko objawy procesu całkowitego rozpadu misji. Zostaliśmy wrzuceni w świat trochę podobny do tego, jaki opisuje Bauman. Tylko trochę jednak

— bo są także istotne różnice poziomu edukacji i zamożności społeczeństwa — i co za tym idzie dużo mniejsze zapotrzebowanie na „płatnych ekspertów". To, że temu procesowi nie towarzyszy właściwie żadna refleksja, jest tylko dowodem, że jest to szok niezwykle głęboki. I że właściwie nie ma języka, którym można by to opisać, zbyt wiele skojarzeń z odrzuconym językiem krytyki marksistowskiej, przy czym same formy rzeczywistości nie są na tyle ustabilizowane by, miast życzliwego wsparcia, obciążać je krytyką. To powoduje, że mimo owego wspaniałego obszaru niezależności, na który złożyły się solidne i rzetelne tomy, cała biblioteka książek, za którymi stoją przecież ich wspaniali autorzy reprezentujący światowy poziom, właściwie wszystkie ważkie wybory społeczne obywają się bez refleksji intelektualnej, w atmosferze naładowanej emocjami, bez pełnego i wiarygodnego rozpoznania ich długofalowych konsekwencji i przygotowania. Ów „płatny ekspert" sam musi się bronić przed redukcjonistami i zwolennikami „praktyczności", a nie może się przy tym pochwalić, że jego artykuły przynoszą skutki podobnie dobroczynne jak „List do krokodyla". W ogóle nie wiadomo, jak mierzyć płynące z nich pożytki. Błędem byłoby jednak sądzić, że one nie istnieją. Kategorie związków przyczynowo-skutkowych opisują świat w sposób bardzo przybliżony. Niby o tym wiemy, ale w dzisiejszej polskiej sytuacji mniejszym szaleństwem i zuchwałością wydaje się już bronienie tezy o bezpośrednim związku jaki zachodzi między zaklęciami szamana a — powiedzmy — pojawieniem się deszczu niż dowodzenie niezbędności intelektualistów w społeczeństwie cywilizowanym i w związku z tym żądanie zarobków pozwalających na kupowanie książek i czasopism (np. „Tekstów Drugich"). Prosty probabilizm właściwy przedstawicielom dziedzin uznawanych za praktyczne, czyli takie, gdzie skutki działań są wymierne i łatwe do określenia, oraz ekonomistom, którzy niewątpliwie nie czytali paszkwilu Donalda McCloskeya zaprezentowanego przez nasze pismo w zeszłym roku, odcisnął swoje piętno nawet w IBL-owskim korytarzu. Obecny stan ducha można określić jako mieszaninę głębokiej frustracji połączonej z kompleksem winy, że te luksusowe wytwory ducha, których niezbędności nie sposób prosto dowieść — jednak kosztują i to sporo.

Jeszcze kilka lat temu krytyk literacki mógł uważać siebie za kogoś sterującego społeczną świadomością, zajmującego się generalną przebudową wizji świata, dokonującego ważkich wyborów, ideowca i trochę cierpiętnika. Taki mały (albo i całkiem spory) Brzozowski, abstrahując od skaz na biografii, które całe szczęście nie wszyscy noszą. Książki jakoś

zawsze znajdowały czytelników, uczestniczyły w jakiejś uniwersalnej kreacji rzeczywistości ducha. Teraz powinien wiedzieć, że bierze udział w handlu, w sterowaniu procesami komercjalnymi. Jego towar co prawda luksusowy — ale towar. A że rynek jest i skromny, i trudny — powodów do samozadowolenia nie ma.

Jakiś czas temu „Arka" zorganizowała ankietę dotyczącą intelektualistów. Kolejni respondenci, niewątpliwie należący do elity, odpowiadali w niej, że intelektualistami chyba się nie czują, skądże, intelektualista to ktoś, kto czyta Nietzschego jeszcze przed śniadaniem, przy poobiedniej kawie sięga po europejskie dzienniki, a w ogóle dnie spędza na rozważaniach bynajmniej nie o tym, skąd wziąć pieniądze na zapłacenie rachunku za telefon. Nie można stąd jednak wyciągać wniosku, że grupa ta nie istnieje lub właśnie zanika, ale że przywiązana jest jeszcze do swojego wczorajszego statusu. Bycie intelektualistą to rodzaj archaicznego, kulturalnego obrzędu, na który składa się kultywowanie pojęć i zwyczajów, tym różniących się od obrzędu estety, że gdy jeden ma na celu prawdę, drugi poszukuje piękna. Tylko że esteta to zjawisko dużo rzadsze, może rzeczywiście już należące do przeszłości. Może Przyboś był ostatnim z wielkich? Gdy czyta się „Zapiski bez daty" (a jest to jedna z lektur, do których powracam bardzo często) można napotkać rozważania o doskonałości greckiego obrazu różanopalcej jutrzenki, która wstępuje na niebo, i pytania brzmiące jak z odległej epoki: „Czyżbym wymagał od słowa za wiele, czyżbym zmuszał zdanie do funkcji za trudnych?"... Esteci oczyścili się właśnie z ciążącej na nich dwuznaczności, odkąd poglądy na sztukę stały się sprawą prywatną i nie podlegają w tym stopniu społecznej presji. Sztuka czysto bezinteresowna jest pojęciem, na którym zalega gruba warstwa kurzu, nie posługiwano się nim bowiem od lat wiedząc dobrze, że nie takim kluczem otwiera się drzwi, przed którymi staliśmy. Nie znaczy to, że nie otwiera on już żadnych innych.

Anna Nasiłowska

Redakcja „Tekstów Drugich" przeprasza

W numerze 6/1991 wydrukowaliśmy listy Mirona Białoszewskiego do Marii Janion bez wiedzy i zgody właściciela praw autorskich, Pana Leszka Solińskiego, za co go niniejszym przepraszamy.

Proponujemy Państwu sprzedaż wysyłkową wybranych książek Oficyny PEN (podane niżej ceny uwzględniają koszt przesyłki!)

Marta Piwińska ***Juliusz Słowacki od duchów***, s. 500, cena 47 000 zl

„Autorka przymusiła mnie do nowej lektury *Króla-Ducha*, wręcz zachwycała bogactwem swej krytycznej wyobraźni, precyzją odkrywczej lektury, brawurą wypowiedzi, budziła zgorszenie nonszalancją, co chwila zmuszała do własnego formułowania stanowiska... Chciało się klaskać i gwizdać podczas lektury. Przeważnie jednak klaskać. To ciekawa, chwilami wręcz fascynująca książka" (S. Treugutt).

Michał Głowiński ***Rytuał i demagogia. Trzynaście szkiców o sztuce zdegradowanej***, s. 177, cena 33 000 zł

„Krótki kurs WKP(b)" jako opowiadanie mityczne, *Jak czekista z czekistą*, *Artysta na totalitarnym dworze*, *Wiersze na sześćdziesiąte urodziny Bolesława Bieruta*, *Wokół „Poematu dla dorosłych"*, *Socparnasizm* — i inne szkice o socrealizmie, których bohaterami są m. in. Andrzejewski, Borowski, Brandys, Panufnik, Szostakowicz, Ważyk.

Stanisław Barańczak ***Zwierzę słucha zwierzeń. Małe bestiarium z angielskiego***, s. 136, format B5, cena 30 000 zł

Trzydzieści sześć wierszy trzydziestu sześciu poetów zwracających się do lub mówiących o mniej więcej tyluż zwierzętach — w wyborze i przekładzie Stanisława Barańczaka, z ilustracjami Michała Braniewskiego (wydanie dwujęzyczne). Książka dla wszystkich, nawet dla najbardziej wybrednych!

Do każdego zamówienia obejmującego 3 tytuły dodajemy gratis książkę-niespodziankę!

Zamówienia realizować będziemy **po wpłynięciu należności** na konto **IX O. PKO Warszawa 1599-309725-136** z zaznaczonymi **tytułami zamówionych książek** oraz liczbą egzemplarzy.

Szkice

Zygmunt Bauman

Miłość wbrew przeciwnościom. Intelektualiści a państwo

Skoro grupa owa uskarża się na swój los, znaczy to, że istnieje.
Paul Valéry

Wiadomo, że niestety na pytanie: kim są intelektualiści? trudno udzielić zadowalającej odpowiedzi. Ale też właściwie nie sposób odpowiedzieć na pytanie, kto jest intelektualistą, w formie odznaczającej się względną skutecznością operacyjną. Pytanie pierwsze dotyczy roli, funkcji, usytuowania w systemie. Pytanie drugie zaś odnosi się do cech osobowościowych pozwalających ich nosicielom wypełniać wspomnianą rolę i zajmować wspomnianą pozycję (lub ich do tego uprawniających). Związek pomiędzy pierwszym a drugim pytaniem był od stu lat przedmiotem gorących sporów zarówno na płaszczyźnie teoretycznej, jak i w praktyce, która obalała wszelkie teoretyczne propozycje. Łatwo zrozumieć, dlaczego tak się działo, gdy weźmie się pod uwagę, że kimkolwiek są intelektualiści, to właśnie oni sami — i tylko oni — tworzyli definicje i je kwestionowali. Każda próba zdefiniowania pojęcia „intelektualista" jest próbą samookreślenia się; każda próba uzgodnienia lub zanegowania statusu intelektualisty jest próbą autokonstrukcji. Definiowanie i spory w kwestii definicji są jądrem autoprodukcji i autoreprodukcji. Istotnie, zgodnie

z parafrazą myśli Kartezjusza dokonaną przez Paula Valéry — użalają się na swój los, więc są...

Poza tym intelektualiści tworzą „mgławicę społeczną". Ma ona cechy właściwe wszystkim innym mgławicom: „Im uważniej się w nią wpatrywać, tym bardziej zanikają jej kontury, a jej forma rozpływa się lub się przemieszcza"[1]. Czego jednak Valéry nie uwzględnił, to tego, że jeśli chodzi o tę szczególną mgławicę, żadne spojrzenie z dystansu nie jest możliwe. Wszelkie relacje na jej temat docierają z wewnątrz i w większym lub mniejszym stopniu tam pozostają. Mgławica ta zawsze jest obserwowana z bliska; raczej domyślamy się jej konturów niż je postrzegamy. W końcu kontury te zakreśla się w sposób dowolny, i można się zastanawiać, czy w ogóle by istniały, gdyby ich uporczywie nie rysowano stale od nowa.

Pamiętamy, co powiedział Hegel: sowa Minerwy rozpościera swoje skrzydła o zmierzchu. Intelektualiści zaczęli postrzegać siebie samych jako intelektualistów (zamiast jako dziennikarzy, pisarzy, poetów, artystów czy profesorów uniwersyteckich) dopiero u schyłku XIX w., kiedy to wspólnota ich zadań (jeżeli w ogóle kiedykolwiek istniała) była już ledwie wspomnieniem i być może tylko snem. Ich widzenie siebie jako intelektualistów, i mówienie o sobie jako o intelektualistach, miało służyć połączeniu rozproszonych podówczas sił. Był w tym ukryty — pod pozorem rekonstruowania przeszłości — postulat na przyszłość. Był to też program zakamuflowany w formie swoistego „raportu o stanie gry". Był to wreszcie przejaw dążenia to tego, aby uczynić tę grupę większą niż suma jej części składowych; aby jako zbiorowość uprawomocnić i wywalczyć mogła taką rolę, której nie dałoby się zredukować do wyspecjalizowanych ról zawodowych wypełnianych jednostkowo, aby wreszcie osiągnąć i utrzymać, również wspólnie, funkcję duchowego przewodnictwa w społeczeństwie, strażnika i cenzora jego wartości — czego ani poeci, ani filozofowie, ani aktorzy nie mogliby domagać się z racji swoich indywidualnych zalet. Ta przyznawana im dawniej funkcja została dziś utracona. Istnieje potrzeba jej przywrócenia — ale tym razem trzeba by ją wydrzeć z tych samych rąk, które niegdyś życzliwie ją dały. Zarówno wtedy, jak i obecnie, były to ręce Państwa.

Z zasady ambiwalentna współzależność warstw wykształconych i politycznych administratorów ustalonego porządku tłumaczy istniejącą

[1] P. Valéry *History and Politics*, transl. D. Folliot and J. Mathews, New York 1962, s. 80.

obecnie zbieżność pomiędzy dwiema pozornie sprzecznymi tendencjami, które skądinąd mogłyby wprawiać nas w konfuzję. Z jednej strony obserwujemy na całym świecie niespotykane dotychczas podwyższenie statusu i wpływu tych wszystkich zawodów, które przez większą część naszego stulecia stanowiły wylęgarnię intelektualistów. Z drugiej strony, skłonność intelektualistów do samozadowolenia, do wsłuchiwania się we własne głosy, do przemawiania we własnym imieniu, do wołania o prawo kolektywnego wyrokowania o najdonioślejszych sprawach publicznych — jak należy sądzić, wszystko to zawiodło w ślepą uliczkę. Dużo rzadziej niż to bywało niegdyś słyszy się o nowych „manifestach intelektualistów". Tylko sporadycznie udaje się im wskrzeszać poczucie ponadzawodowej, intelektualnej jedności, z reguły wówczas, gdy przywileje zawodowe są zagrożone i kiedy ktoś, kto przynależy do grona intelektualistów spotka się z niewłaściwym — w ocenie innych członków tego środowiska — potraktowaniem. Rzadko się zdarza, aby przedstawiciele rozmaitych grup zawodowych czuli się sprowokowani do opowiedzenia się po stronie zasad wykraczających poza ściśle intelektualne kwestie i zainteresowania. Z drugiej strony grupy te na co dzień i z urzędu zajęte są publiczną obroną swoich własnych, pieczołowicie wydzielonych sfer. Chirurdzy i konsultanci bronią szpitali, profesorowie bronią uniwersytetów, a nauczyciele — szkół, artyści domagają się większych funduszy na teatry, orkiestry symfoniczne i przemysł filmowy. W rozmowie z Alessandro Fontaną i Paquale Pasquino, po raz pierwszy opublikowanej w 1977 roku, Michel Foucault ogłasza odejście w zaświaty intelektualisty „uniwersalnego". W odróżnieniu od „uniwersalnego", intelektualista „wyspecjalizowany" „nie zwykł w pracy swojej odwoływać się do tego co «uniwersalne», «wzorcowe», «zawsze słuszne i prawdziwe», działa bowiem w obrębie «specyficznych sektorów», w «ściśle określonych punktach», wyznaczonych przez warunki życia i pracy". Wymarły już dziś „intelektualista uniwersalny", jak sugeruje Foucault, był niezależnie od swoich obowiązków zawodowych przede wszystkim pisarzem; ale „działalność pisarska" utraciła już swój prestiż.[2] Na scenę weszli „intelektualiści wyspecjalizowani", którzy przede wszystkim są profesjonalistami — prawnikami lub psychiatrami, lekarzami lub specjalistami od spraw społecznych, pracownikami laboratoriów

[2] M. Foucault *Truth and Power*, transl. C. Gordon, w jego książce *Power Knowledge. Selected Interviews and Other Writings 1972–1977*, Brighton 1980, s. 126 i nast.

badawczych lub socjologami — bez względu na to, o czym piszą, i czy w ogóle piszą. Intelektualista uniwersalny był także potomkiem „jurysty lub w każdym razie kogoś, kto uosabiał uniwersalność sprawiedliwego prawa". Intelektualista wyspecjalizowany, przeciwnie, jest „postacią zupełnie innego rodzaju" — stał się ekspertem. Jeśli działa na forum publicznym, „czyni to w imię «lokalnej» prawdy naukowej". Intelektualiści uniwersalni właściwie wyginęli. Nadeszły czasy intelektualistów wyspecjalizowanych. Czy jednak oznacza to, że wyspecjalizowani intelektualiści zastąpili swoich uniwersalnych poprzedników? Czy przejęli ich funkcję, a więc zyskali prawo do ich tytułu?

Foucault zdaje sobie sprawę, że przypisywanie funkcji obywatelskich intelektualistom wyspecjalizowanym może być przyjęte z niedowierzaniem. Co więcej, łatwo temu zaprzeczyć wychodząc z założenia, że intelektualiści wyspecjalizowani zajmują się przede wszystkim zagadnieniami specjalistycznymi, które niewiele obchodzą społeczeństwo. A gdyby nawet było inaczej, to społeczeństwo nie poczuwałoby się chyba do obowiązku uczestniczenia w krucjatach prowadzonych przez profesjonalistów. Panuje też przekonanie, że intelektualiści ci służą ogólnie rzecz biorąc interesom Państwa i Kapitału, albo węziej pojętym, nieco zaściankowym interesom zawodowym. Foucault upiera się wszakże, że „byłoby poważnym błędem niedocenianie ich politycznej roli" na podstawie podobnych założeń. Nawet wówczas bowiem, gdy zajmują się oni wyłącznie swoimi „lokalnymi" prawdami, chcąc nie chcąc muszą wejść w kontakt z władzą polityczną, ponieważ porządek prawdy i porządek władzy pokrywają się ze sobą, a „prawda poza władzą nie istnieje". Z tego też powodu polityka jako taka nie może być oderwana od rozsądku i prawdy.

Spróbujmy zastanowić się się nad „słabą" i „mocną" interpretacją głoszonej przez Foucault apologii profesjonalistów, podniesionych teraz zbiorowo do rangi intelektualistów, nawet jeśli są to intelektualiści wyspecjalizowani. Interpretacja „słaba" byłaby równoznaczna z twierdzeniem, że każdy przedstawiciel klasy wykształconej jest w taki czy inny sposób zaangażowany w dążenie do osiągnięcia, wyartykułowania i szerzenia jakiejś cząstkowej prawdy. Ponieważ zaś działalność owa jest polityczna z natury rzeczy, „uprawiają oni politykę" bezwiednie i z pewnością w sposób niezamierzony (tak jak Molierowski pan Jourdain całe swoje życie mówił prozą). Ale nawet jeśli tak jest, to trudno traktować „psychiatrów i eksperymentatorów" jako współczesnych następców i odpowiedników intelektualistów, odwołując się jedynie do ich „nie-

świadomej polityki". „Silna" interpretacja sugerowałaby natomiast, że skoro wypełnianie przez praktyków ich czysto profesjonalnych zadań jest przyczyną permanentnego, jawnego konfliktu z władcami politycznymi i ich biurokratycznymi pomocnikami, to psychiatrzy, przedstawiciele nauk eksperymentalnych i inni uczeni eksperci nieuchronnie odkryją powiązania pomiędzy bliską ich sercom i umysłom prawdą „lokalną" a bardziej uniwersalnymi „rządami prawdy" ściśle z polityką złączonymi. Staną się oni wówczas „intelektualistami-dla-siebie" [*für-sich*] i chwycą za broń w świadomej walce politycznej, włączając tym samym w orbitę swoich zainteresowań całość kwestii społecznych (zupełnie jak Lukácsowski proletariat, który czerpiąc naukę z zawsze partykularnych i lokalnych zmagań wyzbywa się „fałszywej świadomości" i przyswaja sobie prawdę o swojej misji dziejowej wraz z koniecznością totalnego zaangażowania). Ta „silna" interpretacja przybiera jednak formę empirycznej konstatacji, a więc musi być zestawiona z tym wszystkim, co wiemy o dążeniu współczesnych profesjonalistów do „osiągnięcia politycznej świadomości" i łączenia się w mniej lub bardziej zintegrowane siły polityczne. Dowody na to są skąpe. Wydaje się natomiast, że coraz wyraźniej daje o sobie znać dążenie przeciwne opisywanemu (lub nawet pożądanemu) przez Foucault.

O tej skrajnie odmiennej tendencji świadczy kondycja egzystencjalna „intelektualistów wyspecjalizowanych". Przemiana intelektualistów „uniwersalnych" w „wyspecjalizowanych" oznacza dwie kluczowe zmiany w sposobie konstytuowania się klas wykształconych. Po pierwsze, przedstawiciele tych klas uważani są obecnie za ekspertów. Oznacza to, że nawet ci z nich, którzy mają bezpośrednio do czynienia raczej z mężczyznami i kobietami niż z przedmiotami materialnymi, wchodzą w stosunki z nie-fachowcami (ze „zwykłymi ludźmi") nie jako nauczyciele, doradcy i opiekunowie, ale jako zarządcy: kierują ludzkim postępowaniem zgodnie z posiadaną przez siebie wiedzą, która ma jednak pozostać ezoteryczna i nie „oświeci" „obiektów" zarządzania. Dystans pomiędzy oświecającymi a oświecanymi musi (przynajmniej w teorii) ciągle maleć, aby w końcu zniwelować się zupełnie, a samo oświecanie definiowane jest jako proces budowania między nimi mostu. Tymczasem rozziew pomiędzy ekspertem i odbiorcą usług eksperta ma pozostać (zarówno w teorii, jak i w praktyce) na zawsze znaczny i nieprzekraczalny; w istocie każde kolejne wykonanie ekspertyzy uwidocznia coraz większą różnicę pomiędzy *know-how* eksperta a bezsilnością tych, którzy

uzależnieni są od jego wiedzy i działania. Po drugie, przedstawiciele klas wykształconych postrzegani są teraz jako specjaliści. Oznacza to, że wykonywanie zadań zawodowych dzieli ich zamiast łączyć. Każda specjalizacja musi pozostać czymś ezoterycznym, a w istocie ma być ściśle chronioną tajemnicą, tak aby mogła posłużyć jako instrument degradacji i izolacji „niewtajemniczonych" oraz ochrony „wtajemniczonych" przed intruzami z zewnątrz. I to nie tylko w stosunku do niewykształconych, ale także w kontaktach z innymi specjalizacjami, które stanowią teraz, rzeczywiście czy potencjalnie, konkurencję w stałym zmaganiu o korzystniejsze podziały skąpych zasobów. O ile pojęcie „intelektualistów" obejmuje stosunkowo jednolitą klasę realizującą wspólną misję i dążącą do zespolenia działań, to termin „intelektualiści wyspecjalizowani" wydaje się wewnętrznie sprzeczny.

Harold Perkin w swoim wnikliwym studium na temat historii profesjonalizacji i profesjonalizmu oraz ich wewnętrznych tendencji rozwojowych odkrył, że powszechna dziś postawa profesjonalistów wobec ludzkich „obiektów" ich ekspertyz jest wyrazem arogancji i pogardy myślowej.[3] Zwrócił on uwagę na „kolektywną protekcjonalność profesjonalistów w stosunku do tych, których postrzegają oni jako niepojętne masy, niezdolne do zrozumienia ich przesłania". „Masy" to zbiorowy obiekt ich działań, a nie partnerzy do rozmowy. Obraz taki sugeruje, że mamy do czynienia z niemymi, nie umiejącymi się wyartykułować obiektami praktyki monologowej, jakby powiedział Bachtin. W końcu wykonywanie ekspertyzy pogłębia przecież tę zależność, wzmacnia „reifikację", a dialogiczna relacja z obiektem wchodzi w rachubę jedynie pod groźbą utraty przez eksperta własnej pozycji. Tajemnica zawodowa, wymuszona albo przez określony kod zachowań, albo przez nieprzenikalną barierę ezoterycznego języka, stanowi najpewniejszą obronę wysokiego statusu i skuteczny sposób powstrzymania jakichkolwiek akcji, które mogłyby pozycję tę podważyć. Profesjonaliści działają w życiu publicznym, ale konwersację nawiązują jedynie pomiędzy sobą, konstytuując tym samym innych profesjonalistów jako sobie równych i kwalifikując ich poza zreifikowanym układem, do którego należy reszta. Jednak Perkin nie wykrył, aby wzajemne relacje pomiędzy ekspertami były bardziej przyjazne niż ich kolektywna postawa wobec społeczeństwa. Aby dać wyobrażenie o istocie zażartej, braterskiej

[3] Por. *The Rise of Professional Society. England since 1880*, London 1989, s. 390–398.

rywalizacji, sparafrazował Shawa: „Żaden profesjonalista nie może otworzyć ust, by nie narazić się na pogardę drugiego". Każda grupa specjalistów robi co może, aby zdyskwalifikować autorytet innej grupy, zupełnie jakby postrzegała w dyskredytowaniu pozostałych ekspertów najpewniejszy sposób na podniesienie własnego prestiżu. Krytyka środowiskowa jest w całości przesiąknięta złą wolą i zawiścią, ma raczej szkodzić niż pomagać, natomiast opinia na temat innych specjalności — tych zwłaszcza, które są najbliższe własnemu terytorium — z reguły bywa w najwyższym stopniu lekceważąca i niszcząca. Tu Perkin odnotowuje, że „królową wszelkich nauk jest fizyka, chemia to tylko fizyka stosowana"; że „nauki przyrodnicze to nauka, a nauki społeczne są usystematyzowanymi przesądami"; że „ekonomiści mają do czynienia z faktami, politolodzy zaś biorą mnogość anegdot za dane naukowe"; że „socjologia produkuje sprawdzalne teorie, a historia to bezmyślny empiryzm". Każdy z czytelników może bez trudu pociągnąć tę wyliczankę Perkinsa *ad infinitum*, nie wysilając nadmiernie własnej pamięci. Im mniejsze są środki finansowe uczelni, tym drożej kosztuje każdy moment nieuwagi i tym mniej serca okazuje się akademickim kolegom...

Od roku 1983, kiedy to Max Gallo, rzecznik Pałacu Elizejskiego, uskarżał się na „milczenie intelektualistów", raz po raz zwracano uwagę, że ze sceny publicznej w takim to czy innym państwie zachodnim nie dochodzą głosy intelektualistów. Wszędzie rozprawiano o tym z zakłopotaniem przemieszanym z niepokojem. Wydaje się, że publiczne ogłoszenie własnej dymisji stanowiło akcent końcowy służby publicznej pełnionej przez intelektualistów pokroju tych, jakich pamiętamy z burzliwych czasów wielkich bitew ideologicznych. Są wprawdzie tacy, którzy przenikliwie dostrzegli, że owo wrażenie nieobecności jest wyrazem nie tyle milczenia intelektualistów, ile raczej braku zainteresowania społecznego tym, co intelektualiści mają do powiedzenia lub do zrobienia. Intelektualiści nie mówią mniej, są jedynie mniej słuchani. Być może ktoś mógłby odnaleźć (gdyby zechciało mu się szukać) pewną liczbę owych „partyzantów Absolutu" i nie mniejszą liczbę „terrorystów Relatywności" — w dwóch „ogólnych specjalizacjach", w jakich intelektualiści tradycyjnie celowali. Ale być może, że potrzebę Absolutu odczuwa mniej ludzi niż kiedykolwiek, a jeszcze mniej dręczonych jest obawą relatywności...
Można by się zastanawiać, co jest przyczyną, a co skutkiem: czy klasy wykształcone, zwiedzione urokiem i namacalnymi korzyściami nowych,

komfortowych biur, sprzeniewierzyły się swojej misji i przekonały społeczeństwo, że niczego nadzwyczajnego nie należy się po nich spodziewać? Czy też raczej zniechęceni członkowie tych klas wycofali się do swoich indywidualnych, zawodowych samotni, skłonieni do tego nasilającą się obojętnością czy wręcz rozproszeniem dawnych swoich zwolenników? Najbardziej prawdopodobne, że obecna „niewidzialność intelektualistów" jest łącznym skutkiem obu tych procesów. Chciałbym zwrócić uwagę, że procesy owe były psychospołecznym rezultatem i wyraźnym znakiem głębszej zmiany strukturalnej, jaką stanowiło przejście od nadzorujących do kuszących mechanizmów społecznej kontroli i integracji. Nadzorująca, dyscyplinująca, gnębiąca siła w rodzaju tej, jaką opisywał Foucault, była przez mniej więcej ostatnie pięćdziesiąt lat eliminowana, redukowana do obrony zewnętrznych granic rozwiniętego społeczeństwa konsumentów i do pozbywania się ludzkich odpadków, które w społeczeństwie tym w sposób nieunikniony się pojawiają. To samo dotyczy następstwa i naddatku tej nadzorującej władzy, tak nostalgicznie kontemplowanego przez Habermasa, państwa desperacko poszukującego „rzeczywistej" legitymizacji, państwa wymagającego, aby prześladowany miłował swojego gnębiciela i aprobował ucisk. Dwa pokrewne atrybuty „klasycznej" polityki nowożytnej — przymus i mobilizacja ideologiczna — przyczyniały się do skolektywizowania warunków społecznych we „wspólną sprawę" i do upolitycznienia wynikających stąd strategii. Skargi i życzenia przekształcały się w programy polityczne, nieodmiennie kierowane pod adresem państwa jako najwyższego menażera i wykonawcę każdej efektywnej zmiany społecznej. Otwierało to szerokie pole działania „władzy intelektualnej" jako niezbędnego czynnika reprodukcji systemowej, działania, które polegało na artykułowaniu i upowszechnianiu „uniwersalnych (społecznych) wartości", spajających interesy grupowe w „cele społeczne". Ale to należy już do przeszłości, przynajmniej jeśli chodzi o formy opisywane retrospektywnie przez Foucaulta i Habermasa.

Dla większości członków społeczeństwa konsumpcyjnego ucisk jako czynnik decydujący o sposobie zarządzania i o praktycznych kwestiach życiowych jest stopniowo zastępowany przez nęcenie. Rynek konsumencki stanowi obecnie główny teren autokonstrukcji i samopotwierdzenia się, a także społecznej aprobaty prywatnych projektów. Sytuacja rynkowa różni się od sytuacji przymusu sprywatyzowaniem wysiłków, ich niepowodzeń i wynikającym stąd poczuciem krzywdy. Trzeba powie-

dzieć, że jest kwestią co najmniej sporną, czy rynek — w odróżnieniu od jawnego ucisku normatywno-nakazowej, nadzorującej i karzącej władzy — rzeczywiście prowadzi do zmniejszenia ubóstwa i konfliktów. Bez wątpienia wszakże konflikty, których źródłem są zawiedzione, rynkowo ukierunkowane nadzieje, łatwiej ulegają rozproszeniu i nie kumulują się tak silnie. Problemy społeczne, jeśli w ogóle dają się sproblematyzować jako wspólny program, mają z reguły charakter cząstkowy i lokalny. Bardzo rzadko prowadzi to do rozważań nad samą zasadą rynkowo ukierunkowanej prywatyzacji zadań i powinności lub do zakwestionowania wartości, które rynek konsumpcyjny realizuje i których wymaga. W odróżnieniu od układów nastawionych na pracę, w układach, które tworzą się w oparciu o preferencje konsumenckie, nie należy oczekiwać „motywacji obywatelskich". Dywagacje zaś o wartościach wydają się pozostawać w nikłym związku z „realnymi problemami", którymi wypełnione jest codzienne, zwyczajne życie.[4] Dlatego też w sferze publicznej niewiele jest takich spraw, które mogłyby skłonić przedstawicieli wykształconej elity, wygodnie umoszczonych w swoich zawodowych zaciszach, do wyjścia na zewnątrz. Jak to już pokazaliśmy wcześniej, ich własne (sprywatyzowane, jak wszystko) interesy, tak jak i interesy innych grup, dość trudno ulegają kumulacji. Nieliczne tylko interesy zbiorowości zasługujące na miano spraw ogólnospołecznych byłyby w stanie przyciągnąć ich uwagę i skłonić do wzięcia na siebie zbiorowo roli przywódców duchowych. Dlatego też logika profesjonalizmu może funkcjonować w sposób niezakłócony i nieprzerwany.

Russel Jacoby dokonał przenikliwej analizy wpływu profesjonalizacji na rozpad (i późniejszy zanik) nowojorskiego *milieu* intelektualistów. Niegdysiejsi niezależni liderzy opinii publicznej objęli katedry na wydziałach historii, politologii lub socjologii. Są teraz szacownymi profesorami i przemawiają w salach wykładowych i na seminariach (chociaż głos ich wydaje się być nieco tłumiony przez mury i z rzadka przenika poza kampusy uniwersyteckie). Prawdę rzekłszy, „bycie intelektualistą wymaga dziś zamieszkania w kampusie". Ale osiedlenie się w kampusie, jak sugeruje Jacoby, to więcej niż topograficzna zmiana miejsca: „O ile marksiści i radykalni krytycy przeszłości — tacy jak Lewis Mumford, Malcolm Cowley — nigdy nie oderwali się od społeczeństwa, taki

[4] Obszerniej o tych sprawach piszę w moich książkach: *Freedom*, London 1988, oraz *Intimations of Postmodernity*, London 1991.

Jameson nigdy go nie potrzebował. Jego prace przeznaczone są na seminaria".

W sumie „koledzy zastąpili społeczeństwo, a żargon wyrugował angielszczyznę". Nie znaczy to, że stare rumaki bojowe całkiem opuściły pole walki. Skupiły się pod sztandarami akademickiej wolności, cieszącej się dalej największm mirem. Ale „dla wielu profesorów, na wielu uniwersytetach, wolność akademicka nie oznaczała nic innego, jak wolność bycia akademickim profesorem".[5] Romans kadry profesorskiej ze społeczeństwem, jeśli w ogóle miał miejsce — nabierał charakteru kazirodczego. Ich zmagania, często bezwzględne i okrutne, rzadko burzyły krew niewtajemniczonych outsiderów. Rozdmuchane w świadomości bojowników sprawy, o które toczono święte wojny, nie dotyczyły zazwyczaj rzeczy bardziej „uniwersalnych" niż dostęp do uniwersyteckich zasobów finansowych, stanowisk i wyróżnień.

We Francji Régis Debray wyznaczył koniec „cyklu uniwersyteckiego" (to znaczy okresu, w którym kariery uniwersyteckie rodziły się i załamywały przede wszystkim w obrębie akademickich instytucji) — na mniej więcej rok 1930. Według niego nastał potem „cykl wydawniczy", zastąpiony koło roku 1968 przez „cykl mediów". To, co wśród nowojorskich intelektualistów zdarzyło się w ostatnim pokoleniu, intelektualiści francuscy przeżyli kilkadziesiat lat wcześniej. Zamknięcie się w uniwersytetach stało się równoznaczne z wygnaniem do ezoterycznych siedzib, gdzie „koledzy zastąpili społeczeństwo". Droga do rozgłosu prowadziła przez wielkie firmy wydawnicze, aby później skręcić w stronę mediów, a przede wszystkim telewizji. Przy każdej zmianie kierunku następowała głęboka zmiana reguł gry, standardów awansu, sposobów oddziaływania na odbiorców i funkcjonowania autorytetów. Najważniejsze zaś, że coraz to inni menażerowie okopani w różnych zinstytucjonalizowanych bazach pośredniczyli w intelektualnym oddziaływaniu lub sami nim kierowali. Już około roku 1930 wpływy te wyślizgnęły się z rąk intelektualistów i stały się niezależne od kolegialnych ocen. Obecnie „to rynek ustala prawa", a uniwersytety od dawna utraciły monopol na tworzenie opinii o intelektualistach, które wykraczałyby poza sale konferencyjne i doroczne zgromadzenia ezoterycznych profesjonalnych stowarzyszeń. Każdy, kto uznany zostanie za intelektualistę, skonstruowany jest, by tak rzec, na dwóch poziomach: *en bas, la legitimité (le savoir); en haut,*

[5] R. Jacoby *The Last Intellectuals*, New York 1987, s. 220, 167, 180, 119.

l'effectivité (le faire-savoir); na niższym poziomie — słuszność (wiedza), na wyższym — skuteczność (*know-how*). Ważniejsza od świadectwa kompetencji lub uczonego tytułu jest umiejętność „rozruszania sprawy", a o umiejętności tej nie decydują gremia akademickie. Okoliczności te musiały radykalnie wywrócić tradycyjne kryteria społecznego oddziaływania. Niepotrzebna już jest *l'ecolé* (szkoła), *la problematique* (problematyka), *l'enceinte conceptuelle* (przestrzeń konceptualna), a „ocena prawdziwości wypowiedzi niknie przy ocenie widowiskowych walorów wypowiadających się"[6].

Debray określa cykl bieżący jako „mediokratyczny": menażerowie mediów górują nad formacją „intelektualistów", to znaczy nad tą częścią warstw wykształconych, która znajduje się na widoku publicznym i mogłaby wywierać wpływ. Jeśli nawet menażerowie ci nie mają pełnej kontroli nad treścią przekazu, to z całą pewnością decydują, jak mają być rozmieszczone akcenty, i pilnują, aby tylko te przekazy mogły być upowszechniane, które obdarzone są potencjalnymi „wartościami widowiskowymi".

Niewątpliwie to, co dziś uważa się zdecydowanie za wartość widowiskową (a mówiąc wprost: wartość rozrywkową) ewentualnych debat publicznych, zawsze miało niebagatelne znaczenie dla przyswajalności intelektualnych przekazów przez społeczeństwo. Pojawienie się mediów, wywierających decydujący wpływ na zainteresowanie odbiorców (a w istocie na społeczną wizję świata), zmieniło jedynie priorytety. Ale ta niewielka zmiana miała daleko idące konsekwencje. Manifesty intelektualne, te w każdym razie, które zostały napisane, uległy redukcji do poziomu innych „wiadomości codziennych". Nikt nie jest w stanie zweryfikować ich względnej ważności inaczej, jak przez rejestrowanie opinii odbiorców (a ściśle mówiąc: widowni). Poruszana zaś problematyka, podobnie jak inne pozycje w mediach, musi potwierdzić swoją rację bytu wykazaniem zalet widowiskowych.

Zainteresowanie społeczne obecnie łatwo się wyczerpuje. Oczyszczanie pola dla nowych przedmiotów konsumpcji stanowi najtrudniejsze zadanie, przed jakim stoi ekonomia nastawiona na kształtowanie potrzeb i życzeń. Jest to również główna powinność, spełnienia której wymaga od państwa ta ekonomia (najbardziej znamiennego przykładu dostarczyła wojna w Zatoce Perskiej, która wybuchła zaraz po „zimnej wojnie"

[6] R. Debray *Le pouvoir intellectuel en France*, Paris 1979, s. 99, 120, 97–98.

i której ważnym celem, a może i głównym motywem, była „likwidacja" zawartości przepełnionych magazynów zbrojeniowych). Wśród wielu dóbr rynkowych informacja stanowi ten towar, który najobficiej, najczęściej i najłatwiej można uzupełnić. Stąd kluczowe znaczenie zainteresowania społecznego, które w odniesieniu do informacji decyduje o ilości przyswajanych przez konsumenta informacji oraz o jego preferencjach (tak samo jak poziom seksualnego pobudzenia lub pragnienie aprobaty społecznej określa popyt na kosmetyki). Bez względu na samą treść przekazów intelektualnych i bez względu na stopień ich „obiektywnej" doniosłości, muszą one walczyć o swoje „miejsce na rynku" (to znaczy o utrzymanie zainteresowania odbiorców) z konkurencją, która działa wedle tych samych reguł gry. Jak i inne produkty, potrzebują one rzeszy ekspertów (specjalistów od reklamy lub „wydajnej sprzedaży"), aby zyskać szansę na sukces. Jak i inne towary, muszą przejść test rynkowy, wykazać, że dadzą się sprzedać. Sprawdzian ten bardziej niż inne czynniki rozstrzyga o udziale intelektualistów w życiu społecznym.

Kluczowe staje się przeto pytanie, jaka poważna tematyka (jeśli w ogóle jakakolwiek) ma szanse, aby taki test przejść, a więc aby zadowolić ekspertów rynkowych. Ory i Sirinelli[7] mają słuszność, gdy twierdzą, że brak „wielkiej problematyki" to kiepska wymówka, skoro zgodnie z tradycją właśnie sami intelektualiści nadają wagę owej problematyce, wypisując ją wielkimi literami na swoich sztandarach oraz prośbą lub groźbą wymuszając na audytorium uwagę — taką, na jaką według nich zasłużyli. Ale to, co dotychczas było prawdą, nie musi być prawdą dzisiaj, w świecie, który odznacza się tym, że ruguje obyczaje nim zdążą one skostnieć jako tradycja. Intelektualiści, jeśli mają na to ochotę, mogą w dalszym ciągu wypisywać swoje hasła na sztandarach, ale nie są już w stanie zapewnić sobie zwolenników. Stawiane przez nich problemy stają się „wielkie" nie z uwagi na siłę argumentów, które za nimi stoją, ale ponieważ dobrze się sprzedają. Jest to jedyny element, nad którym intelektualiści panują, choć w niewielkim tylko stopniu. Mogą co najwyżej liczyć na to (i niemało z nich szczerze tym się cieszy), że menażerowie środków przekazu zwrócą się do nich z prośbą o wygłoszenie linijki lub dwóch tekstu według scenariusza nie przez nich ułożonego. Są wykorzystywani przez menażerów jako eksperci użycza-

[7] „Intelektualiście nie narzuca się reguł, to raczej on sam je określa, a w każdym razie decyduje o ich hierarchii" (*Les intellectuels en France*, s. 233).

jący nieco ze swojego ezoterycznego autorytetu „wartościom widowiskowym" przedstawienia. Tak więc każde publiczne pojawienie się intelektualisty wzmaga kolektywną „dezintelektualizację" intelektualistów jako pewnej kategorii: pogłębia istniejące podziały zawodowe i zawęża obszar, na jakim „rola eksperta" utrwala status i społeczny wizerunek klasy wykształconej.

Wraz z układem instytucjonalnym, który przynosi więcej kłopotów niż korzyści, maleją wyraźnie szanse intelektualistów ery postmodernistycznej na odzyskanie roli, jaką pełnili jako zbiorowość za powszechną aprobatą w szczytowym okresie modernizmu. Kilka lat temu, nieco skrycie i nie bez popadania w błąd hipostazy, André Gorz dał wyraz wynikającemu stąd poczuciu braku perspektyw: „w odróżnieniu od poprzednich, kryzys obecny niczego nie zapowiada". Baudrillard, we właściwy sobie sposób, wyraził się jeszcze dobitniej: nie ma już nic „społecznego", nie ma społeczeństwa, nie ma historii — toteż, z definicji, nie ma już intelektualistów. Oznacza to, że w przeciwieństwie do stosunkowo niedalekiej przeszłości, intelektualiści zgubili Archimedesowy punkt, na którym oprzeć można było lewary historii. Kolejne alternatywy tego, „co jest", dyskredytowały się jedna po drugiej i trzeba je było odrzucić. Aby wizja ta stała się jeszcze mroczniejsza dodać należy, że nie mają oni teraz pewności co do kierunku, w jakim chcieliby historię ruszyć, nawet gdyby lewar okazał się na tyle silny. W tak wielu krainach snów przebywali i odnieśli tam tak wiele ran, że wszystkie marzenia uległy w ich oczach dewaluacji. Świat nasz to świat pogrążony w smutku z powodu braku pewności co do czegokolwiek, ale jest to też świat niepewny co do tego, „jakim celom owa pewność mogłaby służyć". Jak mówi François de Closets, „tak w Moskwie, jak i w Paryżu poszukuje się odpowiedzi, choć nikt nie jest w stanie postawić sobie pytań".[8] Słynny Maj 1968 roku, witany jako historyczny rozrachunek pomiędzy tymi, którzy myślą, a tymi, którzy cierpią, wydaje się z dzisiejszej perspektywy raczej próbą generalną postmodernistycznego buntu bez powodu.

Gdyby Wolter poprawiał dziś Kandyda — to czy zmieniłby zakończenie na: „trzeba po prostu oglądać telewizję"?

przełożyła Teresa Rutkowska

[8] „Aby jutro kto inny nie wdarł się do naszego piekła" („L'Evenement", 3–9 Janvier 1991, s. 52).

Edward Balcerzan

Przyboś metafizyczny

o wszystko:
O Cel, o Sens, o Świat,
[*Pierwszy spacer we troje*]

1. „Słowa–ekrany"

Każda formacja historycznoliteracka zna słowa uświęcone, określające **ruch ku wartości osobliwie cennej**. Nazywamy je **hasłami** (epoki lub kierunku), **słowami ideologicznymi**, jak proponował Michaił Bachtin. Najchętniej mówiłbym tu o słowach–ekranach: niby na ekranie oglądamy w nich projekcje świadomości zbiorowej; w słowach tych „wyświetlają się" dążenia sztuki, jej strategie i utopie, racjonalne programy i zupełnie infantylne urojenia. *Decorum, harmonia, dojrzałość, oryginalność, tajemnica, przygoda, wyobraźnia, prawda, absurd, nowatorstwo, eksperyment, tradycja, etyka, prywatność* — to wybrane przykłady **słów–ekranów** z różnych doktryn minionych lat dwustu.

Ostatnio wśród najszerszych (rzekłbyś: panoramicznych) **słów–ekranów** polskiej komunikacji literackiej wyróżnia się *niezależność*, która stanowi demonstracyjny antonim *zniewolenia*. Jest *niezależność* również utajonym synonimem *autentyczności* egzystencjalistów: hasła wycofanego z obiegu, a niegdyś tak wielbionego przez krytykę poodwilżową. Sens

podstawowy obu tych **słów–ekranów** jest pod wieloma względami ten sam. Chodzi o odmowę uczestnictwa w narzuconych z zewnątrz konwencjach (politycznych, obyczajowych); *niezależność* dopomina się o trwałą wierność prawdzie osobistej, nakłania do szacunku wobec racji „sprawdzonych sobą". Ma niebanalny wymiar literaturoznawczy. Oznacza unieważnienie antynomii „życia" i „twórczości", odnosi się w tym samym stopniu do działalności pisarskiej, co i do zachowań twórcy w rolach nieprofesjonalnych. Nadto: uchyla inną kłopotliwą przeciwstawność, a mianowicie rozdarcie dzieła na „formę" i „treść". Nakazuje jednakową odpowiedzialność za światopogląd i poetykę.
Jednym ze **sposobów na niezależność** poety okazuje się dziś **metafizyczność**. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych *metafizyczność* poezji oznaczała coś więcej niż popaździernikowa *autentyczność* (przejęta z pism Kierkegaarda i Heideggera): to nie tyle odtrutka na „ukąszenie PRL-owskie", ile głównie — dla nonkonformistów — azyl przed doraźnością moralistyki opozycyjnej, antytotalitarnej, szlachetnej, owszem, ale przecież **uzależniającej** artystę od zbiorowych struktur i tumultów. Na początku lat osiemdziesiątych pisał Zbigniew Herbert:

nikt z nas nie potrafił obudzić topolowej driady
czytać pismo chmur
dlatego po śladach naszych nie przejdzie jednorożec
[.....]
na chude barki wzięliśmy sprawy publiczne
walkę z tyranią kłamstwem zapisy cierpienia
lecz przeciwników — przyznasz — mieliśmy nikczemnie małych
czy warto zatem zniżać świętą mowę
do bełkotu z trybuny do czarnej piany gazet[1]

Tak więc tęsknota do metafizyki poetyckiej nie jest zjawiskiem nowym, podobnie jak gorycz poezji poniżonej do asenizacji[2] życia politycznego. Natomiast prestiż słowa *metafizyka* w komunikacji poetyckiej to fakt świeżej daty. Nobilitacja tego słowa ma swe omdlenia i zenity. Oto w 1982 roku Stanisław Barańczak traktuje — tłumaczoną przez siebie

[1] Z. Herbert *Do Ryszarda Krynickiego — list*, w: *Raport z oblężonego miasta i inne wiersze*, Paryż 1983, s. 26.

[2] Choć bywało to też przedmiotem dumy. „Ja, asenizator / i woziwoda, / wezwany byłem / na front rewolucji, / bym służbę / w pańskich poezji ogrodach — / tej baby kapryśnej — porzucił" — W. Majakowski *Pełnym głosem*, przeł. A. Ważyk, w: *Wiersze i poematy*, Warszawa 1949, s. 317.

— angielską poezję metafizyczną jako obiekt, którego nazwa wymaga **cudzysłowu** tudzież **ironicznego dystansu**. Informując o genezie terminu powiada, iż wieki temu Samuel Johnson posłużył się tym określeniem **„nie bez uszczypliwości"**.[3] W późniejszej *Tablicy z Macondo* cudzysłów nadal chroni przed bezdyskusyjną akceptacją nazwy, podobnie jak heroikomiczne pomieszanie stylów w manifeście noszącym podtytuł: „dygresje motoryzacyjno-metafizyczne". Barańczak (jakby polemizując z Herbertem) prześmiewczo komentuje „w ogóle samo (...) rysowanie nieprzekraczalnej linii podziału między poezją «polityczną» (czyli złem koniecznym) a poezją «metafizyczną» (czyli tym, co porządny poeta pisać powinien i co pisałby, gdyby mu czasy pozwalały)". Zarazem czujny obserwator literackiej psychosfery wie, iż rysowanie owej linii staje się modne, aż „pospolite ostatnio". W późniejszych tekstach twórcy *Widokówki z tego świata* cudzysłów znika, metafizykę traktuje się już jako wartość nobilitującą. Tak w poezji nonsensu, która wymaga w ojczyźnie tłumacza rekomendacji szczególnej, odnajduje on pierwiastki metafizyczne: już bez cudzysłowu. „Właściwie można by zaryzykować tezę — stwierdza — że nonsensista to śmieszniejszy poeta metafizyczny."[4] Jak każda żywa idea — **metafizyka poezji** ma rodowód synkretyczny, pole znaczeń kalejdoskopowe, urągające definicyjnej sterylności. Inspiracje filozoficzne sąsiadują tu z tradycjami krytyki literackiej. Najogólniej powiedzieć można, iż perspektywę metafizyczną w poezji wyznaczają: skłonność do oceny zjawisk w ramach pewnej teorii istnienia (w opozycji do postawy bezrefleksyjnie pragmatycznej, prowadzącej, zdaniem Witkacego, do zaniku cech indywidualnych Istnień Poszczególnych czyli do „ostatecznego zbydlęcenia"); wykraczanie poza zbiór prawd oczywistych — w stronę wizji, która wymaga aktu wiary i/lub aktu woli; więź z tradycją „pytań ostatecznych" i „wielkich problemów".[5]
W ujęciu filozofii XX wieku działalność metafizyczna polega na wytwarzaniu modeli, które „rozciągają się na cały wszechświat".[6] Z tą

[3] *Antologia angielskiej poezji metafizycznej XVII stulecia*, wybór, przekład, wstęp, opracowanie S. Barańczak, Warszawa 1982, s. 5. Dalej odwołuję się do eseju tegoż autora z tomu *Tablica z Macondo*, Londyn 1990, s. 222, 239–240.

[4] S. Barańczak *Nonsensista to śmieszniejszy poeta metafizyczny*, „Arkusz" 1991 nr 2, s. 1.

[5] Zob. rozdział *Poezja wobec metafizyki* we *Wstępie* M. Głowińskiego i J. Sławińskiego do antologii *Poezja polska okresu międzywojennego*, Wrocław 1987, cz. I, s. XLIII–XLVI.

[6] G. Sidney Brett *Historia psychologii w opracowaniu R. S. Petersa*, przeł. J. Makota, Warszawa 1969, s. 10.

koncepcją koresponduje współczesna — zrodzona w przestrzeniach semiotyki — teoria literatury, przede wszystkim Szkoła Tartuska i jej widzenie dzieła literackiego jako „modelu świata".
W zakresie ograniczonym do niektórych tylko szkół, metafizyczność poezji konstytuują — podejmowane już w latach sześćdziesiątych — nawiązania do rodzimego baroku, a także próby polonizacji motywów czy konstrukcji charakterystycznych dla doświadczeń angielskich (tomik Jarosława Marka Rymkiewicza *Metafizyka* z 1963 roku).
O specjalną analizę dopomina się relacja między poetycką **religijnością** a **metafizycznością**. Najczęściej lirykę religijną traktuje się jako odmianę liryki metafizycznej.[7] Jakoż bywa (ostatnimi czasy), że poezja wpisująca się w nurt religijny okazuje się karykaturą uniesienia metafizycznego: posłuszeństwo wobec doktryny stawia pod znakiem zapytania intelektualną suwerenność twórcy. W masowej produkcji bogoojczyźnianej, nuty natrętnie moralizatorskie przywodzą na myśl strategię agitatora (i oto kaznodziejska staromowa spotyka się z PRL-owską nowomową). Proces ów, zgubny dla prestiżu liryki religijnej, ma tę zaletę przynajmniej, że w świadomości ogółu sankcjonuje poszerzenie granic metafizyki poetyckiej — poza dogmaty wiary, a nawet poza wiarę — dopuszczając (znane dziejom filozofii) możliwości metafizyki zwątpienia czy metafizyki niewiary.

2. Prekursor?

W poszukiwaniu tradycji współczesnego nurtu metafizycznego nie wolno omijać Juliana Przybosia. Autor *Pióra z ognia* to jeden z prekursorów, a i współbudowniczych pisarstwa metafizycznego: liryka naszych dni **powtarza** niejeden dylemat — doświadczony przez Przybosia. Można by wręcz ilustrować jego wierszami, oświetlać jego teoriami wiele z naszkicowanych tu, dzisiejszych dążeń do metafizyczności.[8]
Odkrywaną dziś na nowo — odwieczną — prawdę sztuki poetyckiej, iż

[7] Zob. M. Głowiński i J. Sławiński, op. cit., s. XLIV–XLV.

[8] Odnosi się to do metafizyki niewiary; zagadnienie to, dość często analizowane (J. Kwiatkowski, A. Cieński), w tym referacie pominę. Nawet więź z tradycją baroku — zdawałoby się, niewiarygodna w odniesieniu do Przybosia — może być także brana pod uwagę: mam na myśli aktywny udział poety w dyskusji na temat sonetu Mikołaja Sępa-Szarzyńskiego.

metafizyczny wymiar tekstu stanowi godne schronienie przed retoryką publicystyczną (tendencyjnością, agitacyjnością), Przyboś rozumiał od początku swej pisarskiej drogi. Równie jasno — choć nie bez pomyłek — widział niebezpieczeństwo banalizacji wszelkich „metafizyk", zarówno gotowych, pielęgnowanych gromadnie, jak i „prywatnych", jeżeli są natrętnie eksploatowane. Z perspektywy poezji Przybosia metafizyka poetycka to proces: ciąg wyborów i wynalazków autorskich. W dziele wielkiego poety zmieniają się kierunki i nacechowania metafizyki (podobnie jak w historii filozofii, gdzie mamy do czynienia wcale nie z jednorodnym systemem, lecz z systemami wzajem polemizującymi). Przy takim założeniu „metafizyczność" poezji nie jest kategorią czysto deskryptywną lecz aksjologiczną (zadaniem artystycznym; faktem poetyki; sukcesem lub klęską twórcy).

(A ono nie jest całością, bo się nie kończy;
bo jeśli co jest, jest wieczny początek.)

— powiada autor *Znaku przedsłownego*; jego ewolucje pisarskie można by opisywać jako serię bezustannych prób powoływania do istnienia nowych odmian metafizyki lirycznej.

I on ulegał **nakazom zależności** od aktualnych dramatów życia społecznego, nie był obojętny wobec politycznej aury czasu, w którym przyszło mu żyć. Rodzaje owej nieobojętności zmieniały się: inną miały barwę w pierwszych latach Drugiej Niepodległości, inną we Lwowie, inną pod okupacją hitlerowską, inną po Zjeździe Szczecińskim. Za każdym razem Przybosiowe „wizje i równania" wchłaniały rzeczywistość **podwojoną**, rzec by można: „fizyczną" i „metafizyczną", a to znaczy — z jednej strony — zrozumiałą dla ogółu, wytłumaczalną w kategoriach dostępnych potocznemu doświadczeniu i intersubiektywnej świadomości, a z drugiej — zawartą nie w języku odpowiedzi, lecz w języku pytań, otwartą ku nieskończoności i porządkowaną przez poetę arbitralnie.

W latach sześćdziesiątych twórczość Przybosia stanowiła centralny układ odniesienia dla najdonioślejszych zdarzeń w polskiej sztuce słowa. „Dziś Przyboś jest w czyśćcu", powiedziała mi rok temu Wisława Szymborska; poeta nie cieszy się popularnością godną swego talentu. Sytuacja jest paradoksalna. Szansą zmiany (na lepsze) w recepcji poety wydaje się spotkanie żywiołów metafizycznych: Przybosia i autorów współczesnych, którzy nierzadko stają się odkrywcami lądów — przez niego wiele lat temu odkrytych...

Analizując w tym aspekcie poezję Przybosia należy odróżnić intencję od realizacji, metafizyczność jako hasło programowe i metafizyczność jako fakt poetyki immanentnej. W heroicznym okresie awangardy intencja metafizyczna (deklarowana wprost) była w pismach poety tłumiona, a nawet — jako dziedzictwo młodopolskie — negowana. Po wojnie Przyboś przyjął nakazy i ostrzeżenia marksizmu, który traktował słowo *metafizyka* jako obelgę. W zatrważająco „wstecznej" metafizyce miały się — wedle kapłanów Nowej Wiary — kumulować siły sprzysiężone przeciw nauce. A Przyboś szanował naukę. Broniąc się w 1958 roku przed pamfletem Jerzego Kwiatkowskiego *Wizja przeciw równaniu* przemawiał zgodnie z literą i duchem marksizmu:

Nie odpowiadam na [...] wytknięcie mi „obcości wobec metafizycznego tragizmu", na zarzut braku w mojej poezji „pytania o sens istnienia, o sens śmierci" itp. Nie odpowiadam, bo dla człowieka, który pojął sens moralny myśli Marksa — takie pytania obiektywnie nic nie znaczą, a subiektywnie są świadectwem tak zwanej „świadomości nieszczęśliwej". „Tragizm metafizyczny", „sens śmierci"... Zdawałoby się, że pogrzebaliśmy w poezji te puste słowa wraz ze Stanisławem Przybyszewskim.[9]

„Metafizyka" była dla Przybosia także hasłem nieporęcznym etymologicznie (czego nie należy bagatelizować — analizując teksty poety-słowiarza). Etymologia wymuszała archaiczne przeciwstawienie metafizyki — fizyce, gdy tymczasem właśnie nowoczesna, filozofująca fizyka zdążała ku Tajemnicy Istnienia: wspierając raz po raz autora *Linii i gwaru* w rozmyślaniach teoretycznoliterackich (gdy np. znane fizykom pojęcie „punkto-chwili" przymierzał do „chwili lirycznej").
A jednak proces melioracji pola znaczeń tego słowa (wówczas co prawda jeszcze nie **słowa-ekranu**) intrygował poetę. Pamiętam rozmowę z nim — jedną z ostatnich: był pod silnym wrażeniem tezy Alberta Camusa o technice artystycznej jako energii określającej metafizykę pisarską. W tej, jakże bliskiej Awangardzie perspektywie, słowo „metafizyka" traciło nagle negatywne sensy i odcienie. Nie ma ich w późniejszych *Zapiskach bez daty*, np. w opowieści o „uczuciu dziwu metafizycznego" w muzeum w Brugii.[10]
W poezji — jako norma wyobraźni — nie miało ich nigdy.

[9] J. Przyboś *Zapiski bez daty. Szkice i notatki*, Warszawa 1970, s. 65.
[10] Zagadnienie to omawia dokładnie Bogusława Latawiec w referacie *Zapiski o „Zapiskach bez daty"* (Konferencja poświęcona Julianowi Przybosiowi, Chicago, kwiecień 1992 r.).

3. Praca pojęć

Leksykalna materia wierszy Przybosia jest nieporównanie bliższa metafizyce (w klasycznym sensie) niż manifesty i eseje. W jego liryce zastanawia wielość oraz częstotliwość pojęć z repertuaru metafizyki. *Wieczność, trwanie, całość* (bytu), *Wszystko, Ogół* (istnień), *wszystko jedno* (w znaczeniu: *wszystko cokolwiek istnieje, stanowi jedność* — pojęcie bliskie *jedności w wielości* jako istoty *wzruszenia metafizycznego* wedle Witkacego), *początek* (wszelkiego istnienia), *Sens* (świata), *Równanie Świata, otchłań, zgłębiona bezdenność*. Słowa te (wynotowane z *Próby całości* i paru tomików późniejszych) pojawiają się w kontekstach tyle charakterystycznych dla monologu lirycznego, co i filozoficznego wykładu. Prawda: niekiedy wzniecają „metafizykę jednorazową" — pochodną od metaforyki. Choćby takie powiadomienia o przestrzeni i czasie: „zagęszczony czas", „czas jest jak materiał wybuchowy", „aż do utraty czasu i przestrzeni" — zużywają się w obrębie jednej sytuacji lirycznej. Filozofa mogłoby to zniechęcić; dla badacza literatury oznacza, iż oto wymiar metafizyczny w interesujących nas utworach nie jest ciałem obcym, nie odkleja się od języka poetyckiego. Lecz i filozof znalazłby tu niejedną podnietę, bowiem język poetycki Przybosia bywa także (nie grą) a uporczywą **pracą pojęć**. W jego wierszach pojawiają się rozlegle konfiguracje wyrażeń abstrakcyjnych — nieporównanie częściej niż by to wynikało z kanonicznej dla „Przybosioznawstwa" reguły prymatu sensualizmu nad intelektualizmem.

Powracam do wypowiedzianej już przeze mnie kiedyś obserwacji: nie jest prawdą, jakoby poezja Przybosia miała „dykcję" radykalnie niedyskursywną (i dopiero Nowy Klasycyzm upomniał się o urodę dyskursu w poezji). Oto kilka zdań na temat „świata", w których „świat", owszem, bywa materiałem metafory — epifanii wyobraźni, jej eksplozji — (w wyrażeniu „świat — samopożar"), ale nie tylko: staje się podmiotem zdań zmierzających ku definicji. „Świat nie jest, świat się wiecznie zaczyna" (*Noc powrotna*); „Świat nie-i-jest". Analogiczny charakter mają pytania należące do sporu szkół filozoficznych **o istnienie świata**:

Świat się zaczyna, nie spełnia?
Ani nie istnieje, ani nie nie istnieje?
[*Mostar*]

Wolno zatem, choćby tylko na podstawie poczynionych wyżej obser-

wacji, pytać o **Przybosia metafizycznego**. Dwie kwestie wymagają odpowiedzi niezwłocznej: czy obcujemy tutaj wciąż z tą samą metafizyką, czy też z różnymi — ewoluującymi w czasie — metafizykami? W twórczości zajmującego nas poety wyodrębniają się kolejno trzy (co najmniej) odmiany metafizycznego porządkowania świata. Nazywam je: **metafizyką materii martwej**, **metafizyką historii** i **metafizyką materii żywej**. Każda z nich ma to samo przeznaczenie. Konstytuuje nie tylko obraz całości — zewnętrznej wobec człowieka i ogarniającej jego bytowanie, ale jest to zawsze Całość obdarzona Sensem. Metafizyczny model świata Przybosia to hipoteza Sensu Całości. Póki żyjemy, pytamy o Sens. Dopiero śmierć pozbawia nas tej pasji. Jak w dwuwierszu z *Pierwszego spaceru we troje*: ginie, trafiona w serce, dziewczyna („z Kent w Ohio") — „i nie pyta już o wszystko: / o Cel, o Sens, o Świat".

4. Metafizyka materii martwej

Na początku lat dwudziestych młody Awangardzista — jeszcze nie wyzwolony spod wpływu Tadeusza Peipera, a już różniący się od swego mistrza — ostrzej niż przeor *Zwrotnicy* dostrzegał typowo polski syndrom gry między powinnościami poezji uczestniczącej w historii narodu a tęsknotą do uniwersalizmu. Począwszy od *Śrub* i *Oburącz* rozwiązanie Przybosia nie było wyborem jednej racji i odrzuceniem drugiej. Dążył do poezji napięć spotęgowanych, wiersz (poemat, jak mówiło się w kręgu Awangardy Krakowskiej) nie miał być miejscem adoracji jakiejkolwiek gotowej idei lecz obszarem pojedynku sprzecznych opcji. Pogodzenie awangardowej utopii społecznej z poetyką dzieła otwartego to zadanie niebywale trudne. Bez wątpienia w swych najlepszych wierszach z lat debiutowania Przyboś nie stał się propagandzistą *Zwrotnicy*, lecz organizatorem sporu wokół jej haseł. Mam na myśli takie utwory jak *Śruby*, *Martwa natura*, *Porwany przez przenośnię*, *We dwóch*. Idea budowy Polski Odrodzonej, jej włączenia w przestrzeń cudów cywilizacyjnych, zostaje wprojektowana w obrazy „budowlane" i „cywilizacyjne", a jednocześnie — oddalona od retoryki agitacyjnej, wydźwignięta ponad doraźność. Świat tych wierszy formuje się między hiperbolą a litotą. Rzeczy drobne, uchwytne, części maszyn, tworniki, pasy transmisyjne, śruby — olbrzymieją, wypełniają sobą krajobrazy nieskończenie wielkie.

„Fizyka" przechodzi w „metafizykę".

I odwrotnie (na przykład w *Martwej naturze*): niedosiężne figury geometrii nieba — „otchłanie", „głębiny", „bezmiary", „pędy", „piony", „widnokręgi", „sklepienia planetarne" zostają pomniejszone do przedmiotów oswojonych: bryk, wozów, lokomotyw, pomostów, drabin, ramp, trumien.

„Metafizyka" przegląda się w „fizyce".

Uporczywe pytanie krytyki ówczesnej, co w świecie poetyckim jest przestrzenią donioślejszą: świat czy wszechświat, poezja Przybosia odrzucała jako wadliwie sformułowane. Debiutujący twórca nie miał wątpliwości, iż o kraju trzeba pisać tak, jak gdyby to był kosmos, i o kosmosie tak, jak gdyby spełniał się cały tu i teraz: w kraju.[11]

Począwszy od tomu *Sponad* kosmosy zewnętrzne wobec podmiotu, złożone z rzeczy obcych i cudzego bólu, ulegają zasadniczym przemianom. Nowe wiersze sytuują się w nurcie lirycznym, pojawia się w nich „ja" poety, a wraz z nim jego czas, który ma rozmaite treści. Bywa czasem prywatnym Juliana Przybosia, chłopskiego dziecka, żołnierza, nauczyciela, turysty, mężczyzny przeżywającego uniesienia erotyczne i tragedię śmierci narzeczonej. Bywa czasem historycznoliterackim, diachronią gry o nowy typ artyzmu. Wreszcie — **czasem historiozoficznym**. Tu innowacje są najwyraźniejsze — surowa metafizyka materii ustępuje miejsca metafizyce historii.

5. Metafizyka historii

Piszą Janusz Sławiński i Michał Głowiński:

[Przed II wojną światową] okazją dla refleksji historiozoficznej były nie tylko wydarzenia z zamierzchłych czasów, także to, co działo się współcześnie. W latach dwudziestych cywilizacyjny optymizm oraz zafascynowanie codziennością i jej dynamiką nie sprzyjały rozwijaniu tej refleksji. Pojawiła się ona wtedy dopiero, gdy ów optymizm się załamał. Interesowały już nie tylko symboliczne znaczenia minionych wydarzeń historycznych, pojawiło się pytanie: ku czemu historia zmierza? Tak owo pytanie, jak próby odpowiedzi nie pojawiały się w formie dyskursywnej, wyrażały się zazwyczaj w poetyckich wizjach. Najpełniej — w poezji poetów wileńskich, czy ogólniej — w tym ruchu, który się zwykło określać mianem katastrofizmu.[12]

[11] Zob. *Sytuacje liryczne. Wybór poezji*, wstęp E. Balcerzan, wybór E. Balcerzan i A. Legeżyńska, Wrocław 1989, s. XI.

[12] *Poezja polska okresu międzywojennego*, op. cit., s. XLV–XVI.

Zgoda: optymizm cywilizacyjny Awangardy paraliżował myśl historiozoficzną, ale po pierwsze — do czasu, a po drugie — błędne by było mniemanie, iż wszelki optymizm musi być każdej metafizyce (w tym także metafizyce historii) z gruntu obcy. W pismach mężów uczonych można spotkać i taki pogląd, że zuchwalstwo imaginacji, które rodzi metafizyczne obrazy, wynika z tęsknoty do czasoprzestrzeni bezpiecznej, przyjaznej:

> Modelem metafizycznym *par excellence* jest rozszerzenie jakiegoś obrazu wytworzonego na podstawie [znajomości] ograniczonego kręgu zjawisk — **celem poczucia się dobrze** [podkr. moje — E. B.], w obrębie wszechświata jako całości.[13]

Taki jest wszechświat Arystotelesa, Spinozy, Leibniza.
Taka jest historiozoficzna czasoprzestrzeń poezji Przybosia. W przeczuciu zbliżającej się rzezi (to słowo pojawia się w jego wierszu), a także w obrazowaniu przepowiadającym wojnę — autor *Równania serca* przemawiał językiem katastrofizmu. Był wszelako, jak go nazywam, „katastrofistą radosnym". Jego teoria dziejów miała charakter frenetycznie teleologiczny. Historia, sądził, zawiera w sobie głęboki i optymistyczny Sens, ludzkość bowiem rozwija się w sposób rozumny, wedle nakazów postępu, bezustannie się doskonali przekraczając — „horyzont zą horyzontem" — własne ograniczenia. Nadciągającą wojnę pragnął więc — w *Równaniu serca* — rozumieć jako wybuch rewolucyjny, karę za nieprawości w imperium krzywdy społecznej.
Jeżeli metafizyka materii (ze *Śrub* i *Oburącz*) **sprzyjała** ograniczeniu poetyckiej publicystyki, to metafizyka historii w utworach witających nieuchronność wojny — wręcz **uniemożliwiała** polityczną aktualizację. Oczekiwana przez Przybosia wojna dzieje się w świecie abstrakcji, przebiega bez gry potęg militarnych, bez gazet i polityków, nie zna dyplomatycznych szarad i propagandowych demagogii końca lat trzydziestych. Wojenno-rewolucyjna **eksplozja** objawia się tu „metafizycznie" — w złym (naiwnym etycznie) sensie tego słowa...
Rzeczywisty wybuch wojny, która nagle wynurzyła się w brutalnej fizyczności — jako fizyczne zagrożenie życia — zawiesił (na kilka lat) historiozofię katastrofizmu „radosnego". Poezja Przybosia, dopełnienie słów narodowego hymnu (tytuł zbiorku *Póki my żyjemy*), zaczęła wypowiadać się „doraźnie" i „politycznie", reportersko i rozrachunkowo:

[13] Brett *Historia psychologii...*, op. cit., s. 10–11.

Samochody bez benzyny uciekały pędzone przez strach:
przestrzeń raz w raz wzdłuż dróg padała na wznak,
spod słońca jak spod tłoku
bombowce wgniatały uchodzących w piach.
[.....]
I wlókł się na własnym pogrzebie pochód niedoszłych żołnierzy;
z żałobną, fałszywą dumą, jak order zdjęty z poległych,
ktoś współczuł, chełpił się, drwił:
— Szarżowaliśmy czołgi!
Jeszcze dziś czuję rozpacz z tego wstydu: żem — przeżył.

Znów popłoch aut niósł mię przeskakując biegi
szosą z góry — w dół — w górę jak huśtawkę mil.
Świtało, u szczytu drogi
słońce wzeszło z pyłu i krwi.
[*U szczytu drogi*, wrzesień 1939 r.]

Wtargnięcie żywiołu potocznego, prymat aktualności (klęski) nad refleksją porządkującą, „życiowa" chaotyczność zdań, które nie tylko komunikują popłoch, ale same są w stanie popłochu, wszystko to narzuca się czytelnikowi natychmiast — z nieodpartą mocą. Jestże w takiej retoryce szansa dla metafizyki? Czy w utworach Przybosia z lat wojny po zdruzgotanej metafizyce historiozoficznej zarysowuje się nowa wersja metafizycznego sensu świata?
W zakończeniu *U szczytu drogi* pojawia się słońce. Wschodzi z pyłu i krwi. To samo słońce, które na początku analizowanego wiersza razem z bombowcami mordowało ludzi, jest nadzieją przetrwania — życia.

6. Metafizyka materii żywej

Zmierzam do tezy, iż próżnię po historii zajmuje w wierszach Przybosia — natura, a zaczyna się to w latach wojny: w chwili, gdy globalna wizja poetycka daje pierwszeństwo materii żywej nad materią martwą.
Tak, pamiętam: nobilitacja natury (jako źródła sytuacji lirycznych) dokonała się wcześniej. Pierwsze symptomy przełomu — co odnotowała krytyka natychmiast! — pojawiły się już w tomie *Sponad* (1930), znamy je z takich — bezapelacyjnych — arcydzieł sztuki poetyckiej XX wieku, jak *Krajobraz* i *Drzewiej*. Lecz zjawienia natury są w poezji przedwojennej interwencjami przypadku, chwilowymi organizacjami bytu, który

w istocie swej należy do chaosu, znajduje się w stanie dzikiej i groźnej — wobec poety — obcości. Fenomeny natury (krajobrazy, skały, pagóry, „orle dzioby urwiska", deszcze, wiatry czyli „miejsca wyszarpnięte z drzew" etc.) są eksplozjami agresji, zwiastunami przemocy i gwałtu. Ich energie uśmiercają, niszczą życie w „gromobiciu ciszy" (*Z Tatr*). Nawet gdy olśniewają urodą, gdy wydają się epifaniami piękna, „pochodami zórz wiekopomnych" (*Z rozłamu dwu mórz*), okazują się maskami pośmiertnymi próżni. W spotkaniu materii martwej z materią ożywioną wygrywa to, co martwe. Jest to martwota inna niż ta, którą znamy ze *Śrub* i *Oburącz*, a także z wierszy kontynuujących metafizykę cywilizacyjną w *Sponad*. Tamta, cywilizacyjna, otwierała się przed człowiekiem, gdyż to człowiek budował ją — pracą, uświęcał religią pracy. Wszechświat przypominający halę produkcyjną czy wnętrze tokarki miał kształt oswojony. Natomiast przyroda dzika, zdominowana przez śmierć, umie tylko odtrącać lub zabijać. Tak więc w liryce przedwojennej Przybosia stykamy się z obrazami przyrody, ale nie z metafizyką przyrody. Przyroda w *Sponad*, w *W głąb las* i w *Równaniu serca* — poza sporadycznymi, potwierdzającymi normę wyjątkami — nie jest jeszcze Całością: nie jest zwłaszcza **Próbą Całości** podejrzewanej o **Sens Ocalający** człowieka.

Dopiero w *Póki my żyjemy* dochodzi do zmiany systemu wartości. W obliczu wojennej, okupacyjnej zagłady nie można już ani powrócić do metafizyki maszyn (bo maszyny to śmierć: bombowce i czołgi), ani do metafizyki historii (historia to także śmierć, to te same czołgi i bombowce). Cóż pozostaje? Odpowiedź — określającą istotę nowej, trzeciej metafizyki Przybosia, daje początek wiersza *Jesień 42*:

Nadciąga zagłada
a ja kłonię gałąź jabłoni:
ukrywam się w podziwie...
trzymam w dłoni jabłko tak prawdziwie
że władam,
rzeczy tknięte moim wzruszeniem przytaczają się słownie —
z każdym rokiem szybciej
planeta toczy mi się do rąk.

Odtąd metafizyka przyrody zdominowanej przez rozmaitość form życia, metafizyka materii żywej, a jeżeli martwej to na życie nakierowanej, ku niemu zwróconej — jak słońce, jak „ziemia ornie pojęta" — będzie w poezji Przybosia poszukiwała wciąż nowych form wyrazu. Nie sposób

opisać tu obfitości odcieni i odmian (a także klęsk i regresów) — najbogatszej, rekonstruowanej przez wielu znawców — metafizyki autora cyklu *Wiosen*.[14]

W jednym z ostatnich jego wierszy *W głąb las (II)* odzywająca się w lesie kukułka przepowiada człowiekowi u kresu sił — kilkadziesiąt lat życia! Jest bezmyślnie hojna, aż do bolesnej drwiny: „słucham, a kukułka nie ustaje, kuka". Być może — wbrew ludowym „metafizykom" zaklinaczy i szeptunów — jej głos nie odlicza lat życia: być może jest wołaniem zmarłej Matki. Przed paradoksami istnienia poezja broni się potęgując antynomie świadomości. Zauważmy, iż poetyka spotęgowanych przeciwieństw tradycyjnie (od baroku) sytuuje się w centrum liryki nazywanej **metafizyczną**.

Starość i ciężka choroba poety to powracająca coraz częściej okoliczność („sytuacja liryczna"), która w wierszach ostatnich Przybosia sprzyja gwałtownej inwazji obrazów i pojęć z kręgu metafizyki natury. Metafizyka sprzymierza się z terapią. Ma cel leczniczy, stanowi sposób na rozpacz:

Tylko co, co skończone a otwarte:
morza i niebo,
krągła Całość, niewymierny Ogół,
stała oddal, nieustanny ruch
uleczy...
[*Na morzu*]

Poeta odrzuca więc — konsekwentnie — filozofię marności nad marnościami, która, dziś najuporczywiej w pismach Heideggera, z dumnej myśli czyni „myślą dziurę":

Od stołu podpartego mądrościami, z których
„Nichts nichtet!" — kostką palca grozi mi Philosoph

[14] „U Przybosia do życia powraca świat i dlatego figurą zmartwychwstania jest u niego wiosna" — konstatował Ryszard Przybylski, nawiązując do Kwiatkowskiego teorii **mitu agrarnego**. „Przyboś mówił o zmartwychwstaniu natury. Aby przezwyciężyć grób, człowiek Przybosia musi stać się częścią przyrody" (R. Przybylski *To jest klasycyzm*, Warszawa 1978, s. 106). W wygłoszonym na konferencji poświęconej Przybosiowi (Chicago 1992) referacie zatytułowanym *Metafora absolutu* Maria Delaperrière [kolejny szkic w tym numerze „Tekstow Drugich"] przeciwstawiła się interpretacji poezji Przybosia w kategoriach mitu agrarnego. Jej zastrzeżenia są trafne — choćby z tego względu, iż poeta z zasady nie przenosił do liryki gotowych idei. Mit agrarny pojawia się w jego wierszach, ale jest w nich natychmiast komplikowany, poddawany rozmaitym próbom — aż do zaprzeczenia.

i zapędza spłoszoną myśl do myślej dziury
(a podparty okulał już na drugą nogę)
odrywa mnie córeczka — *Bawmy się w chowankę!*
Możesz?
Mogę...

Jednakże tego typu enuncjacje bywają w krytyce absolutyzowane i, przykro to powiedzieć, prymityzowane (szczególnie niefrasobliwie obchodzi się z *Chowanką* w swojej książce o Przybosiu Andrzej Cieński). Tymczasem głośne, tak niektórych irytujące, Przybosiowe „istnienie w podziwie" (*Ów halcyjon*), jego hymniczna apologia zachwytu, pochwała mocy zdolnej do ogarnięcia całości bytu —

że jest mi
jakbym ujął cały
świat we światłobarwie woni
[*Projekt wiosenny*]

— jego widzenie świata jako światła (w poezji utożsamianej z *narzędziem ze światła*) — to tylko jeden biegun wyobraźni. Powiedzmy: biegun silniejszy, o większej sile przyciągania, najczęściej zdobywany. Ale „próba całości" **dwubiegunowego** świata poetyckiego Przybosia nie jest uwolniona od mroku i nicości. W jego wierszach wcale nie tak rzadko, i bynajmniej nie wyłącznie w celach wychowawczo-polemicznych gości „nicość", „nicestwo", „trwoga i groza", „niemota natury"; pojawia się bardzo często (niemal jak u Tadeusza Różewicza) słowo „nic" („natarczywe nic", „nic nieobecne. Najpierwsze", „Przestrzeń: nic śródistniejące"). Gdy czytamy: „być / wszystkim światłem we wzniesionym niczym" (*Światło w katedrze*), „równanie świata" staje się spotkaniem istnienia i nieistnienia.

W języku tej liryki, odrzucającej, owszem, ale i rozumiejącej nicość, prawomocne są i takie „równania" sensów, w których „żywe drzewo" to „zaprzeszła trumna", a „ja" — odczuwane najintensywniej — znaczy tyle co „nikt", skoro poecie wolno powiedzieć: „Przepowiada mi wieczność — nikomu".

Na dalekich obrzeżach metafizyki przyrody dzieje się bytowanie negatywne, *sui generis* **przeciwistnienie**, **istnienie „zaprzeczne"** (neologizm Przybosia), narzucające wyobraźni — i polszczyźnie — fenomeny nazywane „nierzeczami" lub „przeciwbytami" (*Zanim minęło*).

Julian Przyboś jest poetą wyrazistym i rozpoznawalnym natychmiast.

Tego nie ma odwagi odmówić mu nikt: nawet najbardziej zajadły niszczyciel. Ale wyrazistość charakteru pisma bywa w procesie recepcji zdradliwa. Przyzwyczajeni do form dominujących — możemy prześlepić to, co rzadsze, subtelniejsze, sporadyczne, a przecież nieodzowne dla pełni. Gdy pojawia się w świecie wiersza — nie frenetyczny okrzyk, nie wybuch zachwytu nad światem, lecz — „cisza tak słaba, / że słyszę w niej / ciszę: silną i zaprzeczną, / zamilczającą światło nade mną / wielkie jak nieobecność"; gdy w tym samym wierszu przeczytamy dalej: „a ja kończę / głucho i ciemno / nicestwem słowa «wieczność»", musimy pokonać nawykowy, jednostronnie „apolliński" styl odbioru poezji autora *Chowanki* i przyjąć do wiadomości fakt zaświadczony tekstem, że **to także napisał Przyboś** (cytaty pochodzą z wiersza *Nieobecność*). Trzeba ukorzyć się przed prawdą filologii, nawet jeżeli traktujemy serio pomówienie z *Lekcji* Ionesco, jakoby filologia prowadziła „do najgorszego"...

Od redakcji: *Szkic zaprezentowany jako referat na Międzynarodowej Konferencji poświęconej Julianowi Przybosiowi, którą z wielkim poświęceniem, pomysłowością i rozmachem zorganizował prof. Tymoteusz Karpowicz (Chicago, 8–12 kwietnia 1992 r., The University of Illinois at Chicago, The Norwid Society). Na tejże konferencji przedstawiony został także kolejny tekst w numerze — autorstwa Marii Delaperrière.*

Maria Delaperrière

Metafora absolutu

W kręgu utopii

W *Sensie poetyckim* Juliana Przybosia znalazła się taka polemika ze znanym stwierdzeniem Norwida:

> Poetą ani się nie jest, ani też — niezbyt trafnym wydaje mi się tyle razy cytowane powiedzenie Norwida, że się poetą bywa... P o e t ą s i ę s t a j e.[1]

Powyższe słowa pochodzą z lat sześćdziesiątych, to znaczy z okresu, kiedy sama koniunktura nadawała im zabarwienie marksistowskie. Przyboś zresztą przed taką interpretacją bynajmniej się nie bronił: w tym samym artykule, przytacza i komentuje marksistowskie credo materialistyczne: „Myśl Marksa, że człowiek kształtuje się w trakcie działania społecznego, odnosi się w szczególny sposób do artystów".[2]
Takie oto sądy, a jest ich, jak wiadomo, wiele, spychają obecnie Przybosia do literackiego czyśćca — podobnie jak wszystkich tych, których nazwiska kojarzą się z zanegowaną dziś epoką i jej mocno skompromitowaną ideologią — co można uznać za ironię losu, i to tym

[1] J. Przyboś *Sens poetycki*, Kraków 1967, t. 1, s. 52.
[2] Tamże.

okrutniejszą, że Przyboś–poeta (a więc nie ideolog) dążył przecież zawsze do ponadczasowości odrzucając świadomie historię!
Na czym polega nieporozumienie i gdzie się zaczyna? Czy w świadomości samego Przybosia, który nie potrafił stworzyć odpowiedniego dystansu wobec własnej epoki? A może nie docenił on wystarczająco odbiorców swej poezji, łudząc się, że będą dalej podążać tym samym co on tropem w radosnej wierze w cywilizacyjny postęp? W swoich optymistycznych złudzeniach Przyboś nie przypuszczał chyba, że sama jego złożona i pełna sprzeczności osobowość zostanie zamknięta w mity. Najpierw powstał mit materialistycznego piewcy współczesności, który tak silnie utrwalił się w świadomości krytycznej, że nawet głębokie dzieło Jerzego Kwiatkowskiego[3] poświęcone Przybosiowemu uniwersum nie zdołało go dotąd całkowicie podważyć[4]. Wprost przeciwnie, wydobycie na pierwszy plan archetypów wyobraźni poety przyczyniło się do powstania nowego, funkcjonującego do dzisiaj mitu poety–chłopa, zgodnie z którym chłopskość ma wyjaśniać rzekomo metafizyczną bezkonfliktowość jego poezji, co najdobitniej wyraził Wiesław Paweł Szymański, stwierdzając, że „wyłączny związek z ziemią uniemożliwił [Przybosiowi — M. D.] rozdarcie między ziemię i niebo".[5]
Tak więc po niebezpieczeństwach awangardowych Przyboś wpadł w pułapkę antropologiczną, pogrążając się w dodatkowych sprzecznościach: „Esteta czy Scyta?" — zastanawiał się już kiedyś Sandauer[6]. Konstruktywista — czy chłop? — można by mu przywtórować echem, choć dziś nie tyle o dylematy samego Przybosia chodzi, ile o dzieło stanowiące już zamkniętą całość, w którym sprzeczności pokonać można jednym tropem godzącym niepodobieństwo w podobieństwie. W imię tej poetyckiej jedności wypada jeszcze raz powrócić do sprawy Przybosiowego rozdarcia między niebo i ziemię.

[3] J. Kwiatkowski *Świat poetycki Juliana Przybosia*, Warszawa 1972.
[4] Chodzi mi tu o opinie najbardziej rozpowszechnione, co oczywiście nie wyklucza wyjątków, do których należą przede wszystkim cenne prace monograficzne Edwarda Balcerzana oraz wnikliwe analizy Zdzisława Łapińskiego i Jacka Łukasiewicza.
[5] W. P. Szymański *Julian Przyboś*, Warszawa 1978, s. 59.
[6] A. Sandauer *Esteta czy Scyta? albo Robotnik wyobraźni*, w: *Poeci trzech pokoleń*, Warszawa 1977.

Antropologia czy awangarda

Zacznijmy od sprawy kluczowej, najczęściej poruszanej przez krytykę, a związanej bezpośrednio z programowym wyznaniem samego Przybosia: „Z nadmiaru ziemi zostałem poetą"[7]. Trudno o bardziej wymowną manifestację własnych chłopskich korzeni. Ale przecież nie tylko o korzenie chodzi. Nadmierna afirmacja świata nie wynika u Przybosia z upojenia ziemią w antropologicznym rozumieniu słowa, ale wiąże się głęboko z wielkimi utopiami awangardowymi, które już w początkach wieku kształtowały współczesną mentalność i wyobraźnię rozwijającą się w całej Europie, a także i poza jej granicami. Szeroki zasięg tego zjawiska nie pozwala kojarzyć awangardy z jedną konkretną koniunkturą. Wyrastała ona, jak wiadomo, z woli podboju i opanowania nie tylko przypadkowości świata (co jest chyba cechą każdej sztuki), ale także świadomego włączania się w jego ewolucję[8]: „Sztuka — głosi Przyboś — zaczyna się tam (...) gdzie się kończy naśladowanie osiągniętego już sposobu widzenia"[9]. Tu chyba należy szukać sensu cytowanej na początku definicji poety, który „się staje". Stawanie się jest zawsze dramatem. U Przybosia dramat rodzi się z opozycji między teraźniejszością a pojęciem czasu nieskończonego zakorzenionym w świadomości poety. Przyboś jest nie tylko zafascynowany, ale i jakby porażony nowoczesnością, podważającą jego wieśniaczą tożsamość, choć z drugiej strony grawituje bezustannie ku rodzimym archetypom, na co już Jerzy Kwiatkowski zwrócił szczególną uwagę:

> fascynacja powietrzem, lotem, światłem — współbrzmi tu jednak zawsze z, bardzo chłopskim, kompleksem Anteusza. Przyboś nie może istnieć bez stałych — w wyobraźni — powrotów w rodzimość i rodzinność, na wieś, do ziemi, w świat regulowany zmianami pór roku, relacją: Ziemia–Słońce.[10]

Epistemologiczny opis Kwiatkowskiego nie wyjaśnia jednak motywów

---

[7] Por. Przyboś *Ziemią gwiezdnie pojętą*: „Ziemią, ornie pojętą, / aż tak idąc, aby tylko przekraczać widnokrąg — / Urodzony do pługa — z nadmiaru Ziemi zostałem poetą. / Ziemi kłaniam się niebem."

[8] Por. A. Turowski *Wielka utopia awangardy. Artystyczne i społeczne utopie w sztuce rosyjskiej 1910–1930*, Warszawa 1990.

[9] Przyboś *Sens poetycki*, t. 1, s. 232.

[10] Kwiatkowski, op. cit., s. 163.

owego „bardzo chłopskiego" kompleksu Anteusza. Spróbujmy więc zderzyć go z nowoczesnością. Okazuje się wtedy, że dwa opozycyjne kręgi tematyczne, do których odwołuje się wyobraźnia Przybosia (z jednej strony „ziemia"... „koła wozu"... „pochyłość pagórów"... — z drugiej — „krzywa horyzontu"... „powietrze"... „słońce"...) odpowiadają dwóm typom wyobraźni, które funkcjonują wymiennie, wchodzą w rozmaite związki lub też przeczą sobie nawzajem. Pierwszy typ związany jest z przestrzenią rodzimą i wspomnieniami z dzieciństwa, które Przybość ciągle uobecnia, drugi natomiast wynika ze statusu człowieka współczesnego, poddając jego pierwotną wyobraźnię ustawicznej konfrontacji:

Do tych zdarzeń-żywiołów, co porywały mnie w dzieciństwie i unosiły w zachwycające morze doznań najpierwszych, pierworodnych, rajskich — musiałem wracać pamięcią, jak wyobraźnia człowieka wraca do mitycznego Raju. (Mit Raju jest, jak wiadomo, hipostazą wspomnień z minionego dzieciństwa.) Ale nawet te zamierzchłe a wciąż żywe wspomnienia poddawałem nieraz próbie ognia wyrywanego bóstwom przyszłości. Nie chciałem, żeby Dzieciństwo pradawniało i przemieniało się w mit, w „archetyp" losu poetyckiego.[11]

Ta konfrontacja wspomnienia ze świadomością współczesną daje początek epifanii „bezbożnej" (bo desakralizującej), o której kiedyś sam Przyboś wspominał.[12] A oto przykład:

U stoku
ojciec mały na obydwu kolanach
skłaniał niebo od czoła spadającą ręką —
[*Ścięcie jaworu*, s. 518][13]

W oczach dziecka rytualny gest modlącego się człowieka traci swój religijny charakter, mały ojciec wzrasta do wymiaru demiurga, rozwspanialającego świat. Motyw ten będzie często powracać, stając się wyrazem „bluźnierczej" postawy Przybosia wobec tradycji agrarnej opartej na hierarchii i rytuale:

znad krawędzi widoku, unurzany w chmurach
mój ojciec wychyliwszy się otwiera
okolicę,
przez chwilę na tle gwałtownych obłoków — ogromny
[*Z pamięci*, s. 143]

Przyboś zresztą nie tylko wyrywa się w ten sposób z mitu dzieciństwa,

[11] Przyboś *Sens poetycki*, t. 2, s. 63–64.
[12] Op. cit., t. 1, s. 41.
[13] Wszystkie przytoczenia wierszy wg: J. Przyboś *Utwory poetyckie*, Warszawa 1971.

ale podważa równocześnie całą mitologię kulturową odwołującą się do pamięci zbiorowej. Poddawanie próbie ognia własnych archetypów staje się zasadą tworzenia, wobec którego analiza antropologiczna okazuje się niewystarczająca. Sprawdźmy to na konkretnym przykładzie, w którym często dopatrywano się związków z mitem wiecznego powrotu:

W widnokręgu, który objął mnie w dzieciństwie,
Ziemia nieść mię będzie w wieczność koło słońca.
[*Słońce ze wzgórz Gwoźnicy*, s. 163]

W tym bardzo zagęszczonym dwuwierszu Przyboś zamknął metaforycznie całą egzystencję od narodzin (widnokrąg skojarzony z ramionami matki obejmującymi dziecko) po wieczność, która przybiera konkretny kształt niekończącego się ruchu ciał niebieskich. W obrazie Przybosia nie ma miejsca na śmierć, nie ma też zmartwychwstania. Trudno więc mówić o micie wiecznego powrotu, pojmowanego antropologicznie. Odrzucając śmierć, Przyboś sprowadza egzystencję do jednego, fizycznego wymiaru, w którym czas wieczności konkretyzuje się i przeobraża w przestrzeń zamkniętą kręgiem bezustannych obrotów ziemi.
Przyboś nie podejmuje dyskursu filozoficznego, ale w samym skondensowanym obrazie przeciwstawia eschatologii śmierci eschatologię życia. Tego typu strategia poetycka bliska jest malarstwu nowoczesnemu, które począwszy od doświadczeń kubistycznych szukało także inspiracji w scjentyzmie, o czym ciekawie pisze Jakobson, odwołując się do epoki, której sam był aktorem:

Z natury rzeczy pociągał nas w tym kierunku wspaniały rozwój nowoczesnej fizyki, a także teoria i praktyka kubizmu w malarstwie, w którym wszystko opiera się na relacji i współdziałaniu części i całości, koloru i formy, przedstawienia i tego co przedstawione.[14]

Przyboś był, jak wiadomo, niezwykle głęboko związany z malarstwem: „od początku swojego pisania — wyznaje — patrzyłem na malowanie; więcej upodobania znajdowałem w obrazach i rzeźbach niż w wierszach"[15]. Jest to wyznanie arcyważne: przecież ćwierć wieku wcześniej Apollinaire w podobny sposób — zazdrośnie podziwiał nowoczesną sztukę malarską, która w jednym rzucie potrafi uchwycić czas i prze-

[14] R. Jakobson *Pojęcie cech dystynktywnych w językoznawstwie. Wspomnienia i rozważania*, w: *Językoznawstwo strukturalne*, wybór tekstów i red. H. Kurkowska i A. Weinsberg, Warszawa 1979, s. 19–20.
[15] Przyboś *Sens poetycki*, t. 2, s. 293.

strzeń! Ale Apollinaire'owi chodziło przede wszystkim o zerwanie z opisem i przedstawienie symultaniczne odrębnych momentów akcji. Do nowej wizji świata dochodził poprzez metonimiczne zestawianie cząstek rozbitej rzeczywistości, zbliżając się tym samym do malarskich kompozycji kubistycznych. Dla Przybosia, który startować będzie nieco później, w okresie wykrystalizowanego już w pełni konstruktywizmu, doświadczenie kubistyczne stanie się jedynie twórczą odskocznią dla wyobraźni wyzwalającej się z *mimesis*.[16]
Sam eksperyment poetycki koncentrować się jednak będzie nie tyle na dochodzeniu — jak u kubistów — do esencji rzeczywistości, ile na relacjach między podstawowymi składnikami świata, to znaczy przestrzenią, czasem i materią. Gdy spojrzeć na dzieło Przybosia od tej właśnie strony, łatwo zauważyć, że odtwarza on na swój sposób drogę, która prowadzi od zdynamizowanych form geometrycznych, jak na przykład w futurystyczno-kubistycznym malarstwie Fernanda Légera, ale która też bardzo prędko zbliży go do suprematyzmu i unizmu.[17] Przybosia–konstruktywistę zafascynuje stopniowo bezprzedmiotowość, prowadząca ku rzeczywistości absolutnej, zarówno widzianej jak i zakrytej. Jeszcze w latach sześćdziesiątych powietrzne rzeźby Katarzyny Kobro wzbudzą w nim entuzjazm, poetycką wręcz egzaltację: „Rozluźnić świat rzeczy, nabrać rozmachu, otworzyć przestrzeń! Oderwać się od ziemi!"[18]. Odrywanie się od ziemi stanie się dla Przybosia podstawową zasadą twórczą (aczkolwiek — jak zobaczymy — nie celem).

Nowa kosmogonia

Będzie to jednak proces bardzo złożony i — paradoksalnie — dwukierunkowy. Przyboś bowiem bezustannie odwraca odwieczną relację między ziemią a niebem: z jednej strony nadmiar materialności wyzwala z ziemi energię, która porywa ją w wertykalnych wybuchach ku niebu, prowadząc tym samym do zaniku jej materialnych konturów: „Nawał wylewa ziemią na niebo" (*W góry*, s. 44). Z drugiej

[16] Por. M. Delaperrière *Les avant-gardes polonaise et la poésie européenne (1918–1930)*, Paris 1990.
[17] Charakterystyczny jest pod tym względem młodzieńczy tom Przybosia *Śruby* (1925).
[18] Przyboś *Sens poetycki*, t. 1, s. 306.

natomiast, niebo okrążone horyzontem konkretyzuje się w podwójny sposób — w percepcji i... w świadomości: „Góry na górach — patrzone na widzianych — stoją" (*Tam w urwisku*, s. 218). Ten ostatni przykład szczególnie ciekawie ilustruje sposób, w jaki Przyboś materializuje nieskończoność. Nie chodzi mu o kondensację świata, jak to się działo u kubistów (na przykład u Marcela Duchamp, który w *Akcie schodzącym po schodach* nakłada na siebie różne momenty ruchu, przezwyciężając w ten sposób linearność czasu), ale o uchwycenie świata w jego wymiarze absolutnym, to znaczy zarówno materialnym, jak i pojęciowym.

Trudno tu już mówić o zmysłowym jedynie „doznawaniu świata". Związki Przybosia z suprematyzmem prowadzą do ciekawego zderzenia postrzegania i widzenia przedrefleksyjnego, to znaczy widzenia nie obciążonego jeszcze pamięcią, owego „oka dziewiczego", o którym Przyboś często pisał:

> Twórcy suprematyzmu, neoplastycyzmu, podobnie jak twórca widzenia unistycznego — oni mieli to oko dziewicze. Umieli w pewnym stadium swoich doświadczeń plastycznych wyplątać się ze wszystkich ustalonych konwencji i ujrzeć rzeczywistość tak, jak jej jeszcze żadne oko nie widziało.[19]

Tworzyć to znaczy poznawać, poznawać to znaczy posiąść lub ściślej zjednoczyć się ze światem, być współ-twórcą jedności; złączyć bycie i posiadanie. Przyboś widzi tu właśnie sens i celowość twórczą. Gdy rzuca pytanie: „świat cały — jakże zmieścić go w źrenicy?"[20], nie chodzi mu o zachłyśnięcie się światem znane poetom od czasów Whitmana.[21] Przyboś pragnie powołać do istnienia świat momentalny, w którym początek i koniec spotykają się w zenicie i stają się prefiguracją nieskończoności:

> Promień błysnął — i natychmiast słońce
> spadło jak cegła.
> Zabiło czas, kiedy z mroku wychylał
> swój początek zjednoczony z końcem.
> [*Nieruchomość*, s. 286]

Toteż świat zredukowany do zjawiska („Świat się spełni od razu,

[19] Op. cit., t. 1, s. 21.
[20] Por. *Znikłe czółno*, w: *Utwory poetyckie*, s. 110.
[21] Por. M. Delaperrière, op. cit., s. 45–48.

w błysku!" — *Niedostrzegalnie*, s. 135) — to równocześnie świat zamknięty w linii widnokręgu, świat nie pozwalający przekroczyć granicy między widzialnym i niewidzialnym. Desakralizacja kosmosu i odrzucenie wieczności są ze sobą ściśle związane:

daleko, nisko, tam pod nieboskłonem,
słońce. Jasne jak rozpad ciał — a ja kończę
głucho i ciemno
nicestwem słowa „wieczność"
(echem bez głosu).
[*Nieobecność*, s. 325]

Odtąd wszystko dzieje się po tej stronie horyzontu, co nie wyklucza stałej woli przekraczania go w ruchu, dojścia do punktu najodleglejszego:

Na wzniesieniu najdalszym, ze słowem naczelnym
stanę na koniec —
Głową
odsłonię
gwiazdę;
świat uzupełnię.
[*Na wzniesieniu najdalszym*, s. 132]

To zaś najciekawiej krystalizuje się w odwołaniach malarskich: „I — zachodząc — rysowałeś horyzont za horyzontem" (*Obraz. Pamięci Władysława Strzemińskiego*, s. 279).
O malarstwie bezprzedmiotowym Przyboś pisał, jak wiadomo, wiele, co pozwoliło mu równocześnie skrystalizować własny stosunek do przestrzeni i czasu. Charakterystyczne są pod tym względem jego sądy o Malewiczu, którego obrazy definiuje jako „znak pędu w przestrzeń".[22] Przyboś wprawdzie nigdy nie pokusił się o przedarcie się przez granice horyzontu, jak zrobił to Malewicz, objawiając triumf białego kwadratu nad doskonałością kosmiczną koła, ale uznał doskonałość bieli Malewiczowskiej jako „istotne przedstawienie nieskończoności".[23] Jest to oczywiście biel sama w sobie wyzbyta wszelkiej symbolicznej tajemnicy. A jak wiadomo:

Tajemnicą jest tworzenie znaku, a znak to realne uzewnętrznienie tajemnicy, dzięki któremu można ogarnąć nieznane głębie nowego.[24]

[22] Przyboś *Sens poetycki*, t. 2, s. 241.
[23] Op. cit., t. 1, s. 96.
[24] K. Malewicz *O poezji*, „Izobrazitielnoje iskusstwo" 1919 nr 1, s. 34, cyt. za A. Turowski, op. cit., s. 73.

Są to słowa Malewicza, ale można by je przypisać Przybosiowi, który wyraźnie zbliżał się do Malewicza w swym poszukiwaniu doskonałości, którą pojmował jako substytut Transcendencji. Doskonałość ową Przyboś nosił jakby w sobie, odrzucając, podobnie jak suprematysta Malewicz, boską doskonałość świata. Tu właśnie znajdował się początek nieskończonego podboju przestrzeni kosmicznej prowadzącego do znacznie głębszej utopii niż utopia marzeń produktywistycznych...

Nieskończoność chwili czy chwila nieskończoności

Zajmując miejsce Boga, Przyboś tworzy własną kosmogonię, obala ustalony porządek czaso-przestrzenny, tworzy nowe związki między elementami krajobrazu i „ja" lirycznym. Formy geometryczne takie jak elipsa, krzywa czy koło to archetypy wyobraźni (zauważył to już słusznie Kwiatkowski), ale zarazem elementy przestrzeni zbudowanej na zupełnie innych zasadach, niż w tradycyjnych wizjach poetyckich opartych na *mimesis*. Nowa kosmogonia nie ma żadnych stałych zasad. Toteż każdy rodzący się dzień pozwala przeżyć na nowo genezę świata:

Zaczęło się
jak koło od stelmacha toczone o świcie
do kowala po obręcz tak długo pod górę,
aż pagór
odwróci się od nieba i uskoczy na dół
ku dolinie [...]
[*Początek*, s. 16]

Ale równocześnie hierarchia kosmiczna ulega zachwianiu:

Po powietrzu spada widok gór.
[*Deszcz*, s. 27]

w oczach przewraca się obnażona ziemia
do góry dnem krajobrazu,
niebo strącając w przepaść!
[*Z Tatr*, s. 98]

Świat się rozluźnia,
grunt cofa się ku dolinom, a trwa i śpiewa jedynie
niezerwany owoc powietrza:
ptak.
[*Żyje, wołać*, s. 26]

Naruszenie równowagi krajobrazu wywołuje wrażenie umyślnego niewykończenia, zaskoczenia w ruchu twórczym imitującego jakby szaleństwo twórcze Boga, o którym pisał Malewicz:

świat jest szaleństwem Boga, który się wyzwolił wchodząc w stan spoczynku. Człowiek, który osiągnął doskonałość wyzwoli się z szaleństwa, stanie się Bogiem. Ale człowiek nie znosi spoczynku, spoczynek wieczny go przeraża, bo równoznaczny jest z nicością i kiedy człowiek zbliża się do wiecznego spoczynku, zbliża się do Boga, zrywa się, wszystką mocą swego szaleństwa i krzyczy: nie, nie chcę być, innymi słowy „nie chcę być Bogiem".[25]

Jest rzeczą oczywistą, że podobnych rozważań nie znajdziemy u Przybosia, ale rzucają one światło na napięcia dramatyczne między człowiekiem i zaświatem, które tutaj funkcjonują w ukryciu. Dążenie do piękna absolutnego stapia się u Przybosia z obawą skończoności, która doprowadzić może do inercji, odbierając twórczości jej sens najwyższy, związny z samym działaniem twórczym. Ciekawym przykładem podobnych obaw są wiersze poświęcone katedrom gotyckim. Przyboś uznaje ich doskonałe piękno, które równocześnie go przecież niepokoi. Jego poetyckie katedry nie sprowadzają się jedynie, jak zwykło się uważać, do apologii ludzkiego wysiłku twórczego, przeciwstawionego aktowi stwórczemu Boga. Przybosia zachwyca a równocześnie przeraża skończoność katedr, wywołując w nim poczucie metafizycznej klaustrofobii: „Przywalony kamieniami widzę nic" (*Katedra w Lozannie*, s. 278). Zatem piękność skończona jest jednoznaczna ze śmiercią: przepaść ciemności wciąga budowniczych katedr, gdy osiągną oni doskonałość absolutną:

Wystrzeleni z ostrołuków na wysokość wniebowzięcia,
powaleni do krypty:
są — w zamurowanym czasie.
[*Światło w katedrze*, s. 305]

To bardzo ważny obraz, uwydatniający podstawową sprzeczność Przybosia: spełnienie kojarzy się tu z ciemnością śmierci, dążenie do wiecznego niespełnienia będzie zarazem dążeniem ku światłu. Toteż piękności skończonej zostanie przeciwstawiona chwilowa migotliwość rozbłysku świetlnego:

Nie ma mocy z granitu, której nie podważy
nikłość,
przenikliwa i łatwa,

[25] K. Malewicz *Écrits par A. B. Nakow*, ed. Camps Libres 1975, s. 350.

rozpędzona nikłość promienia.
[*Widzenie katedry w Chartres*, s. 304]

Dochodzimy do istoty Przybosiowej kosmogonii opartej na chwili niepowtarzalnej:

Żyję tu w wielkim Zegarze Słonecznym, którego tarczą jest widnokrąg, a wskazówkami najwyższe drzewa. I odczytuję na nim jedyność każdego dnia, jego niepowtarzalną istotę, jego „dzienność". Służy mi do tego najwyższa sosna na wzgórzu, wskazująca Dzień, jego wznoszenie się, szczyt, jego skłon i spełnienie. Ale mój doświadczany Dzień nie dzieli się na godziny i jego szczyt nie przypada na południe. Jest tak, że istotność i jedyność dnia, to, co się już nie powtórzy i zdarzyło raz na — wielkie, puste słowo — na „wieczność", czyli dla mnie raz na zawsze, że owa „dzienność" dnia dzieje się codziennie kiedy indziej.[26]

Ale tu rodzi się nowa sprzeczność. Jedyna chwila, pojęta jako moment twórczy, ma być ratunkiem przed skończonością (to znaczy śmiercią). Jak jednak utrwalić twórczą chwilę i tym samym nie zepchnąć jej w skończoność dzieła? Toteż Przybosiowa utopia chwili twórczej sięga jeszcze głębiej i dalej. Chwila utrwalona w dziele wpisuje się w ciąg odwiecznie powtarzanych aktów twórczych. Stąd niezwykle ważna rola dialogów kulturowych, które Przyboś nawiązuje kolejno z Leśmianem, Norwidem i przede wszystkim ze Słowackim. Nie chodzi mu przy tym o ustalanie granic własnej oryginalności. Przyboś nie zna kompleksów twórcy sparaliżowanego faktem, że wszystko co powie, zostało już wielokrotnie wyrażone. Wprost przeciwnie: kiedy w wierszu *Z rozłamu dwu mórz* sięga po pozornie zużyty temat zachodu słońca, rzeczywiste przeżycie nabiera nowego blasku właśnie dzięki aluzji do słynnego *Hymnu* Słowackiego. Przyboś „podbiera" romantycznemu poecie poszczególne obrazy, zderzając je z własnym czasem. Chodzi mu nie tyle o konfrontację poetyk (choć i ten aspekt nie jest bez znaczenia), ile o wpisanie się w ciągłość dialektyczną chwili i trwania, przeżycia i dzieła.

Na jakim przestworzu odlatującym promieniami w ciemność
utwierdzę dzieło, najdalsze, co przetrwa!
[*Z rozłamu dwu mórz*, s. 97]

Trwałość dzieła staje się możliwa dzięki podejmowaniu ciągle na nowo tego samego, odwiecznego i nigdy nie kończącego się naprawdę planu twórczego. W podziwie dla arcydzieł romantycznego poprzednika Przyboś kiedyś pisał, że budowane są „na lotnych łukach czystej wizji i wzru-

[26] Przyboś *Sens poetycki*, t. 2 , s. 241.

szenia".[27] Nie było to chyba odczucie tylko estetyczne. Łuk, to przecież łuk tęczy, a więc symbol przymierza między Bogiem i człowiekiem, między dziełem stwórczym Boga i dziełem twórczym człowieka. Tu można by szukać istoty zafascynowania Przybosia Słowackim, i tajemnicy utrwalania dzieła... Choć utrwalanie okazuje się względne. Wprawdzie Przyboś poddaje się demiurgicznej wibracji obrazów Słowackiego, nie podejmuje jednak w pełni jego demiurgii. Słowacki zdobywał moc demiurgiczną rozpoznając boską naturę świata, co skłaniało go ku przyszłości. Przyboś złamawszy pakt z boskością, zamyka istnienie w jednej chwili:

Jestem chwilę
znikliwszą o wiek miniony przede mną,
szybszą o sto lat, co przebiegną po mnie.
[*Z rozłamu dwu mórz*, s. 97]

A więc nieskończoność czy chwila? Przyboś nigdy nie rozwiąże w pełni tej podstawowej antynomii. Przeciwnie będzie ją bezustannie zaostrzać:

Chcę ujrzeć Trwanie... czego? Czy mam zawsze tylko
widzieć i ogarniać
to, co gdy zaczyna się — znikło?

[.....]

c z u j ę c h w i l o w o n a z a w s z e.
[*Próba*, s. 335–336]

Istnieć w świadomości

W tym ostatnim przykładzie poetyka chwili nabierze szczególnego znaczenia. Przybosiowi nie chodzi już o m o m e n t c z a s o w y uchwycony jako jednostka czasu fizycznego, ale c h w i l ę n i e p o c h w y t n ą, mgnienie pozwalające uchwycić rzeczywistość jako zjawisko. Stąd nagłość obrazów objawiających się świadomości:

Na białym
n i c obecne. Najpierwsze.

Ale w tej chwili, kiedy... przed tą chwilą, gdy
spojrzałem,
wysoko na skok o tyczce

[27] Op. cit., t. 1, s. 96.

zielony kwiat agawy o swojej łodydze
wystrzelił jak skoku powidok
żółtawy
i widzę,
jak wyjaśnił to, co jest po wietrze
[*Motyl*, s. 20]

Wyraźnie tu widać, co oddala Przybosia od antropologicznej wizji kosmosu. Zastępuje ją jednorazowy gest intencjonalny. Poetyka chwili Przybosia wydaje się więc znowu bardzo bliska suprematystycznej „metafizyce obecności"[28], gdzie, jak pisał El Lissitzki, chodziło nie tyle o „symbol poznania i postać już gotowego świata", ile o „jasny znak i plan świata dotąd nieistniejącego, ale który wychodząc z naszej istoty wrasta we wszechświat i rozpoczyna budować sam siebie"[29].
Owo „wychodzenie z własnej istoty" pozwala lepiej zrozumieć pozorną sprzeczność Przybosia, oscylującego między światem archetypów ponadczasowych i chwilą obecną, którą stara się uchwycić. Ontologia bytu nie odwołuje się do początku świata, w którym zazwyczaj szuka się sensu, ale kojarzy się z pierworództwem obrazów dziewiczych, które Przyboś zdaje się pojmować w znaczeniu kartezjańskim, jako narodziny człowieka, który objawia się sam sobie:

Dziw się zjawia tylko raz prawdziwie.
Zjawił mi się w pastuszym dzieciństwie
na znak:
Istniej!
Żyję w podziwie.
[*Ów halcyjon*, s. 13]

Podziw ma tu sens osobliwy. Przyboś wielokrotnie próbował go zdefiniować powracając do stanów duchowych dzieciństwa:

Pamiętam, że zostałem raz wyrwany z zasłuchania. Pobiegłem spędzić kury dziobiące w naszej pszenicy. Biegłem w słońcu z okrzykiem „a hyś — a hyla!", kury uciekały

[28] Zdaniem J. Derridy — „metafizyka obecności", dostrzegającej prawdę wyłącznie w tym, co jest bezpośrednio dostępne świadomości, przy najmniejszym, jak jest to tylko możliwe, udziale czynników pośredniczących: „Pojęcia prawdy i rzeczywistości opierają się na tęsknocie za doskonałym światem, w którym nie będą potrzebne pośredniczące systemy języka i percepcji, a wszystko będzie sobą, bez rozdziału między formą a znaczeniem." Por. Turowski, op. cit., s. 198.

[29] El Lissitzky *Der Suprematismus des Weltaufbaus*, w: *El Lissitzky, Maler, Architekt, Typograf, Fotograf*, Dresden 1967, s. 329. Por. Turowski, op. cit., s. 144.

z gdakaniem, szurając skrzydłami po ziemi, podlatując z łopotem i krzekotem nad miedzą — a ja widziałem: w ciemnej jaskini, zamykanej na siedem rzemyków, zbój Madej przebierał w otwartej skrzyni pasy ze złota i czepce ze srebra... jabłko królewskie, całe we krwi, wymknęło mu się z ręki i potoczyło się poza drzwi z rzemyków i toporków... i znika. Otworzyłem szeroko oczy, miałem przeskoczyć rów, słońce uderzyło mnie i olśniło... a potem po trawie potoczyły się czarne, żółte, czerwone koła, koła, jabłka królewskie z Madejowej jaskini... gdzie byłem?[30]

Nie dajmy się zmylić. Przyboś przywołuje tu wprawdzie świat snów chłopięcych, ale po to tylko, by sprawdzić jak one funkcjonują w świadomości poetyckiej. Świadomość reguluje tu doznania, nie poddając się bynajmniej wyobraźni naiwnej; nie chodzi o same obrazy, ale o skonfrontowanie podmiotu wyobrażającego i świata wyobrażonego (nie istniejącego) i dotarcie tym samym do świadomości podmiotu myślącego o czymś (*ego-cogito-cogitatum*).
Doświadczenie poetyckie polega więc już nie tyle na uchwyceniu (zrozumieniu) świata w jego materialnej esencji, ile na stworzeniu świata–obrazu:

„Wir haben eine Welt zu gewinnen"
[*Repetitorium*, s. 231]

Można się o to pokusić wyostrzając świadomość do granic możliwości i tym samym przekształcając świadomość „czegoś" w świadomość samej świadomości:

...Więc otoczyła mnie ziemia.
Zieleń otworzyła mi oczy,
patrzy
i widzę–widzi:
mnie nie ma.
Czy od siebie odtoczyła mnie Ziemia?
[*Urywek*, s. 126]

Ja i świat

Takie chwytanie świata łączy się u Przybosia wyraźnie z ruchem odśrodkowym. Jest to ucieczka od siebie, fenomenologiczny wybuch, o którym wspomina Husserl:

Poznać świat, to znaczy wybuchnąć ku niemu, wyrwać się z własnej wilgotności gastrycznej

[30] Przyboś *Zapiski bez daty*, s. 261.

i pędzić tam, ponade mną ku temu, co nie jest mną, blisko drzewa i jednak poza drzewem, bo nie mogę już zagubić się w nim, a ono z kolei nie może rozpuścić się we mnie — poza nim, poza mną.[31]

Powracające bezustannie w poezji Przybosia obrazy wybuchu, są więc nie tyle manifestacją zmysłowości, ale próbą wyjścia poza nią.[32] Wiążą się one ze zjawiskiem rzeczywistości transcendentalnej (istniejącej na zewnątrz), która może przeniknąć do świadomości tylko wtedy, gdy świadomość ta wychodzi jej naprzeciw. A kiedy Przyboś pisze:

I uderzył mnie widok nagły jak wybuch —
[*Przemienienie*, s. 295]

Patrzę — obszar ze wzroku jak z kotwicy się zerwał!
Ustawiczne wybuchy zieleni — jak ustalę je dotykiem,
jak oswoję je na — drzewa?
[*Ląd*, s. 108]

— ma na myśli nie samą energię kosmiczną ukrytą w świecie, lecz napięcie istniejące między świadomością a światem zewnętrznym: „Wzrokiem otwieramy się na to, co zewnątrz nas, wybuchamy — jak to określał mówiąc o świadomości Husserl — ku światu, atakujemy więc świadomością wzrokową"[33]. A więc nie *Herein* a *Hinaus*: wejść w siebie to znaczy wyjść poza siebie i w ten sposób „oswoić fantomy życia wewnętrznego"[34]. „Ja" staje się tyleż własnością świata, co świat własnością „ja":

i jestem — jestem nadmiernie, równam się ze światem! —
[*Kamyk z wysokich gór*, s. 223]

Próżno by jednak szukać w tej uporczywej obecności narratora lirycznego

[31] E. Husserl, artykuł opublikowany 1 stycznia 1939 roku w „La Nouvelle Revue Française", cyt. za J. Beaufort *De l'existentialisme à Heidegger*, Librairie Philosophique, J. Orin, 1986, s. 43.

[32] Taka interpretacja bynajmniej nie neguje materialnego aspektu świata Przybosia. Należy też podkreślić, że sam temat „wybuchu" pełnił nieco inną funkcję we wczesnym awangardowym okresie, kiedy to kojarzył się z energią maszynistyczną. „Wybuch" w znaczeniu fenomenologicznym wyłania się stopniowo. Tego typu ewolucja pokrywa się z poprzednimi spostrzeżeniami na temat ewolucji malarskiej Przybosia, przechodzącego od futurystycznego dynamizmu do suprematyzmu czy unizmu. Na potrzebę takiego uściślenia zwrócił mi uwagę George Gömöri.

[33] Przyboś *Zapiski bez daty*, s. 201.

[34] J. Beaufort, op. cit., s. 43.

jakichkolwiek śladów rzeczywistości intymnej. Gdy Przyboś mówi o „wzruszeniu", słowo to nabiera znaczenia fenomenologicznego: jako ciągłe odsłanianie się świata człowiekowi, który jest z nim głęboko związany. Wzruszenie kieruje się ku przedmiotowi i wyrasta poza przedmiot, nadając mu nową jakość i przeobrażając go całkowicie.

Czekam, aż się wzruszenie jak drzewo na tym stoku przyjmie,
aż wypełni rzeczywistość wezbraną —
[*Ciężar poematu*, s. 107]

„Ja" liryczne porusza się, mówi, patrzy i poprzez gest nadaje swej działalności charakter intencjonalny:

Patrzę — ze ziemi
wyprowadzę oczami — górę,
tak uderzeniem serca wzruszając jej granit,
by ten ląd — w jednym skurczu — zaistniał?
[*Ląd*, s. 108]

Patrzę,
otwieram oczy aż do dwóch przestrzeni
[*Przypisek do Hymnu*, s. 334]

Obrazy te są zarazem metafizycznym wyzwaniem, które Przyboś sam określa jako z a m a c h n a W s z y s t k o. Ale Wszystko poddane jest przecież, jak już była mowa, migotliwości jawiącego się świata, któremu bez przerwy grozi utrata substancji, a więc powrót do nicości:

Ex nihilo nihil? Czyżby? Ja chwytam tu prawdę widzenia, a w niej świat sztywny — upłynnia się, znika i — staje się. Wszystko zawsze, w każdej chwili, zjawia się — znika — i zjawia: świat nie jest ciągły, świat jest przerwisty. Czy, patrząc, nie widzimy powstawania ułamka świata i nicości? W moich oczach *ex nihilo — nihil et omnia.*[35]

Odtąd, wszystkie paradoksy poetyckie Przybosia zdają się sprowadzać do tej samej kwestii ontologicznej:

„Świat się zaczyna? nie spełnia?
Ani nie istnieje, ani nie nie istnieje?
Wieczna niepewność, ustawiczne Między,
to co zowiemy Bytem — jest że?"
[*Mostar*, s. 386]

A więc nieciągłość trwania w akcie twórczym, jednorazowym, ciągle powtarzanym, bliska świata „danego" (*es gibt*, jak to definiował Hei-

[35] Przyboś *Sens poetycki*, t. I, s. 232.

degger), będącego bezustannym niespełnianiem zasadzającym się na „byciu" i „nie-byciu"[36]:

Nie ma znaku znikąd.
Słyszę tylko
poświst jaskółki w powrotnym odlocie:
że i świat nie-i-jest,
że i ja żyję
ponadliczbowym uderzeniem serca...
[*Mostar*, s. 386]

Nie chodzi tu oczywiście o subiektywizację świata, który by istniał, jak u Berkeleya, tylko w świadomości. Przyboś zachowa na zawsze świadomość rzeczywistości transcendentalnej, istniejącej poza nim w świecie materialnym, który olśniewa go swym nadmiarem. Ale równocześnie owemu nadmiarowi odpowiada w kontrapunkcie poczucie metafizycznego braku przenikającego do świadomości właśnie w momencie egzystencjalnego olśnienia:

[...] lecz jak pojąć nieskończoność dwubłękitną:
wniebowstąpienie morza?

[...] Tobie szyby zakwitły,
klon przed domem w lodowych pąkach?
[.....]
Ach, tylko oczami wierzę.
[*Czy uwierzysz?*, s. 110]

Stąd mnożące się pytania:

Gdzie gwiazda sporu?
Gdzie oparcie dla szeroko otworzonych oczu
pod powieką zamkniętą: pod chmurą?
[*Widok z wieży Notre-Dame*, s. 403]

W stronę Absolutu

Niekonsystencja ontologiczna czasu i przestrzeni poprowadziłaby Przybosia bez wątpienia w kręgi abstrakcji (i — jak

[36] Przyboś nie przyznawał się do wpływów Heideggera. Niezwykle ciekawa jest pod tym względem jego polemika z T. Karpowiczem, który zauważył analogię między Heideggerowskim „Welt ist nie, sondern weltet" a Przybosiowskim „Świat nie jest, świat wiecznie się zaczyna". Por. *Zapiski bez daty*, s. 134–136.

u Malewicza — nicości) gdyby nie bronił go przed tym *Logos*, to znaczy — słowo z natury rzeczy zakorzenione w bycie. Wyobraźnia poetycka jest bowiem, jak często Przyboś podkreślał, wyobraźnią językową[37], a język poetycki to — z jednej strony — metafora rzeczywistości, zwielokrotnianie znaczeń, eksplozja nowych widzeń świata, z drugiej — dążenie do esencji rzeczy, poznania prawdy, arystotelesowskiej *entelechii*, w której przecież sam Przyboś dostrzegał najwyższy cel działania poetyckiego, jako utożsamiania rzeczy ze słowem.

Sprzeczność między tymi dwoma działaniami ukazuje się jednak dopiero wtedy, gdy przenieść je z planu estetycznego na plan metafizyczny. Pierwsze bowiem działanie jest zaprzeczeniem idei początku. Świat nie jest dla Przybosia procesem, ale objawieniem[38], zaczyna się wiecznie i istnieje „od rozbłysku do rozbłysku". Była już mowa o zaprzeczeniu genezy pojawiającej się bezustannie od nowa:

> Czyżby więc poezja była nagłym powrotem w najdalszą przeszłość, do tej chwili, kiedy zaczął się człowiek? [...] Poezja byłaby więc powtórzeniem pierwszego aktu kreacji, autokreacji człowieka? I to za każdym takim razem na nieskończenie wyższej spirali wznoszącej. [...] Poezja jest więc ustawiczną próbą nowego innego, niż ten, który był, Początku?[39]

Ale równocześnie nawet najbardziej migotliwa metafora dąży do integracji świata i włączenia w jego całość twórczej egzystencji jednostki, co Przyboś sam najlepiej określa:

> Dzień wtedy dla mnie s t a j e s i ę n a z a w s z e, jedyny, niepowtarzalny a wieczny i czuję, że mogę żyjąc, pędząc swoje dni, nie minąć ich, więc — siebie.[40]

Stąd bezustanny u Przybosia przymus tworzenia jako niezbędne włączanie się w byt. Każdy wiersz jedyny i niepowtarzalny staje się *pars pro toto* nieskończoności, ukazując tym samym sens egzystencjalny i metafizyczny tworzenia. O dotykaniu istoty bytu pisał Przyboś zresztą często, samo doznawanie świata było dla niego ważniejsze od *cogito*: „Bo to chyba nie owo *cogito* konstytuuje świadomość, że się jest, ale (...)

[37] Przyboś *Zapiski bez daty*, s. 217.

[38] „Ja widzę świat od wybuchu do wybuchu (...). Świat objawia mi się jako przerażająco cudowny dziw, który n a g l e d o p i e r o c o p o w s t a ł", op. cit., s. 321.

[39] Op. cit., s. 180.

[40] Przyboś *Sens poetycki*, t. 2, s. 241.

poczucie współkwitnienia ze światem, współbycia ze wszystkim"[41]. Takie współkwitnienie jest jednak możliwe chwilowo, jedynie w momencie wcielania się zjawiska w słowo i słowa w rzecz.
Stąd bardzo skomplikowany stosunek Przybosia do *Logosu*. Akt poetycki dla niego jest już nie tyle szukaniem sensu świata, ile nadawaniem mu sensu, nie tyle szukaniem genezy, ile ciągłym zwrotem ku doskonałości samej w sobie, a więc — poetyckiej *entelechii*, pojętej jednak nie w sensie arystotelesowskiego spełnienia, dojścia do prawdy, lecz jako ciągła oscylacja między konstrukcją i destrukcją:

Świadomość jak skorpion usiłując zakłuć siebie samą zatrzymuje się w połowie drogi między działaniem a przeciwdziałaniem, między myślą a jej zaprzeczeniem.[42]

Nie tu jednak się kończy niezwykle skomplikowana, ale jakże konsekwentna w gruncie rzeczy sieć antynomicznych współzależności u Przybosia. Wielokrotnie już analizowano opozycje tematyczne światła i ciemności, nieba i ziemi, wysokości wznoszącej się „ponad" i głębokości spychającej „pod", wreszcie słowa i milczenia. Nie ma jednak między nimi równowagi. Nad ciemnością, przepaścią, a także nad ziemią dominuje wyraźnie krąg tematyczny światła, słońca, powietrza i przestrzeni. Słowo wybija się ponad milczenie i kojarzy się ze słońcem, to znaczy ze światłem. Obraz ten pojawia się u Przybosia *explicite* w wierszach autotematycznych: „wzeszło słońce i huknęło słowo świata", „słońce w słowie rozniecam" (*Słońce wschodzące*, s. 282 i 285), „gdy mówię — słowo w słowo wschodzi słońce" (*Znowu na rodzinnych polach*, s. 152). Światło jest jak wiadomo podstawowym tropem idealizującym, bliskim — jak podkreśla Derrida[43] — *eidos* Platona, *lumen naturale* Kartezjusza czy Idei Hegla. Jest to metafora sama w sobie i sama dla siebie. Metafora utożsamiona sama z sobą, która z jednej strony „prześwietla" świat materialny konstruowany przez poetę, z drugiej zaś wypełnia jego przerwistość, zapełnia luki i likwiduje z góry groźbę rysującej się nicości między niebem i ziemią. Źródłem światła jest oczywiście słońce, a więc pra-słowo nacechowane metafizycznie, bo od wieków funkcjonuje w tradycji poetyckiej jako symbol sakralnej wizji świata. Ale Przyboś, jak już wiemy, nie ogranicza się do „mistycyzmu

[41] Przyboś *Zapiski bez daty*, s. 170.
[42] Op. cit., s. 318.
[43] Por. P. Ricoeur *La metaphore vive*, Paris 1975, s. 367.

słów pierwotnych".[44] Słońce i ziemia nie funkcjonują u niego samoistnie, lecz wplatane są natychmiast w międzysłowie, tracąc tym samym symboliczną siłę, którą posiadała metafora antropomorfizacyjna, nawiązująca do sakralnych rytuałów. Do takiego rytualnego znaczenia metafory słonecznej nawiązywał przecież Arystoteles. By w pełni sobie uprzytomnić różnice między heliotropizmem pierwotnym, Arystotelesowskim a Przybosiowym, warto porównać jedną z jego charakterystycznych metafor słonecznych ze słynną, „niesamowitą", jak ją określa Ricoeur[45], metaforą–archetypem, cytowaną przez Arystotelesa.[46] Chodzi o słońce siejące, to znaczy zapładniające promieniami ziemię. Przyboś nie zaneguje owej demiurgicznej energii solarnej, ale przetworzy ją poetycko, uwieloznaczni. Oto charakterystyczny cytat z Przybosiowej kosmogonii, w której słońce dochodząc do zenitu

[...] wbiło się jak igła w rozjarzone oko,
w białą źrenicę światła, w nagłą krew rozbłysku
[*Początek*, s. 17]

Słońce zachowuje tu swoją pierwotną siłę życiodajną, ale obraz metaforyczny wchłania zarazem podmiot patrzący, następuje całkowite zespolenie spojrzenia, istnienia, akcji i zmysłowej percepcji; zacierają się granice między okiem ludzkim i okiem słonecznym, między światłem i spojrzeniem; między żarem wytryskującym i doznawanym. A więc znowu chodzi o włączenie egzystencji jednostki w świat, który ona sama współtworzy. Metafora Przybosia nie antropomorfizuje, słońce nie staje się bogiem, ale boskość pojawia się w samym kontakcie ja tworzącego z entelechią utożsamioną ze światłem:

Być wszystkim światłem we wzniesionym niczym,
być...
[*Światło w katedrze*, s. 306]

Paul Ricoeur słusznie pisze, że „metafora żywa", ta, która „jest i nie jest", to znaczy w pełni i bez przerwy twórcza, wznosi się zawsze ku górze: meta-fora i meta-fizyka są uniesione w tym samym pędzie ponad światem.[47] W metaforze Przybosia ten pogląd sprawdza się jakby naocznie:

[44] Tamże.
[45] Tamże.
[46] Arystoteles *Poetyka* (1457b).
[47] Ricoeur, op. cit.

by doścignąć widok znikły z jego oczu,
uniesiony przez światło na zawsze...
[*Tęcza na burzy*, s. 205]

„Widok" poetycki wznosi się wzwyż i dąży do absolutu. O jaki jednak absolut chodzi? Przyboś sam pisał o absolucie jako o najwyższym skupieniu energii, potędze, kondensacji formy będącej absolutem dzieła.[48] A więc byłby to absolut immanentny, zbliżający go do Husserla a oddalający od filozofii absolutu z linii Platona, Arystotelesa, Kanta, czy Hegla. Ale równocześnie poetycki absolut jest słowem przeistoczonym, powracającym do świata. Szczytem liryki dla Przybosia jest słowo, które jak w Biblii „staje się ciałem".[49]

Przypomnijmy myśl rzuconą na początku: poeta (słowo) się staje. Ale jakże teraz inaczej myśl tę należy rozumieć, gdy wzbogaca się ona o konotacje biblijne! Ateizm Przybosia zabarwia się mistycyzmem. Przyboś zdradza się wyraźnie, grawitując ku poetom metafizycznym, wchodząc w polemikę z Leśmianem, Słowackim czy Rilkem, któremu w znaczący sposób się przeciwstawia: „Pieśnią godną Boga i prawdy jest poezja–istnienie, poezja równoważnik bytu"[50]. Nigdy chyba Przyboś nie podkreślił tak wyraźnie metafizycznej strony istnienia. Istnienia twórczego, które odrzucając Transcendentalną Przyczynę m u s i b e z u s t a n n i e d ą ż y ć, jak to sam Przyboś najlepiej określił, do „drugiej strony Księżyca, niewidzialnej", a ta, gdy tylko uchylić rąbka jej tajemnic, przeobraża się w metaforę „innej nieodkrytej gwiazdy, innego pytania bez odpowiedzi".[51] Ale taka jest chyba cena Absolutu.

[48] Przyboś *Sens poetycki*, t. 1, s. 23.
[49] Op. cit., t. 1, s. 24.
[50] Op. cit., t. 2, s. 136.
[51] Przyboś *Zapiski bez daty*, s. 84.

Jarosław Marek Rymkiewicz

Kilka szczegółów

Aleksandrowi Mickiewiczowi nie należy wierzyć: kiedy pod koniec lat pięćdziesiątych przeszedł na emeryturę i zamieszkał w swoim majątku Gubernia, wszystko mu się myliło i plątało. Co może trochę dziwić, bo nie był wtedy jeszcze stary (wedle naszych miar), miał zaledwie koło sześćdziesiątki: urodził się w roku 1801. Pamięć zawodziła Aleksandra nie tylko wówczas, gdy pisał o tym, co wydarzyło się przed kilkudziesięciu laty. Także wydarzenia sprzed lat kilku czy kilkunastu jawiły mu się co najmniej niejasno. Wszystkie informacje, które mamy od Aleksandra, trzeba więc traktować bardzo ostrożnie. Kto mu uwierzy, może popełnić jakiś fatalny błąd: jak Leonard Podhorski-Okołów, który uwierzył w to, co Aleksander pisał do Michała Dmitrijewa na temat domu zbudowanego na posesji kupionej od Wolskich. Oto kilka jawnie błędnych informacji Aleksandra. List z grudnia roku 1861 do marszałka Brochockiego: „Ojciec Adama braci rodzonych nie miał; stryjecznych miał 2-ch, Juliana i Hipolita w Herbatowiczach zamieszkałych i na tych wygasła jedyna jaka była poboczna linia Mickiewiczów". Julian miał oczywiście na imię Felicjan, a ta linia Mickiewiczów na Felicjanie i Hipolicie nie wygasła, bowiem Felicjan miał syna Józefa i córkę Hortensję. List z roku 1860 do brata Franciszka: „Lucyan umarł w Paryżu przed kilku laty." Lucjan Stypułkowski poderżnął sobie gardło brzytwą w roku 1849. Nie w Paryżu, lecz w Tours. Jeśli chodzi o brzytwę,

to jednak trzeba tu dodać, że nie jest to pewne. Lucjan, po przybyciu do Francji, pracował u rzeźnika, a potem wyuczył się ślusarstwa. Mógł więc użyć, podcinając sobie gardło, noża rzeźniczego lub jakiegoś narzędzia, którym posługują się ślusarze. Inny list Aleksandra do Franciszka, cytowany przez Władysława Mickiewicza w *Żywocie*, a napisany we wrześniu 1862 roku: „Kamienica ta z zabudowaniami kosztowała rodziców 3000 r. s.". Chodzi o dom wybudowany na posesji Wolskich. Czyli ten, który — moim zdaniem — Aleksander mylił z domem należącym niegdyś do złotnika Jankiela Josielewicza. Wiadomość oczywiście bałamutna: posesję, wraz z ruinami, Mikołaj Mickiewicz kupił za 50 rubli asygnacyjnych, a budowa domu mogła kosztować co najwyżej kilkaset rubli. I jeszcze jedna wiadomość z listu Aleksandra napisanego do Franciszka w roku 1860: „Z krewnych po ojcu, Felicyan i Hipolit przed kilku laty poumierali w Herbatowiczach." Tu Felicjan jest Felicjanem, a nie Julianem. Ale Felicjan żył jeszcze w roku 1861. W tymże liście są też takie zdania, z którymi — nie ufając pamięci Aleksandra — nie wiem, co zrobić: „Ty rodziłeś się w domu Dobrowolskiej, na bazylińskim zaułku; ja w domu Kamińskiego, dwaj młodsi w Denejnowskim na Żydowskiej ulicy. Adam zaś jeden urodził się w Zaosiu". Nie chodzi mi tu o Zaosie — Aleksander zmieniał w tej kwestii zdanie: raz twierdził, że brat Adam urodził się w Zaosiu, a raz, że w Nowogródku — ale o te trzy nowogródzkie domy. Dom Dobrowolskiej, Kamińskiego, Denejnowski. Co o nich wiadomo? Z listu Aleksandra wynika (wynikałoby, gdybyśmy mu uwierzyli), że Mikołaj i Barbara Mickiewiczowie w ostatnich latach wieku XVIII (wtedy, w roku 1796, rodzi się Franciszek) mieszkali w domu Dobrowolskiej, przed rokiem 1801 (wtedy rodzi się Aleksander) przenieśli się do domu Kamińskiego, a potem do domu Denejnowskiego, gdzie wynajmowali mieszkanie do roku 1806, a więc do czasu, kiedy przenieśli się do domu za pałacem Radziwiłłów lub do tego przy ulicy Walowskiej. Ci „dwaj młodsi" bracia, o których pisał Aleksander, urodzili się bowiem w roku 1804 i 1805. Już tu coś się nie zgadza, jako że Konstanty Tuhanowski powiedział, przypominam, Edwardowi Chłopickiemu, że Michał, brat najmłodszy, urodził się w Osowie–Osowcu. Aleksander i w tym wypadku mógł się więc pomylić. Czyli trzeba go sprawdzić: to, co pisał o trzech domach, może być tyle warte, co zdanie o Lucjanie Stypułkowskim. Lucjan umiera w Paryżu, a krew z poderżniętego brzytwą gardła — gardło przecięte raczej piłką do metalu — tryska w Tours. Wprzód

dom Dobrowolskiej. Nieco więcej na jego temat napisał Aleksander w jednym z listów do Michała Dmitrijewa. Cytuję za *Realiami Mickiewiczowskimi* Leonarda Podhorskiego–Okołowa: „Dom Dobrowolskiej, wspomniany w Nr. 1 «Kuriera Wileńskiego» z 1861 roku, znajduje się w zaułku za domem Kamińskiego, drewniany, po prawej ręce idąc od dawnego klasztoru bazylianów. W tym domu mieszkali rodzice Adama do czasu jego przyjścia na świat i tu urodził się starszy brat jego Franciszek." Sprawdźmy to na planie Nowogródka. Dom Dobrowolskiej znajdował się za domem Kamińskiego czy zaułek znajdował się za domem Kamińskiego? To jednak nie tylko niezręczność stylistyczna Aleksandra, lecz znów jakaś dziwna pomyłka. Dom Kamińskiego stał — to wynika z kilku relacji — u wylotu ulicy Zamkowej na rynek. Niezbyt więc daleko od ulicy Bazyliańskiej, którą Aleksander nazwał w liście do Franciszka zaułkiem bazylińskim. Ale na pewno nie da się powiedzieć, że ten zaułek czy ta ulica znajdowały się „za domem Kamińskiego". Między tym domem a ulicą Bazyliańską były bowiem jeszcze dwa zaułki. Jedyny (poza dwoma listami Aleksandra) tekst, z którego dowiadujemy się czegoś o domu Dobrowolskiej, to artykuł Wincentego Korotyńskiego *Kilka szczegółów o rodzinie*: ten właśnie, na który powoływał się Aleksander pisząc do Dmitrijewa. Z papierów, które znajdowały się w Białej — „rachunki Mikołaja Mickiewicza ze Stypułkowskimi" — Korotyński dowiedział się, „iż we wrześniu 1798, a więc na trzy tylko miesiące przed urodzeniem Adama, Mickiewicz brał od szwagra pieniądze «dla Antoniego Kamińskiego na zadatek, czyniąc kontrakt o stancję», a w kilka dni później, iż «pożyczył dla Dobrowolskiej opłacić za stancję, w której mieszkał»". Te rachunki Mikołaja Mickiewicza z siostrą i szwagrem to tajemnicza sprawa. Czy pieniądze, które brał od Stypułkowskich Mikołaj, miały coś wspólnego z procesem między bratem a siostrą? Czy Stypułkowscy — gospodarując wtedy w Zaosiu — płacili Mikołajowi czynsz dzierżawny? Pewnie nie da się już tego wyjaśnić. Korotyński z tych rachunków wyciągał wniosek — może słuszny — że Adam Mickiewicz urodził się w domu Kamińskiego. Jeśli uwierzymy Korotyńskiemu — po sprawie posesji Tyczyny, Czechowicza i Wolskich nie całkiem mu już wierzę — Mickiewiczowie mieszkali w domu Dobrowolskiej do jesieni roku 1798. A więc w tej kwestii Aleksander się nie mylił. Ale gdzie ten dom — lub raczej wspomnienie o nim, gdyż dom, drewniany, na pewno się spalił — umieścić? Gdzieś na ulicy Bazyliańskiej, między cerkwią Borysa i Hleba

a rynkiem. Prawdopodobnie po lewej — patrząc od rynku — stronie tej ulicy, a więc po stronie przeciwnej niż cerkiew. Tyle tylko wiadomo. Dom Kamińskiego, gdzie może urodził się Adam Mickiewicz, znany jest znacznie lepiej, ponieważ było to bardzo ruchliwe miejsce i wiele się tam działo. „W Nowogródku — pisał Ignacy Domeyko w *Liście w sprawie o miejsce rodzinne Adama Mickiewicza* (rok 1887) — żyła sędziwa wdowa Gafowiczowa, pamiętająca rodzinę Mikołaja Mickiewicza, wskazująca nawet dom, zwany później Redutami, w rynku naprzeciw ulicy Kowalskiej, gdzie się drugi ich syn, Adam, urodził." Wdowa Gafowiczowa żyła jeszcze w roku 1859. Dom zwany Redutami to niewątpliwie dom Kamińskiego: odbywały się tam bowiem bale, kasyna, także sejmiki powiatowe. „Gdzie ten dom — pisał Wincenty Korotyński — i czyją dzisiaj jest własnością, tego z pewnością dowiedzieć się nie mogłem: wypytywanie się na miejscu chyba to z czasem wyjaśni." Wstyd, miły powietniku: to pan miałeś obowiązek o wszystko tam się wypytać, kiedy jeszcze było kogo pytać. A teraz kogo mamy pytać o dom Kamińskiego? Dom ten, „w którym wówczas — cytuję list Aleksandra Mickiewicza do Michała Dmitrijewa — mieli kwaterę rodzice Adama i gdzie dokonano obrzędu jego chrztu, znajduje się w centrum miasta Nowogródka, piętrowy, idąc od kramów do zamku po lewej ręce na wprost dzisiejszej Kasy Powiatowej; lecz wówczas istniała tylko jego część drewniana, druga zaś, murowana połowa powstała dopiero później". Tym razem Aleksander Mickiewicz nie omylił się, gdyż zgadza się to z innymi relacjami: idąc od kramów w kierunku Góry Zamkowej narożny dom Antoniego Kamińskiego miało się po lewej ręce. Na parterze mieścił się tam traktier, a gdzieś obok traktieru musiała znajdować się jeszcze duża sala, w której grywały przyjeżdżające do Nowogródka teatry. „Właśnie w domu Kamińskiego — pisał Aleksander Walicki (*Kilka wspomnień z lat dziecinnych*) — najczęściej bywał teatr, kiedy jaka grupa koczująca do Nowogródka zjeżdżała, a wtedy często z rodzicami w teatrze bywałem." Wiadomość ta odnosi się do lat trzydziestych. Walicki widział wówczas w domu Kamińskiego sztukę pod fascynującym tytułem: *Indyk nadziewany dukatami*. O sejmiku odbywającym się w tym domu mowa jest w liście Ignacego Domeyki do Adama Mickiewicza z 25 stycznia / 6 lutego 1821 roku: „kazano pójść do kościoła przysięgać, a nareszcie do sali Kamińskiego, gdzie zebrane dworzaństwo sejm rozpoczęło od żwawej kłótni". Sejmiki, teatry, reduty: wszystko to z całą pewnością odbywało się w domu przy ulicy Zamkowej

także w pierwszych latach tamtego wieku, gdyż — wedle mojej wiedzy — w Nowogródku nie było żadnej innej dużej sali. Relacje przynajmniej nic o tym nie mówią. Można więc przypuszczać, że mały Mickiewicz — jeśli nie mieszkał wtedy w Zaosiu i jeśli pierwsze lata życia, te przed pójściem do szkoły, spędził w tym właśnie domu — był świadkiem wielu niezwykle interesujących scen. Pijani oficerowie jegierskiego pułku tańczą na stołach w traktierze, któryś z Ancutów w czasie bałtyrowki daje w zęby któremuś z Wereszczaków, aktoreczki z wędrownej trupy przebierają się w garderobie przed spektaklem. Wszystko to można obejrzeć przykładając oko do szpary między deskami. Migoczące światło łojówek wydobywa z mroku dłoń trzymającą szablę, pagony praporszczyka, podwiązkę wokół białej pończochy i strumyk krwi cieknący z nosa Wereszczaki. Dom Kamińskiego — jeśli Mickiewicz tam się urodził, to jest to miejsce święte i pijani oficerowie oraz gołe aktoreczki siedzące na ich kolanach nic w tym nie zmieniają — spalił się zapewne w latach sześćdziesiątych lub siedemdziesiątych zeszłego wieku. Zdanie Nikodema Kiersnowskiego, które Edward Pawłowicz cytował w książce *Nowogródek w XIX wieku* — „Kamiński, na rogu ulicy Zamkowej, jeszcze teraz egzystujący" — odnosi się najprawdopodobniej do drugiej połowy lat sześćdziesiątych. Kiersnowski spisywał bowiem swoje wspomnienia właśnie wówczas. Lub może — nie jest to całkiem pewne — trochę później. Nitowski — rok 1889, artykuł *Dom po-Mickiewiczowski w Nowogródku* — domu Kamińskiego nie mógł już odnaleźć: „obecnie i śladu po nim nie zostało, nawet w grupie nowych gmachów trudno dokładnie i miejsce to określić". I wreszcie dom trzeci, ten, w którym według Aleksandra Mickiewicza urodzili się dwaj młodsi bracia, Michał Antoni i Jerzy, a który nazwał on „Denejnowskim na Żydowskiej ulicy". Dom „Denejnowski" to na pewno jedna z pomyłek Aleksandra. W liście do Dmitrijewa sam on zresztą nazywa ten dom inaczej: „Z domu Kamińskiego rodzice Adama przenieśli się do domu Danejków na Żydowskiej ulicy, po lewej ręce, naprzeciw kościoła Dominikanów, ale nie w jednym szeregu z innymi domami, lecz we wgłębieniu". Dom mamy więc dość dokładnie umiejscowiony — kilka kroków od placyku, który łączył się z rynkiem i przy którym stał kościół św. Michała — pytanie tylko, czy rzeczywiście był to dom Danejków lub raczej Daneyków. „Przy ulicach — pisał Nikodem Kiersnowski — dworki obywatelskie: Tuhanowskich, Danejków, Mickiewiczów, Zaborskich, Owsianych, Wierzejskich." Wy-

daje mi się, że Kiersnowski mówi w tym zdaniu o dworkach stojących u podnóża Góry Zamkowej, a więc — w stosunku do ulicy Żydowskiej — po drugiej stronie rynku. W zdaniu poprzednim wyliczone są bowiem domy znajdujące się po tej właśnie stronie rynku, a w zdaniu następnym mowa jest o domu familii Kiersnowskich „przy ulicy Kowalskiej, za kościołem farnym, naprzeciw plebanii". Jeśli Kiersnowski opisywał w tych zdaniach — a na to mi wygląda — tę część miasta, ponad którą wznosiła się Góra Zamkowa, to dom Daneyków nie znajdował się przy ulicy Żydowskiej, lecz całkiem gdzie indziej, gdzieś w pobliżu ulicy Walowskiej, także więc w pobliżu jednego z dwóch domów, które należały nieco później do Mickiewiczów: tego wyprocesowanego od złotnika Josielewicza. Mickiewiczowie mogli jednak mieszkać przez pewien czas na ulicy Żydowskiej. Tyle że w domu, który należał do kogoś innego, a mianowicie do tej wdowy Gafowiczowej, która pamiętała rodzinę Mickiewiczów, a o której wspominał Ignacy Domeyko. Gafowiczowa nazywała się raczej Gafojczowa. W bardzo niejasnej relacji Edwarda Chłopickiego mówiącej o domu przy ulicy Walowskiej (*Dom Mickiewiczów w Nowogródku i wieś Tuhanowicze*) czytamy co następuje: „Ojciec Adama włada najprzód tą siedzibą jako zastawnik, potem przewagą hipotecznego prawa wyparty z niej przez innych dłużników, wynosi się do domu Gafojczowej na Żydowską ulicę, i w końcu wraca powtórnie do tego dworku, jako jego dziedzic". Niewiele z tego rozumiem, ale słowa „jako zastawnik (...) przewagą hipotecznego prawa wyparty (...) w końcu wraca powtórnie" mogą odnosić się do konfliktu z Jankielem Josielewiczem, czyli do procesu o trzy srebrne łyżeczki, miedzianą jednorublówkę i żelazko do prasowania: Mikołaj Mickiewicz wyrokiem sądowym wziął dom Josielewicza w zastaw, potem Josielewicz lub ktoś inny, kto posiadał prawo hipoteczne, wyparł z tego domu Mikołaja, a potem Mikołaj, wygrywając ostatecznie sprawę, do domu powrócił „jako jego dziedzic". Mogło tak być, ale nie musiało. Tak czy inaczej, wszystko zdaje się wskazywać na to, że Mickiewiczowie przez jakiś czas — nie da się ustalić, jak długo, ale zapewne gdzieś między rokiem 1804 a 1807, co nie znaczy, że przez trzy lata, może tylko przez kilka miesięcy — mieszkali na ulicy Żydowskiej w domu wdowy Gafowiczowej–Gafojczowej. Wdowa jeszcze pewnie wtedy wdową nie była. Dom — jeśli przyjmiemy tę wersję jego położenia, którą podaje nam Aleksander Mickiewicz: „na Żydowskiej ulicy, po lewej ręce,

naprzeciw kościoła Dominikanów" — znajdował się w bliskim sąsiedztwie nowogródzkiej synagogi. Była to dzielnica — wiem to od Nikodema Kiersnowskiego — zamieszkała niemal wyłącznie przez Żydów. To już wszystko, co mam do powiedzenia o trzech domach: Dobrowolskiej, Kamińskiego i Daneyków lub raczej (moim zdaniem) Gafojczowej. Kojarzą mi się one — dlaczego? — z poderżniętym gardłem Lucjana Stypułkowskiego. Już wiem, dlaczego: akurat tyle samo o nich wiadomo, co o śmierci ciotecznego brata Mickiewiczów. Brzytwa, piłka do metalu czy nóż rzeźniczy? Daneyko, Gafowiczowa czy Gafojczowa? Krew tryska z poderżniętego gardła Lucjana i dopalają się zgliszcza domu Gafojczowej. Potem pozostaje tylko nasza pamięć i nie ma dla niej żadnej różnicy między Lucjanem a domem Gafojczowej. Lucjan oraz ten dom będą istnieć — albo nie istnieć — w pamięci na tych samych prawach: jak by miały one dla niej, te dwa fenomeny istnienia, taką samą wartość. Jak by pamięć była siłą demoniczną, która wszystkie fenomeny istnienia zrównuje w ich istnieniu pośmiertnym.

Najważniejszym dokumentem do siedemnasto- i osiemnastowiecznych dziejów rodziny Mickiewicza jest pismo testymonialne, które odnalazł i opublikował Piotr Bańkowski. Ponieważ do zeszytów „Archeionu", gdzie ponad ćwierć wieku temu ukazała się rozprawa Bańkowskiego, zaglądają zapewne tylko nieliczni miłośnicy archiwalnych dokumentów, przepisuję tutaj pełny tekst tego pisma, które w roku 1787 Mickiewiczowie uzyskali od szlachty lidzkiego powiatu. „My szlachta y obywatele Prześwietnego Powiatu Lidzkiego zaświadczamy tym naszym testymonialnym pismem danym Ichmościom Panom Adamowi, Jozeffowi, Stefanowi y Bazylemu stryiom, a Mikołajowi synowcowi Mickiewiczom y służącym na to: że Walenty Mickiewicz w parafii Raduńskiej w Powiecie Lidzkim mając swą osiadłość, spłodził synów pięciu, Bartłomieja, Macieja, Jakuba, Woyciecha y Krzysztofa; z nich ieden to iest: Krzysztof oddalił się z Lidzkiego, z którego dopiero YchMość pochodzenie swoie biorą y Dziadem go mianuią, że Krzysztof był szlachetnie urodzonym, że z Małżeństwa Jego i teraz pochodzący Mickiewiczowie znayduią się, że Ichmość Panowie Mickiewiczowie w Województwie Nowogrodzkim mieszkający są szczątkami Krzysztofowemi — o tym wszystkim pewna wiadomość y aktualna prawda, y na dowód tego wszystkiego do tego Pisma pieczęcie rękoma naszemi

ymion y nazwisk przykładamy y podpisuiemy się. Pisan Roku Tysiąc siedmset osmdziesiąt siodmego Miesiąca Augusta Dziesiątego Dnia. U tego zaświadczenia podpisy rąk tak szachty [sic!] Prześwietney jako też przy suscepcie Prezesa y Pisarza, urzędników Ziemskich Lidzkich tudzież przy Korrekcie Regenta Ziems. Lidz. temi wyrażaią się słowy: Jan Mickiewicz, Dominik Woyszwiła, Karol Woyszwiła, Michał Zapasnik, Kazimierz Nosewicz, Antoni Mickiewicz, Józef Mickiewicz, Kazimierz Nosewicz, Podeyko Ignacy, Podpisuią się Maciey Kozakowski, Symon Krupowicz, Jan Kozakowski, Maciey Kozakowski." Sprawdziłem — co jest rodzajem bezczelności i muszę powiedzieć, że nie lubię, kiedy ktoś mnie sprawdza, bo uważam, że nie robię błędów — ale sprawdziłem Bańkowskiego i posługując się lupą sczytałem zamieszczoną przez niego w „Archeionie" fotokopię pisma testymonialnego. Znalazłem trzy drobne omyłki: zamiast „y na dowód tego wszystkiego" powinno być „y na dowod tego wszystkiego", między „szczątkami Krzysztofowemi" a „o tym wszystkim" nie ma, moim zdaniem, żadnego znaku przestankowego, a zamiast „Roku Tysiąc siedmset" powinno być „Roku Tysiąc siedmsett". To znaczy, że jestem maniakiem? Że oszalałem i cel mego życia odnalazłem w zajmowaniu się głupstwami? A ty, moja śliczna czytelniczko, gdy farbując włosy w łazience wahasz się, którą farbę wybrać — *châtain foncé* czy *châtain clair* — to jaką dziwną manią jesteś owładnięta? I jakie to szaleństwo każe ci trzy razy zmieniać pończochy, gdy wybierasz się z wizytą do twego kochanka: wkładasz szare, matowe, potem białe, na wpół przezroczyste i wreszcie decydujesz się na te czarne, ze strzałką nad kostką. Kolor farby do włosów, konsystencja pończoch, dźwięk słowa oraz jego zapisany kształt — mówiono dowód czy dowod? pisano siedmset czy siedmsett? — to są wszystko świadectwa istnienia. Może jestem maniakiem, gdy maniakalnie sczytuję przez lupę tekst pisma testymonialnego. Maniakalne drżenie ręki, która trzyma lupę: obcuję z istnieniem, jestem maniakiem istnienia. Oszalałem od nadmiaru istnienia, które mi tu dano. To, co mnie prowadzi, nazywa się eros: miłość, pożądanie istnienia. A ciebie co prowadzi, moja śliczna, gdy nieco pochylona trzymasz w palcach podwiązkę oraz rąbek czarnej pończochy? Pismo testymonialne z roku 1787 jako przedmiot erotyczny. Możesz się ze mnie śmiać, moja czytelniczko. Ale tak właśnie jest, zwłaszcza gdy jest się w moim wieku, *hélas*. Wracam więc maniakalnie do pisma, które lidzka szlachta wystawiła Mickiewiczom. Co o nim sądzić? Jego autentyczność jest nie do za-

kwestionowania. Mickiewiczowie z pewnością je uzyskali: jego data — 10 sierpnia 1787 roku — mówi, że stało to się pięć dni po tej awanturze, którą wszczął w Nowogródku — sprawa Hrehorego lub Chwiedora oraz Bucionek lub Buciszek — rotmistrz Janiszewski. Któryś z Mickiewiczów — prawdopodobnie Mikołaj — udał się wówczas do Lidy albo do Raduni i powrócił z dokumentem, który przez wiele lat miał być gwarancją szlachectwa rodziny. Pismo było potem kilkakrotnie podawane do akt, czyli aktykowane. Pierwszej aktykacji dokonano w Sądzie Ziemskim w Lidzie 10 listopada 1787 roku. Potem, po dwóch latach — 25 czerwca 1789 roku — pismo testymonialne zostało podane do akt Trybunału Głównego Wielkiego Księstwa Litewskiego. To wszystko jest pewne. Co jednak sądzić o treści tego pisma? Czyli o tym zdaniu, które mamy w piśmie: „o tym wszystkim pewna wiadomość y aktualna prawda"? Czy rzeczywiście pismo testymonialne podaje wiadomość pewną i prawdę aktualną? Chodzi tu, oczywiście, o los Krzysztofa Mickiewicza oraz jego ojca Walentego: istnieli czy też nie istnieli? Trzeba przede wszystkim powiedzieć, że jakieś częściowe zastrzeżenia, które wobec treści pisma testymonialnego można by wysunąć, nie prowadzą do niczego. Euzebiusz Łopaciński, który prawdopodobnie miał ten dokument w ręku i dla którego Krzysztof był postacią co najmniej wątpliwą, uważał na przykład, że w piśmie powinna znaleźć się nazwa „osiadłości", którą posiadał w powiecie lidzkim Walenty i z której pochodził Krzysztof, a także panieńskie nazwisko matki Krzysztofa: „Zagadkowym wydaje się — czytamy w artykule *Kraj nad Switezią* — dlaczego nie podano nazwy tej miejscowości, ani też nie tylko nazwiska, ale nawet imienia jego matki". Pytając w ten sposób — dlaczego w piśmie nie ma nazwy, imienia, nazwiska? — nie uzyskamy niczego. Jeśli treść pisma została zmyślona przez Mickiewiczów — mówiąc inaczej: jeśli Mikołaj Mickiewicz skłonił lidzką szlachtę przy pomocy pieniędzy lub w jakiś inny sposób do podpisania czegoś, co nie było „aktualną prawdą" — to nie widać powodu, dla którego Mickiewiczowie, zmyśliwszy Krzysztofa oraz Walentego, nie mieliby też zmyślić nazwy miejscowości, z której ci lidzcy Mickiewiczowie pochodzili oraz imienia i nazwiska panieńskiego matki Krzysztofa. Jeśli natomiast treść pisma była zgodna z „aktualną prawdą", to brak w nim jakiejś nazwy, imienia, nazwiska świadczy tylko o tym, że takie informacje nie były w piśmie potwierdzającym szlachectwo potrzebne. „Aktualną prawdę" pisma testymonialnego można by też kwestionować na pod-

stawie podpisów, które zostały pod nim złożone. Ale i to, jak mi się zdaje, nie prowadzi do niczego. W czasach Pierwszej Rzeczypospolitej do potwierdzenia szlachectwa potrzebne było — i wystarczało — pismo testymonialne opatrzone dwunastoma podpisami. Ci, którzy składali podpisy, musieli należeć do stanu szlacheckiego i musieli też być sąsiadami tych, co starali się o poświadczenie szlachectwa: czyli musieli pochodzić z tejże parafii lub z tegoż powiatu. Pod pismem Mickiewiczów jest trzynaście podpisów, ale dwa z nich — Maciej Kozakowski i Kazimierz Nosewicz — chyba się powtarzają. Odejmujemy dwa podpisy, jest ich jedenaście, a więc za mało. Nie da się jednak wykluczyć możliwości, że w okolicach Raduni mieszkało wówczas dwóch Kozakowskich lub Nosewiczów tego samego imienia. Oraz możliwości, że do potwierdzenia szlachectwa wystarczało wówczas jedenaście podpisów. Pismo, mimo bałaganu w podpisach, zostało przecież przyjęte do akt sądowych. Co więc uczynimy z praprapradziadkiem Walentym i prapradziadkiem Krzysztofem: wiadomość o nich jest pewna, prawda aktualna? Wszystko zależy, moim zdaniem, od tych — ilu ich tam jest? — trzech Mickiewiczów, którzy w roku 1787 podpisali pismo testymonialne. Jan Mickiewicz, Antoni Mickiewicz, Józef Mickiewicz. Kim oni byli? Rozstrzygniemy wartość pisma testymonialnego — wartość wiadomości, które są w nim podane — jeśli rozstrzygniemy taką kwestię: czy ci trzej Mickiewiczowie byli potomkami (w prostej linii) któregoś z synów Walentego, a braci Krzysztofa, o których mówi pismo — a więc potomkami Bartłomieja, Macieja, Jakuba, Wojciecha — czy też pochodzili od jakichś innych lidzkich Mickiewiczów, którzy byli tylko sąsiadami lub dalekimi krewnymi Walentego i jego synów. Dlaczego uważam pochodzenie tych trzech Mickiewiczów, którzy podpisali pismo testymonialne, za rozstrzygające? Teraz proszę o chwilę skupienia. Krzysztof przeniósł się z powiatu lidzkiego do nowogródzkiego przed rokiem 1696, bowiem w tym roku — wraz z żoną Krystyną z Zakrzewskich — zastawił Wołcę u Krzysztofa Daszkiewicza. Można zatem przyjąć, że w powiecie nowogródzkim pojawił się — musimy dać mu trochę czasu na poślubienie Krystyny i gospodarowanie w Wołcy — kilka lat wcześniej. Powiedzmy, że w roku — dokładna data nie jest tu ważna — 1690. Pismo testymonialne pochodzi z roku 1787. Czyli ci, którzy je podpisali, poświadczają nam coś, co wydarzyło się przed stu (mniej więcej) laty. Stanowisko moje w tej kwestii — oparte na doświadczeniu, które dostępne jest każdemu — jest takie. Można coś wiedzieć

o swoich prapradziadkach i pradziadkach: jak się nazywali, gdzie mieszkali, gdzie się przenosili. Ci, co są zainteresowani genealogią własnej rodziny, zwykle coś na ten temat wiedzą. Dzieje prapradziadków i pradziadków — co się z nimi działo przed stu laty — mogą więc być znane prawnukom i praprawnukom. Ale czy można coś wiedzieć o sąsiadach lub dalekich krewnych prapradziadków i pradziadków? Czy można wiedzieć, kim byli, gdzie się przenosili? To całkiem nieprawdopodobne: sąsiadów prapradziadków, którzy żyli przed stu laty, można poznać tylko podejmując gruntowne studia historyczne. Jeśli zatem trzej Mickiewiczowie, którzy podpisali pismo testymonialne — Jan, Antoni, Józef — byli praprawnukami sąsiadów Walentego (lub praprawnukami jego dalekich krewnych), to o Walentym nic wiedzieć nie mogli. A więc podpisali coś, co podsunął im Mikołaj Mickiewicz (lub jego stryjowie), a o czym nie mieli zielonego pojęcia. Kaczają się w raduńskiej karczmie, chodzą tam na czworakach, Mikołaj biega za nimi z piórem i z papierem, i wreszcie podpisują mu ten papier, gdyż nic ich nie obchodzi, co tam jest napisane: Mikołaj jest bardzo miły, bo stawia im wódkę i za ogórki, które zaraz wyrzygają za raduńską karczmą, też płaci. Jeśli natomiast ci trzej Mickiewiczowie — Jan, Antoni, Józef — byli praprawnukami Walentego i prawnukami któregoś z jego synów, to owszem, mogli coś wiedzieć o Walentym i Krzysztofie: losy prapradziadka oraz stryjecznego pradziadka mogły im być znane. W tym wypadku to, co podpisali — siedzą, trzeźwi jak świnie, w kancelarii sądowej w Lidzie i wodzą gęsimi piórami po papierze, języki wysunięte, oczy trochę błędne, bo nie jest to wcale, wiem coś o tym, takie łatwe zajęcie, to wodzenie piórem po papierze — więc w tym wypadku to, co podpisali, wolno nam będzie uznać za wiarygodne: „o tym wszystkim pewna wiadomość y aktualna prawda". Jan, Antoni, Józef Mickiewiczowie. Adwokat Józef Markiewicz, który 25 czerwca 1789 roku aktykował pismo testymonialne w księgach Trybunału Głównego Wielkiego Księstwa Litewskiego, tego samego dnia złożył tam też dokument pod nazwą *Genealogia w kółkach oblinowana Mickiewiczom służąca*. Fotokopia tego drzewa genealogicznego — ukazującego następstwo dziesięciu pokoleń: od jakiegoś Adama Mickiewicza, który był prapraprapradziadkiem Walentego, ojca Krzysztofa, aż do Mikołaja Mickiewicza — została również opublikowana przez Piotra Bańkowskiego. Co wynika z tego drzewa genealogicznego? Czterej pozostali synowie Walentego — ci wymienieni w piśmie testymonialnym: Bartłomiej,

Maciej, Jakub i Wojciech — byli bezdzietni. Z pokolenia Mikołaja w *Genealogii w kółkach oblinowanej* nie ma nikogo poza nim: Mikołaj to pokolenie dziesiąte, inne linie rodu Mickiewiczów wiodące od pierwszego przodka, Adama, kończą się na pokoleniu dziewiątym. Z pokolenia dziewiątego — to pokolenie, do którego należeli ojciec i czterej stryjowie Mikołaja (i do którego powinni też należeć ci, co podpisali się pod pismem testymonialnym) — mamy zaś w *Genealogii w kółkach* takie imiona: Ignacy, Franciszek, Andrzej, Jan, Bartłomiej i jeszcze jeden Franciszek. Jedno imię co prawda się zgadza — jakiś Jan Mickiewicz podpisał pismo testymonialne i jakiś Jan Mickiewicz należał do pokolenia stryjów Mikołaja — ale tych sześciu dopiero co wymienionych Mickiewiczów z dziewiątego pokolenia nie miało nic wspólnego z rodziną Walentego i Krzysztofa. Byli oni bowiem bardzo — a nawet bardzo bardzo — dalekimi krewnymi Walentego: pokrewieństwa nie da się nazwać, jako że rozgałęzienie nastąpiło już w pierwszym pokoleniu po legendarnym przodku, pierwszym Adamie. Trzej Mickiewiczowie, którzy podpisali pismo testymonialne, nie mogli więc nic wiedzieć o Walentym i Krzysztofie Mickiewiczach. Praprapradziadkowie tej trójki może byli sąsiadami Walentego i Krzysztofa: jest absolutnie niemożliwe, aby pamięć o sąsiadach prapradziadków przechowała się przez sto lat w głowach lidzkiej szlachty. Trzej Mickiewiczowie — a także Woyszwiłowie, Kozakowscy, Nosewiczowie — zostali więc spici albo przekupieni przez Mikołaja Mickiewicza i jego stryjów. Albo i spici i przekupieni. Po czym podpisali coś, co Mikołaj im podsunął: jakieś pismo, które mówiło o kimś, kto nosił takie same nazwisko jak trzej z nich. Nie świadczy to jeszcze, że Krzysztof Mickiewicz nigdy nie istniał. Mikołaj, jeśli był jego prawnukiem, mógł coś o nim wiedzieć. W sporządzonym przez niego — lub przez któregoś z czterech stryjów — piśmie testymonialnym mogła się więc znaleźć „pewna wiadomość y aktualna prawda". Tyle że tej pewnej wiadomości nikt już teraz nie poświadcza. Sprawdzam to wszystko jeszcze raz: lupa w drżącej ręce maniaka i kółka *Genealogii w kółkach oblinowanej* latają mi w oczach. Eros mnie prowadził, ten co każe nam pożądać tego, co tutaj istnieje? Więc dlaczego strąciłem w nieistnienie tak pięknie potąd istniejących Walentego i Krzysztofa Mickiewiczów?

Gdzie zostali pochowani rodzice Mickiewicza? Mikołaj Mickiewicz umarł 16 / 28 maja 1812 roku. Jego syn Franciszek łączył

tę śmierć z wielkim pożarem, który wybuchł w pobliżu domu Mickiewiczów w roku 1811 (prawdopodobnie na jesieni) i strawił znaczną część miasteczka. Mikołaj brał udział w gaszeniu pażaru i następnego dnia ciężko zachorował. „Mikołaj chory — pisał w *Pamiętniku* Franciszek — krwią pluje, słaby, w okopciałych przez pożar murach leży". Po chorobie Mikołaj nie wychodził już z domu: „przechadzał się po salonie, oparty na kiju". Władysław Mickiewicz przytoczył w *Żywocie* takie oto zdania z notatek Franciszka Malewskiego: „Adam opowiadał, że w dzień śmierci ojca pękło zawieszone w domu zwierciadło. Pamięć tego zdarzenia mocno się w nim chowała". Barbara Mickiewiczowa umarła osiem lat później: 9 / 21 października 1820 roku. Mickiewicz był wtedy w Kownie i nie przyjechał na pogrzeb, ponieważ bracia i przyjaciele postanowili — trudno to zrozumieć — nie zawiadamiać go o śmierci matki. „Donosić mu o tym w teraźniejszym jego położeniu — pisał 19 / 31 października Franciszek Malewski do Józefa Jeżowskiego — uznaliśmy za niebezpieczne; roiłby sobie, że nagłym wyjazdem z domu, krótkim bardzo bawieniem na wakacjach u matki do tego nieszczęścia przyczynił się." O śmierci matki nie zawiadomiono także Aleksandra, więc za trumną szło tylko dwóch synów wdowy: Franciszek i Jerzy. Wózek wyplatany łubami, na wózku trumna, za wózkiem kulejący, garbaty Franciszek. Wózek wyjeżdżając na rynek z Korelickiej skręca w którą stronę? Na południe czy na północ? A nabożeństwo żałobne? Gdzie ono mogło się odbyć? Kościół Jezuitów był już wtedy zamknięty, kościół św. Michała (dominikański) stał wypalony, kościół św. Mikołaja (ten znajdował się najbliżej domu przy ulicy Walowskiej) spłonął doszczętnie w roku 1811. Fara była na wpół zrujnowana, ale wciąż jeszcze był to kościół parafialny i chyba nadal odprawiano tam msze. Więc nabożeństwo żałobne może przed tym ołtarzem, gdzie wisiały strzępy obrazu pędzla Smuglewicza: *Przemienienie Pańskie*. Czasopismo „Ziemia Lidzka" (numer z października–grudnia 1990 roku) zamieściło taką oto wiadomość dotyczącą cmentarza w Nowogródku: „Wśród setek zniszczonych nagrobków nie można już odnaleźć grobu matki naszego wieszcza Adama Mickiewicza, podczas gdy grób wnuka Aleksandra Puszkina znajduje się pod opieką miejscowej szkoły". Artykuł zatytułowany *W cieniu lidzkiego orła* informuje też, że znajdująca się na tym cmentarzu kaplica stała się miejscem schadzek nowogródzkich chuliganów: „jeszcze w połowie września ubiegłego roku wewnątrz tej kaplicy stało łóżko". Na zdjęciu zamieszczonym w tymże numerze

czasopisma widać otwarty grób i pokruszone płyty nagrobne, gdzieś w dali, za drzewami, majaczy kaplica, miejsce zabaw chuliganów. Otwarte groby, zbezczeszczone cmentarze: pamiątka, która pozostanie po naszym stuleciu. Grób Barbary Mickiewiczowej nie został jednak (mam taką nadzieję) zbezczeszczony. Kiedy ostatni z Mickiewiczów (Franciszek) wyjechał z Nowogródka, grób prawdopodobnie zapadł się pod ziemię, a potem o nim zapomniano. Znajdował się on bowiem na innym, dziś już nie istniejącym cmentarzu, z którego korzystano w pierwszej połowie XIX wieku. Cmentarz, o którym mowa w artykule *W cieniu lidzkiego orła*, to najpewniej ten, który położony jest — jak wynika z planu Nowogródka — na południe od miasteczka, w pobliżu stacji kolejowej. Założono go zapewne w pierwszych latach wieku XX (może nieco wcześniej), a uprzednio zmarłych w Nowogródku katolików chowano gdzie indziej. Wypis z ksiąg kościoła rzymskokatolickiego w Nowogródku zamieszczony w czwartym tomie *Korespondencji Adama Mickiewicza* mówi: „Roku 1820 miesiąca Octobra 9 dnia życie ukończyła, ze słabości zdrowia, urodzona Barbara Mickiewiczowa, komornikowa, wdowa po zmarłym mężu Mikołaju, mająca lat 53. Pogrzebiona 11 Octobra na cmentarzu XX Dominikanów". Na tymże cmentarzu — można przypuszczać, że w tym samym grobie — pochowano również Mikołaja Mickiewicza. W pobliżu były pewnie groby Sapliców, Pękalskich, Leszczyłowskich, Terajewiczów. Cmentarz dominikański gdzie się znajdował? Nazwa mogłaby wskazywać, że gdzieś w pobliżu kościoła św. Michała. Tuż za tym kościołem — na południe od niego — stała synagoga, a obok niej budynek niewiadomego przeznaczenia. Między synagogą i tym budynkiem a kościołem była jakaś przestrzeń — niezbyt duża — gdzie ewentualnie mógłby zmieścić się niewielki cmentarz. Nie ma jednak żadnego świadectwa, które mówiłoby, że na tym terenie, wokół kościoła lub za nim, chowano zmarłych: przynajmniej w wieku XIX, bo może wcześniej, w wieku XVIII, kościół Dominikanów był miejscem pochówków. „Były tu nagrobki", pisał Józef Żmigrodzki (*Nowogródek i okolice*), lecz wszystkie te nagrobki były „wmurowane w ściany zewnętrzne kościoła" i wszystkie pochodziły z pierwszej połowy wieku XVIII: a więc sprzed tego pożaru, który zniszczył kościół św. Michała w roku 1751. Kiedy kościół został odbudowany — rok 1831 — płyty nagrobne znalazły się wewnątrz budynku: ułożono z nich posadzkę przed ołtarzem. „Obecnie — to też cytat z książki Żmigrodzkiego — napisy starte są prawie zupełnie." Edward Chłopicki (*Notatki*

z różnoczasowych podróży po kraju, rok 1863) widział tam jeszcze — we wnętrzu kościoła — „płyty grobowe z imionami Czeczotów i Muchlińskich". Wydaje się więc mało prawdopodobne, aby Mikołaj i Barbara Mickiewiczowie pochowani zostali w pobliżu kościoła Dominikanów. We wnętrzu kościoła też pochowani być nie mogli, bo ten kościół był przecież — gdy ich chowano — wypalony. Ale cmentarz był dominikański, wypis, który Władysław Mickiewicz przedrukował w *Korespondencji*, mówi to wyraźnie. Może więc nazwa ta — w pierwszej połowie wieku XIX — przysługiwała innemu cmentarzowi: temu, który znajdował się na zboczu Góry Mendoga, a w pobliżu kościoła farnego? Pisałem już o tym cmentarzu w *Żmucie*. Rysunek przedstawiający Górę Mendoga zamieszczony w „Tygodniku Ilustrowanym" — rok 1883 — podpisany został: „cmentarz farny". Z książki Edwarda Pawłowicza *Nowogródek w XIX wieku* wynika, że zmarłych chowano tam jeszcze w ostatnich latach zeszłego stulecia: „do niedawna był tam cmentarz parafialny". Czy ten cmentarz — farny czyli parafialny — nazywano także dominikańskim? Nie potrafię tego rozstrzygnąć. Z pewnością mogło być tak w drugiej połowie wieku XIX. Cytowałem już to zdanie Pawłowicza, mówiące że — po zlikwidowaniu szkoły dominikańskiej — kościół św. Michała „jako będący w środku miasta, zamieniono na parafialny, z zamknięciem starej fary". Pawłowicz trochę się omylił, stało się to nie po zlikwidowaniu szkoły (rok 1832), lecz nieco później, w roku 1858: rok wcześniej ówczesny proboszcz nowogródzki zaczął, jak pisał Józef Żmigrodzki, „czynić starania, aby kościół św. Michała zamieniono na parafialny, a farę zamknięto, ponieważ grozi runięciem". Na co władze rosyjskie — dość niechętnie, bowiem w ogóle nie chciały mieć w Nowogródku rzymskokatolickiej parafii — wreszcie się zgodziły. Gdy parafię przeniesiono do kościoła św. Michała, dominikanów w Nowogródku już nie było, bowiem klasztor skasowano w roku 1850. Nazwa jednak pozostała i nadal mówiono: kościół Dominikanów. Cmentarz parafialny, jako należący do kościoła Dominikanów, mógł więc być, choć znajdował się w dość dużej od tego kościoła odległości, również nazywany dominikańskim. Może w wypisie, który Władysław Mickiewicz umieścił w *Korespondencji*, a który wykonano w drugiej połowie wieku, użyto zatem nazwy, którą właśnie wtedy się posługiwano. To tylko mój domysł. W pierwszej połowie wieku XIX, mówiąc o cmentarzu na zboczu Góry Mendoga, używano jednak raczej tej nazwy, którą mamy w podpisie pod rysunkiem w „Tygodniku Ilustrowanym": cmentarz farny. Myślę,

że był to w czasach dzieciństwa i młodości Mickiewicza jedyny cmentarz rzymskokatolicki w Nowogródku. Wydaje się to poświadczać zdanie z *Pamiętnika* Franciszka Mickiewicza, który — gdyby w miasteczku były dwa cmentarze — chyba by o tym wspomniał: „Przy farze jest teraz smętarz rzymskokatolickiego wyznania". Cmentarz farny — może dominikański — jest nieźle widoczny na przedstawiającej Górę Mendoga fotografii w albumie Teofila Borettiego *Widoki stron rodzinnych Adama Mickiewicza*: kilka pochylonych krzyży na zboczu wzgórza i jeszcze kilkanaście — te są w lepszym stanie — na małym pagórku będącym jak by tego wzgórza przedłużeniem. Fara — w stosunku do pagórka — znajdowała się po drugiej stronie Góry Mendoga. Tam więc, na tym pagórku, należałoby szukać grobu — lub grobów — Barbary i Mikołaja Mickiewiczów. Wózek, za którym kuśtyka Franciszek, przejeżdża przez rynek, potem skręca w prawo, w stronę fary, a potem jeszcze raz w prawo, ku Górze Mendoga. Należałoby szukać. Ale to beznadziejne, tych grobów nie da się już przecież odnaleźć: krzyże spróchniały, zmurszałe nagrobki — jeśli były tam jakieś nagrobki — rozpadły się i pokruszyły, a ich odłamki zarosły trawą. Białoruscy chuligani nie mogą już im zrobić nic złego. Legendarne groby. Właśnie tyle możemy i właśnie to powinniśmy uczynić: zapewnić im istnienie legendarne. Grób jego matki i jego ojca w pobliżu grobu pierwszego króla Litwinów. W tym samym miejscu, w tej samej legendzie, która o tym miejscu opowiada. Góra Mendoga. Inna jej nazwa mogłaby brzmieć tak: Góra Mikołaja i Barbary Mickiewiczów.

Od redakcji: Fragmenty książki o dzieciństwie Adama Mickiewicza i powiecie nowogródzkim. Trzeci tom cyklu: *Jak bajeczne żurawie*; tomy poprzednie: *Żmut*, *Baket*. Tekst niniejszy obejmuje fragmenty: 67, 68, 71.

biblioteka tekstów

Maria Janion ***Projekt krytyki fantazmatycznej. Szkice o egzystencjach ludzi i duchów***

Tematem książki jest wyobraźnia oraz jeden z jej najbardziej zdumiewających wytworów — fantazmat; bohaterami — Conrad, Czapski, Freud, Flaubert, Gombrowicz, Grass, Hoffmann, Konwicki, Krasiński, Laing, Mickiewicz, Musil, Wajda, Witkacy. „Maria Janion złożyła w swej książce jasną propozycję. Musimy się najpierw zdecydować, co z romantyczno-symbolicznej kultury należy ocalić, a co na zawsze zgubić, aby duchowość polska mogła się odnaleźć w dzisiejszym świecie, doprawdy zupełnie niepodobnym do wyobrażeń, którymi oślepiły nas nasze ukochane widma. Jest to propozycja zasadnicza" (R. Przybylski).

Jerzy Jarzębski ***W Polsce czyli wszędzie. Szkice o polskiej prozie współczesnej***

Sytuacja literatury emigracyjnej, kryzysy realizmu w prozie krajowej po wojnie, ewolucja obrazu kresów w literaturze ostatniego półwiecza — to główne tematy książki, której odrębnymi bohaterami są Gombrowicz, Schulz, Witkacy, Białoszewski, Mackiewicz, Lem. „Poza Błońskim nikogo z żyjących krytyków nie czytam z takim pożytkiem i satysfakcją" (H. Markiewicz).

Jan Józef Lipski ***Tunika Nessosa. Szkice o literaturze i o nacjonalizmie***

Szkice o poezji, dramacie i prozie, głośne eseje: *Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy* i *Antysemityzm ONR „Falangi"*, wspomnienia o przyjaciołach. „Ta książka jest taka, jaki był Jan Józef. On był wielostronny, renesansowy... *Tunika Nessosa* jest rodzajem wizytówki pisarskiej... Znakomite eseje literackie, polityczne, historyczne i osobiste" (A. Michnik).

Pytajcie o te książki w księgarniach!

Roztrząsania i rozbiory

„Szatańska pycha" Norwida

Oni i Norwid.[1] Oni: publiczność salonów literackich, przyjaciele, krytycy, protektorzy, no i oczywiście — „szacowne damy". Kim był dla nich ów sztukmistrz, który tak konsekwentnie kreował w życiu i twórczości swój wizerunek poety–mędrca i nauczyciela narodu?

Człowiek jakby predestynowany do wygnania, odrzucenia, emigracji — wewnętrznie skazany na emigrację zewsząd [...]. Wygnany z miłości przez własne pojęcie miłości. [...] Wygnany z romantyzmu przez własne rozumienie romantycznego powołania poezji? [...]. Przepędzony z ojczyzny swym wysokim pojęciem ojczyzny.[2]

Już w tych słowach napisanych prawie ćwierć wieku temu kryje się znamienna ambiwalencja. Norwid samotny i nie rozumiany — wiadomo. Lecz czy przez wszystko i wszystkich nieustannie „zdradzany", jak mówi w wierszu *Obojętność*? Czy też może wina — jeśli tu o winie w ogóle można mówić — leży w postępowaniu poety, w jego radykalnym nieprzystosowaniu do zmiennych rytmów cywilizacji, może wręcz — strach pomyśleć — w jego ignorancji i arogancji? Współcześni z uporem powtarzali, że „ciemny". Biedny Wacław Szymanowski nad *Wspomnieniem* Norwida wykrzykiwał histerycznie: „na miłość Boską, co to znaczy? Czy tam jest choć kawałek sensu?"[3]. Wiele lat upłynęło,

[1] M. Adamiec *Oni i Norwid. Problemy odbioru twórczości Cypriana Norwida w latach 1840–1883*, Wrocław 1991.

[2] J. Błoński *Norwid wśród prawnuków*, „Twórczość" 1967 nr 5, s. 70–72.

[3] W. Szymanowski *Literaci warszawscy*, w: W. Szymanowski, A. Niewiarowski *Wspomnienia o Cyganerii Warszawskiej*, oprac. J. W. Gomulicki, Warszawa 1964, s. 157, cyt. za: M. Adamiec, op. cit., s. 107.

zanim Kazimierz Wyka napisał *Pochwałę niejasności Norwida*, wyliczając między innymi zalety niepopularności poety:

> Nie ma zatem nic złego w tym, że Norwid pozostać musi niepopularnym. Iluż on przykrych rzeczy uniknie. Nie wyświechta się go tysiącami akademii i wieczorków szkolnych, nie obrzydzi pomnikami.[4]

Te słowa pisał Wyka w roku 1933 i — jak wiadomo — bardzo się pomylił. „Ojczyzna to wielki zbiorowy obowiązek" — jeśli nie wszyscy, którym znane jest to hasło ze szkolnej gazetki lub okolicznościowego transparentu wiedzą dziś, że pochodzi ono z pism Norwida — to tym gorzej dla niego.

Książka Marka Adamca rozpoczyna sią od anegdoty, która dotyczy właśnie tejże „ojczyzny i obowiązku" — wielkim transparentem okalających rynek prowincjonalnego miasteczka. Warto zapamiętać, bo choć to sprawa sama przez się marginalna, pozwala lepiej zrozumieć polemiczny wymiar (chciałoby się powiedzieć: polemiczną wielowymiarowość) właściwej rozprawy o *Problemach odbioru twórczości Cypriana Norwida w latach 1840–1883*.

Z podziwu godną zręcznością, czasem wręcz niebezpieczną dla tzw. „merytorycznej wartości wywodu", Marek Adamiec analizuje złożony mechanizm funkcjonowania twórczości Norwida w drugiej połowie XIX wieku. Odwołuje się przy tym do założeń metodologicznych estetyki recepcji. Miłośnicy Norwida — a tych ciągle jeszcze niemało — muszą stawić czoło okrutnej i bulwersującej prawdzie: otóż usiłował on „narzucić innym swoje reguły komunikacji (...) we własnym przekonaniu miał do tego pełne prawo" (s. 79). W istocie, wypada dopowiedzieć, że prawo to sobie uzurpował bez takiej chociażby racji, jaką daje wyraźny i niewątpliwy sukces u publiczności. Rzecz w tym, że jednym z najważniejszych, a na pewno najbardziej kontrowersyjnych dla współczesnych, dzieł Cypriana Norwida był — powiada Adamiec — „Cyprian Kamil Norwid". A cóż to za figura? Nie jest to, jakby można pochopnie przypuszczać, domniemany „podmiot wewnętrzny" wierszy i poematów, ale osobliwa kreacja artystyczna, zrazu łącząca w sobie różne romantyczne „pozy", a z upływem lat coraz bardziej nieprzystająca do jakiegokolwiek z romantycznych kodów interpretacyjnych. „Cyprian Kamil Norwid" wygląda z autoportretów artysty, z jego publicznych i prywatnych manifestacji, z korespondencji i strategii literackich. A już skandalicznie doprawdy prezentuje się w tzw. „autobiografii artystycznej", czyli odpowiedzi na ankietę, mającą słu-

[4] K. Wyka *Pochwała niejasności Norwida*, w: K. Wyka *Cyprian Norwid. Studia, artykuły, recenzje*, Kraków 1989, s. 196.

żyć opracowaniu słownika artystów polskich. W sprawie ankiety nawet najzagorzalsi sympatycy Norwida niewiele mogą powiedzieć na jego obronę (a pastwi się nad nią Adamiec, że chciałoby się zawołać: „kończ waść, wstydu oszczędź!"). „Cyprian Kamil Norwid" jest kreacją na swój sposób niezwykle konsekwentną, tyle że implikuje ona reguły interpretacji „spektaklu życia codziennego" niedostępne w całej swojej złożoności nikomu poza osobą autora — Cypriana Norwida. I w tym — sugeruje Marek Adamiec — tkwiło zasadnicze źródło nieporozumień autora *Promethidiona* ze współczesną mu publicznością literacką. Nie znała ona — bo znać nie mogła — domniemanej całości dzieła, warunkującej, zgodnie z podstawową zasadą hermeneutyki, właściwe rozumienie poszczególnych jego części. A była to publiczność zajęta już wówczas innymi sprawami niż Norwidowska rewizja romantyzmu polskiego i tego wysiłku interpretacyjnego, który mógłby prowadzić do twórczej rekonstrukcji całości myślowej, a właściwie nie tyle rekonstrukcji, co dedukcji — nie tylko podjąć nie mogła, ale też po prostu nie chciała. Trudno się dziwić. Norwid debiutował w drugim pokoleniu romantyków i był odbierany jako romantyk — spóźniony romantyk — wreszcie: wykolejony romantyk.

Książka Marka Adamca złożona jest z trzech części (jeśli nie liczyć krótkiego wstępu i zakończenia). W pierwszej autor demaskuje podłoże konfliktów Norwida z odbiorcami jego twórczości w kontekście metodycznej „teatralizacji życia". Chodzi o zjawisko rozminięcia się różnych „kodów komunikacyjnych" — kodu implikowanego w „języku" Norwidowskich manifestacji i kodów funkcjonujących na obszarach ówczesnego życia społecznego. Część druga poświęcona jest analizie charakterystycznych strategii literackich, badaniu poetyki immanentnej w jej bezpośrednich związkach z zagadnieniem recepcji. Ta część napisana jest już z mniejszą swadą — i dobrze, bo problematyka bardzo się komplikuje i byłoby niewybaczalne, gdyby autor pozwolił sobie na złośliwą jednoznaczność sądów. Rzecz dziwna: spostrzeżenia, które w danym kontekście służą przede wszystkim udokumentowaniu twierdzenia o nieprzyswajalności tekstów Norwida, dotyczą w moim pojęciu spraw dziś w norwidologii najpilniejszych i najbardziej inspirujących. Rozwijając myśl Adamca (chyba jednak wbrew jego intencjom) można by powiedzieć, że te same aspekty poetyki Norwida, które pierwszych odbiorców jego twórczości nieuchronnie odstręczały, dziś stanowią o jej żywotności i aktualności. Taką sprawą jest niewątpliwie napięcie pomiędzy „poezją i wymową", tj. naruszanie przez Norwida granicy pomiędzy regułami wypowiedzi mówionej i pisanej. Dla XIX-wiecznej świadomości literackiej charakterystyczne wydaje

się następujące sformułowanie Johna Stuarta Milla: „Wymowa zakłada audytorium: wydaje się nam, że osobliwość poezji polega na całkowitej nieświadomości poety dotyczącej słuchacza".[5] Jakże inaczej przedstawia się ten sam problem w dzisiejszej perspektywie! Dość przypomnieć, że Miron Białoszewski uważał Norwida za ważne źródło inspiracji poetyckiej.

Druga sprawa to gatunkowa i stylistyczna niejednorodność utworów Norwida. Oto co pisze Adamiec, nawiązując zresztą do wcześniejszych wypowiedzi na ten temat:

> Przede wszystkim utwory Norwida nie mogą w pełni istnieć samodzielnie, są bowiem powiązane siatką dialogu z tekstami innych pisarzy, m.in. Mickiewicza, Krasińskiego, Zaleskiego, Pola, Lenartowicza, Olizarowskiego, Malczewskiego czy Kochanowskiego. I nie jest to problem bezpośredniej polemiki. Pojawia się niejednokrotnie przyjęcie cudzej perspektywy, cudzego punktu widzenia, mówienie cudzym językiem, nie mające nic wspólnego ze stylizacją [s. 179].

Ależ tak! Tylko że jeśli na XIX-wieczną publiczność złożoność gatunkowa i stylistyczna utworów Norwida (liczne reminiscencje stylistyczne i „cytaty struktury") działała paraliżująco, to dzisiaj odsłania ona znaczenie jego twórczości w kontekście dokonującej się wówczas „rewolucji intertekstualnej".[6] Norwid był jednym z pierwszych pisarzy świadomie stosujących różne strategie nawiązań do tradycji literackiej. W jego rozumieniu oryginalność była wręcz sprawą aktualizacji tradycji. I to jest jeden z problemów, które — co zrozumiałe — nie mieszczą się w perspektywie myślenia o Norwidzie prezentowanej w książce Marka Adamca, a dla których ta właśnie książka stanowić może dogodny punkt wyjścia. Ale to już — jak lubi mawiać autor — „zupełnie inna historia".

Zdaje się, że „niechcący" napisałam bardzo pochlebną recenzję. Tak się jakoś złożyło, bo książka rzeczywiście frapuje i pobudza do myślenia. Wyznam więc na koniec, że także miejscami irytuje, gdy autor popada w przesadę i staje się poniekąd ofiarą własnej metody, gdy gubi sens w retorycznym popisie. Nie stawiam pytania, czy wizerunek Norwida przedstawiony przez Adamca jest wizerunkiem „prawdziwym". Jest on tyleż sugestywny, co niewątpliwie tendencyjny. Ale z drugiej strony — *Oni i Norwid* to nie tylko książka o Norwidzie i jemu współczesnych. To także książka o mitycznych i instrumentalnych stylach recepcji jego twórczości rozpowszechnionych w naszym stuleciu. A więc — próba

---

[5] Cyt. za M. Głowiński *Wirtualny odbiorca w strukturze utworu poetyckiego*, w jego książce: *Style odbioru*, Kraków 1977, s. 60.

[6] Zob. S. Balbus *Ewolucja i rewolucja intertekstualna*, w jego książce: *Intertekstualność a proces historycznoliteracki*, Kraków 1990.

„demitologizacji" problemu „Norwid". I dlatego warto tę książkę przeczytać.

Joanna Zach-Błońska

Oni nami mówią

Nawet jeśli się nie jest wyznawcą tzw. *general semantics*, która głosiła, że zło tego świata uwarunkowane jest przez przypadłości języka, nie można nie zauważyć, że nowomowa stanowiła (i w jakiejś mierze stanowi nadal) istotny współczynnik kryzysu społecznego, że wpływa na jego przebieg i utrudnia jego rozwiązanie.[1]

Myślę, że ta właśnie deklaracja najdokładniej charakteryzuje istotę polskiej dyskusji toczonej przez kilkanaście ostatnich lat na temat nowomowy. Dziwna jest bardzo ta dyskusja. Przede wszystkim dlatego, że na dobrą sprawę nie ma definicji nowomowy, a zakres tego terminu jest dość dowolnie konstruowany. Pewne oczywistości są co prawda niezmienne: nowomowa została wytworzona przez aparat ideologiczno-propagandowy „czerwonych totalitaryzmów" i stosowana jako język oficjalny. Poza tymi użyciami i użytkownikami jest oceniana źle jako „drętwa mowa", „drewniany język", „język sowiecki", „język propagandy totalitarnej". I to właściwie wszystko, co pewnego o nowomowie można powiedzieć. Na dodatek zaś, nawet te oczywistości zaczynają być nie całkiem oczywiste, kiedy mówi się np. o dekonstrukcjonizmie jako nowomowie[2] (może więc nowomowa istnieć poza totalitaryzmem politycznym?), albo buduje się skądinąd kuriozalną językowo kategorię neonowomowa na określenie języka propagandy posttotalitarnej. Ktoś mógłby powiedzieć, że to tylko spory terminologiczne. Kiedy jednak próbuje się określić istotę lingwistyczną nowomowy, to okazuje się, że — już teraz pominąwszy spory terminologiczne — jest to równie trudne, jak zakreślenie denotacyjne. Za przedmiot biorąc dwie — skądinąd znakomite — książki Michała Głowińskiego spróbuję pokazać właśnie owe kłopoty z nowomową, a właściwie z poszukiwaniem jej istoty.
Pierwsza z tych książek to swoisty, kolejny w dziejach notatnik filologa zatytułowany *Marcowe gadanie*, a druga — *Nowomowa po polsku*. *Marcowe gadanie* można uznać za kontynuację V. Klemperera *LTI* (nawiasem mówiąc — dziwnym jest brak lub rzadkość odwołań tych,

[1] M. Głowiński *Nowomowa po polsku*, Warszawa 1991, PEN, s. 89.
[2] Por. W. Skalmowski *Dekonstrukcjonizm literacki jako „nowomowa"*, „Teksty Drugie" 1990 nr 2, s. 7–17.

którzy piszą o nowomowie, właśnie do brunatnej nowomowy śledzonej w notatkach V. Klemperera). Jednocześnie zaś M. Głowiński zapowiada następny tom filologicznych notatek, który miałby się nazywać *Peereliada*. Układ zostanie zapewne ten sam, znajdować się tam będą datowane notatki z lat 1976–1981, a ich wybór już się pojawił w „Gazecie Wyborczej" i „Polityce" z końca 1991 roku.[3] Spróbujmy — mimo odnotowanych kłopotów definicyjnych — odnaleźć choć kilka cech charakterystycznych polskiej nowomowy.

Pierwsza wydaje się szczególnie ważna z punktu widzenia samej „filologiczności". Otóż wydaje się, że wbrew pozorom filolog (językoznawca) jest wobec nowomowy bezradny. Oczywiście można poszukiwać tych cech, które są najbardziej charakterystyczne właśnie dla nowomowy. Próbowało to robić wiele osób, wszakże bez powodzenia. Ta sama bezradność jest widoczna także w obu książkach M. Głowińskiego.

Tropiąc nowomowę M. Głowiński sięga i do publicystyki, i do haseł propagandowych wyborów w czerwcu 1989 r., i do tekstów z zakresu marksizmu–leninizmu, a nawet do poezji. Okazuje się, że wszędzie tam nowomowa przeniknęła. Nie jest ona zatem cechą jednego stylu, pojawia się w publicystyce, humanistyce, poezji, w hasłach wypisywanych na murach. W genologii lingwistycznej nie da się jej zakwalifikować do którejś z tradycyjnie wyodrębnianych odmian stylowych.

Nie można wskazać tych słów czy frazeologizmów, które powinny się znaleźć w słowniku polskiej nowomowy. Musiałby się zatem pojawić zarówno *radziecki*, jak i *sowiecki*, *naród*, *partia*, *socrealizm*, *solidarność*, *autorytet*, *wróg* itd. itp. Obok nich — haseł leksykalnych — należałoby umieścić także spory wykaz frazeologizmów, i to nie tylko takich, jak *Proletariusze wszystkich krajów...*, lecz również *woda na młyn, oderwany od życia, odwrócić uwagę...* Nie sposób także odnaleźć mechanizmów używania słów przez tych, którzy posługują się nowomową. Jako taki przykład fleksyjny użycia słowa podaje się — czyni to także M. Głowiński — mianownik liczby mnogiej: *my*. Forma ta ma być przede wszystkim „znakiem wspólnoty i solidarności".

Charakter i zakres tej wspólnoty zależy od sytuacji; „my" oznaczać może cały naród, partię, „siły postępowe kraju", „siły postępowe świata" itd. Często oznacza nie tyle samą władzę, ile jakąś zagadkową „wspólnotę socjalistyczną". Mówi się wtedy np.: „zgadzamy się z tą koncepcją", „jest to nam obce" (domyślać się trzeba, że „klasowo" lub „ideologicznie"). „My" brzmi groźnie zwłaszcza w przemówieniach polityków na najwyższych stanowiskach, służy formułowaniu nakazów bądź zakazów. W wielu wypadkach jest zaś znakiem demagogii: mówiący sugeruje, że nie przemawia tylko we własnym imieniu, że

[3] „Gazeta Wyborcza" nr 301 (28–29 grudnia 1991), s. 14–15; „Polityka" nr 51–52 (21–28 grudnia 1991), s. 7.

stoi za nim zbiorowość, z którą się utożsamia. Tym przede wszystkim „my" z języka współczesnych oficjałów różni się od starego poczciwego *pluralis majestaticus*, który był tylko godnościową konwencją.[4]

Zdania zaczynające się od „my, Polacy" odwołują się z reguły do najprostszych mitów narodowoych, do najbardziej stereotypowych wyobrażeń na temat własnej wspólnoty. Często służą one utwierdzeniu czytelnika w najbanalniejszej megalomanii narodowej.[5]

W poszukiwaniu istoty nowomowy sięga się także do tego, co można by uznawać za jej specyfikę komunikacyjną. Na ogół powiada się, że konstrukcje nowomowy „pozostają poza prawdą i fałszem". Jest to tak samo oczywiste, jak i powszechne „rozmywanie" znaczeń słów używanych nie po to, aby precyzyjnie coś zakomunikować, lecz po to, aby osiągnąć skutek perswazyjny zamierzony przez ideologa. Ta właściwość jest jednak charakterystyczna dla wszelkich tekstów perswazyjnych, choćby tak odległych od nowomowy, jak reklama nie mająca wszak wiele wspólnego z totalitaryzmem.

Wbrew sądom niektórych lingwistów chciałbym więc zaproponować diagnozę następującą: nowomowa nie jest kategorią lingwistyczną, lecz publicystyczną. Sygnalizowałem wyżej niektóre powody bezradności językoznawcy wobec nowomowy. Powinien on wytropić te właściwości, które pozwalałyby na konstatacje *stricte* naukowe, a jednocześnie poddać nowomowę bezstronnemu oglądowi badawczemu tak, aby nie angażować w te naukowe procedury żadnych wartościowań.

Tymczasem — jak się wydaje — nowomowa bez podejścia aksjologicznego w ogóle nie da się spostrzec. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że do tej kategorii można zaliczyć tylko takie sposoby posługiwania się językiem, które są negatywnie wartościowane. Wartościowanie tego rodzaju można dostrzec na każdym poziomie: etycznym, estetyczno-artystycznym, poprawnościowym, logicznym a nawet — co może wyglądać paradoksalnie — pragmatyczno-perswazyjnym.

Nowomowa jest szkodliwa etycznie, bo jest narzędziem propagandowej manipulacji (wystarczy zwrócić uwagę choćby na dwa przykłady: stereotypizację pewnych pojęć, zwłaszcza po to, aby w samo słowo wbudować niechęć lub wręcz nienawiść oraz stosowanie eufemizmów po to, aby w sposób niejawny kłamać). Z punktu widzenia estetyczno-artystycznego M. Głowiński postrzega nowomowę (zwłaszcza pewne jej odmiany) jako kicz. Wytyka także sporo prymitywnych — na granicy poprawności językowej — sformułowań zwanych machejkizmami. Wreszcie owa — na pozór paradoksalna — nieskuteczność pragmatyczno-perswazyjna.

[4] M. Głowiński *Marcowe gadanie. Komentarze do słów 1966–1971*, Warszawa 1991, POMOST, s. 89.

[5] Tamże, s. 106.

Otóż nowomowa to język propagandy złej, nieskutecznej, prymitywnej. Taką diagnozę można wyczytać również z omawianych książek M. Głowińskiego, choć nie tylko z nich. Wspomniałem przed chwilą o tym, że nowomowa jest nieokreślona i nie do określenia. Cechy, które można jej przypisać, powtórzą się choćby w przypadku reklamy. Tyle tylko, że reklama może być apolityczna i wzbudzać emocje wyzbyte na ogół warstwy polityczno-ideologicznej. Odwrotnie jest w przypadku nowomowy, która wartościowana jest przede wszystkim właśnie politycznie. Wartościowanie to ma zresztą charakter wtórny, niejako pochodny. Wierny aparatczyk — wyznawca i realizator określonej polityki i ideologii, używający języka służącego propagowaniu jednej i drugiej, nie powinien oczywiście tego języka nazywać w sposób niechętny czy wręcz pogardliwy. Taka zaś jest wartość emocjonalna „nowomowy" jako nazwy. Bo nie jest to przecież nazwa neutralna. Jest ona używana przez przeciwników establishmentu zwanego skądinąd reżimem. Nazwy zaś używa się po to, by zdyskredytować. Zdyskredytować zaś można korzystając z każdego aspektu.

Wróćmy teraz do cytatu przywołanego na początku. Otóż przypuszczenie, że „zło tego świata uwarunkowane jest przez przypadłości języka", istotnie nie tylko zwolennicy semantyki ogólnej wyznają. Podejrzliwość wobec języka jest raczej powszechna we współczesnej humanistyce postmodernistycznej. Kategoria nowomowy może być potraktowana jako jeden z przejawów owej podejrzliwości. Spróbujmy — w kontekście nowomowy — odpowiedzieć na pytania o źródła takiej podejrzliwości.

W tradycyjnej semiotyce przyjmowało się m. in. zasadę przezroczystości znaku i języka. Oznaczała ona — najprościej rzecz ujmując — to, że płaszczyzna *signifiant* zarówno dla nadawcy jak i odbiorcy jest li tylko niepostrzegalnym narzędziem, środkiem, pośrednikiem niezbędnym do realizowania tego, co istotne: płaszczyzny *signifié*, komunikatu, znaczenia, wartości semantycznej, mocy perswazyjnej itp. Przezroczyste *signifiant* nie przyciąga uwagi, nie jest przedmiotem zainteresowania poza kręgiem specjalistów — np. lingwistów. Ci z kolei tak bardzo skoncentrowali się na analizie samego *signifiant*, że nie zauważają przezierającego przez nie *signifié* (nawet jeśli bardzo szczegółowo analizują semantykę). Nieprzezroczystość dostrzega się niemal wyłącznie w tekstach poetyckich realizujących tzw. funkcję autoteliczną.

Uchwycenie istoty nowomowy to mechanizm demaskacji inicjowanej pytaniem: jak oni to robią? Pytanie tak postawione każe patrzeć na kilka rzeczy naraz: na to, kto to robi, jakie są jego cele, jakie mechanizmy stosuje, co się dzieje ze zwykłymi, codziennymi słowami i ich formami gramatycznymi. Wszystkie te szczegółowe pytania można by właściwie

sprowadzić do dwu słynnych pytań Gnoma (Gomułki): „kto za tym stoi i komu to służy?". Odpowiedzi na nie muszą prowadzić do demaskacji rozpoczynanej od zakłócenia, zmatowienia przezroczystości. Wyznaje się zasadę: patrzymy im na słowa. Coraz bardziej też rysuje się pęknięcie między „my" i „oni". W tym kontekście za wielce symptomatyczne można uznać to, że *Marcowe gadanie* rozpoczyna się od notatki zatytułowanej *Oni*. Dostrzeżenie dystansu wobec „onych" może było sygnałem do czujności, patrzenia „onym" na słowa i notowania ich.

Nowomowa to sposób posługiwania się językiem właśnie przez „onych". To z kolei jest podstawą do oceny — oczywiście bezwzględnie negatywnej. Powody negatywnej oceny są co najmniej dwa: z jednej strony to, że „onych" ocenia się negatywnie również z innych względów, z językiem nie mających nic wspólnego, a z drugiej — także sam język propagandy. „Oni" mogą ten język poddawać ciągłemu „dalszemu doskonaleniu", „my" natomiast czujnie poszukiwać będziemy wszystkich mechanizmów niecnych, nieuczciwych, ogłupiających. Toczy się pojedynek między „onymi" i „nami". Wszakże w momencie odkrycia w jakichś notatkach filologa reprezentującego „nas", że „oni" posługują się nowomową, czyli w momencie dokonania demaskacji, „oni" są bez szans. Nowomowa zdemaskowana nie tylko okazuje się nieuczciwa, manipulacyjna, „machejkowato" niesprawna, ale też właśnie ze względu na demaskację bezradna, nieskuteczna perswazyjnie. Wtedy już nie pomoże żadne „dalsze doskonalenie". Wystarczy wyraziste pęknięcie między „my" i „oni". Wszystko, co w propagandzie powiedzą „oni", „my" poddamy czujnemu oglądowi, żeby odkryć manipulację. Cytuje M. Głowiński przykład odróżnienia na „nasze" i „onych" niemal absurdalny, bo leżący na granicy pewnej schizofrenii onomastycznej: Szewińska zdobyła złoty medal, a Kirszensztajn zgubiła pałeczkę w sztafecie.

Trudno jednoznacznie przesądzić, czy dla tropienia nowomowy ważniejsze jest najpierw ukształtowanie się opozycji „my" i „oni", a potem manifestowanie się tej opozycji w języku, czujne tropienie mechanizmów propagandy „onych", czy też sam sposób posługiwania się językiem prowadzi — w rezultacie — do odróżnienia „nas" i „onych". W notatkach M. Głowińskiego można zauważyć pewną prawidłowość. „Onych" dostrzega filolog w sierpniu 66, a kończy serię notatek w czerwcu 71. W tym czasie dokonują się dwa wielkie przesilenia między „my" a „oni": marzec 68 i grudzień 70. Zapowiadana w „Gazecie Wyborczej" *Peereliada* ma zawierać notatki z lat 1976–81, czyli między powstaniem KOR-u a stanem wojennym. Systematyzacja zaś, czyli cykl kolejnych rekonesansów dotyczących *Nowomowy po polsku* pochodzi z lat 1978–89. Czyżby podział na „nas" i „onych" został zneutralizowany w latach *hossy* gierkowskiej, tzn. w latach 1972–75? Nie było wtedy

powodu do prowadzenia dziennika nowomowy? Niewykluczone. Może idiotyczność haseł typu *Polak potrafi* albo *Żeby Polska rosła w siłę a ludzie żyli dostatniej* dała się dostrzec dopiero, kiedy „oni" wprowadzili kartki na cukier, przez „onych" zwane bonami towarowymi (to już przykłady z *Peereliady*). A wcześniej potrafili uśpić „naszą" czujność i przestaliśmy „onym" patrzeć na słowa?

Niezależnie od tego, czy tak istotnie było, odkrycie nowomowy wymaga demaskacji „onych", dla których nowomowa jest językiem propagandy. Chwyty stosowane w nowomowie można spotkać w każdej innej odmianie propagandy, reklamy, perswazji społecznej. Nie uda się, próbowała to czynić np. A. Wierzbicka[6], wytropić czysto gramatycznych chwytów — np. słowotwórczych — charakterystycznych li tylko dla nowomowy. Te chwyty są złe dlatego, że są stosowane przez „onych". Nie ma przyrostków totalitarnych i antytotalitarnych. To tylko „oni" są totalitarni i w tym celu uprawiają propagandę posiłkując się nowomową.

Należałoby oczekiwać, że zniknięcie podziału na „my" i „oni" spowoduje też zniknięcie nowomowy z pola widzenia filologów (publicystów). Jeśli bowiem jej istotą jest właśnie ów podział, to neutralizacja opozycji powinna sprawić atrofię języka „onych". Wydaje się, że takie oczekiwanie jest jednak nazbyt optymistyczne. Dyskusja o nowomowie wywołała u Polaków swoisty rodzaj alergii. W czasie terapii, której skutkiem miało być wytworzenie mechanizmów obronnych, być może przedawkowano specyfiki tak, że najdrobniejsze nawet podobieństwo propagandowe do języka „poprzednich epok" wywołuje reakcję obronną. Stąd wspomniana wcześniej neonowomowa, wychwytywanie w wypowiedziach przedstawicieli nowej władzy wszystkiego, co choćby konstrukcją frazeologiczną przypomina wcześniejsze slogany, a także wyznawanie przekonania — nie potrafię powiedzieć na ile trafnego — że „nowomowa po polsku" nadal jest praktykowana. Oto jeden z językoznawców postanowił śledzić prasowe relacje z IV pielgrzymki papieskiej z roku 1991. A oto jego konkluzje po krytycznym przeglądzie doniesień:

Refleksje Głowińskiego z *Nowomowy po polsku* pozostają niestety w większości aktualne, choć oczywiście odnoszą się dzisiaj do mniejszego zakresowo materiału. Sposób relacjonowania przez część gazet IV pielgrzymki Ojca Świętego do Polski nie był bez wątpienia rzetelnym informowaniem. Wybiórcze i tendencyjne dobieranie faktów, świadome zestawianie obok siebie artykułów i notatek, których sąsiedztwo wywoływało samoistnie efekt zjadliwego komentarza, zmiany w rozłożeniu przez Papieża akcentów, rozmyślnie

[6] A. Wierzbicka *Język antytotalitarny w Polsce: o pewnych mechanizmach samoobrony językowej*, „Teksty Drugie" 1990 nr 4, s. 5–30.

nieudolne streszczenia jego wypowiedzi, rozpowszechnianie niesprawdzonych wiadomości — wszystko to należało do niejednokrotnie stosowanych praktyk.[7]

Ponieważ J. Liberek równie ostro karci „Tygodnik Solidarność", „Gazetę Wyborczą", „Wprost" i „Nie" mogłoby to sugerować, że dawni „oni" rozsiedli się po różnych stronach nowych podziałów politycznych i dalej manipulują. A może to tylko alergia zmusza do czujności w dawnym stylu. Przestraszono nas bowiem, że być może to nie my mówimy językiem ani — jak chcą niektórzy poststrukturaliści — nie język nami mówi, lecz że zawsze groźni „oni" nami mówią.

Tadeusz Zgółka

O podręczniku „Młoda Polska" z r. 1991 nie tylko polemicznie

Nareszcie jest! Czytając młodopolski tom nowej wersji warszawskiego podręcznika *Literatura polska*[1], jego część trzecią, trudno oprzeć się takiej właśnie konstatacji. Dlatego przede wszystkim, że ów okres literacki pozbawiony był od dawna kompendium odpowiadającego choć w części współczesnym wymogom, podczas gdy pozostałe segmenty dziejów piśmiennictwa i literatury pięknej zostały precyzyjnie zrekonstruowane w obszernych monografiach i syntezach akademickich, sporządzonych przez wybitnych specjalistów. To brakujące ogniwo w zestawieniu z seriami podręcznikowymi, jakie w ostatnich dwóch dziesięcioleciach zostały opublikowane pod redakcją Kazimierza Wyki i Jerzego Ziomka, kojarzyło się obserwatorowi naszego gospodarstwa historycznoliterackiego — można by rzec — z „pustką" i „otchłanią", stałymi składnikami świata młodopolskiej wyobraźni... Albo inaczej. Jak przed stuleciem przedstawiciele warszawskiego „inteligentnego proletariatu" z nadzieją i obawami czekali na modernizm[2], sposobiąc się do adaptacji nowoczesnych propozycji kształtowania kultury, utajonych w sieci jeszcze niezupełnie jasnych, niekiedy zaledwie intuicyjnie odczytywanych „izmów" zachodnioeuropejskich, tak w latach ostatnich znawcy i miłośnicy Młodej Polski czekali niecierpliwie, acz niepomiernie dłużej, na

[7] J. Liberek *Prognoza pogody*, „Czas kultury", wrzesień–październik 1991, s. 31–32.

[1] J. Kulczycka-Saloni, I. Maciejewska, A. Z. Makowiecki, R. Taborski *Młoda Polska*, Warszawa 1991, w serii *Literatura polska*.

[2] Zob. R. Zimand *„Dekadentyzm" warszawski*, Warszawa 1964.

nową próbę historycznoliterackiego opisu wieloimiennego okresu sprzed wieku. A niecierpliwie — z dwóch przynajmniej powodów istotnych. Pierwszy to ten, że *Neoromantyzm polski* Juliana Krzyżanowskiego, ostatni wizerunek tamtej epoki, powstał w r. 1942 i „stosunkowo nieznacznie dopełniony" ukazał się — podobnie jak *Modernizm polski* K. Wyki — dopiero dwadzieścia lat później, po okresie przewlekłej kwarantanny, podczas której literaturę Młodej Polski spychano na margines, przydając jej enigmatyczne, to znów agresywne i pogardliwe, „właściwe" czasoprzestrzeni uznanej za ideologicznie skażoną, nazwy w rodzaju: „literatura na przełomie XIX i XX wieku", „literatura epoki imperializmu" itp. Trafnie przewidywał autor tej kilkakrotnie wznawianej syntezy: „na nowe (...) ujęcie syntetyczne, czy choćby encyklopedyczne długo czekać wypadnie" [3].

Czymże bowiem w ostatnim półwieczu dysponował czytelnik, złakniony względnie przejrzystego ujęcia dziejów sztuki słowa w czasach Berenta i Wyspiańskiego? Czym — poza *Neoromantyzmem polskim*, którego autor, przywiązany do odrzuconej przed wieloma laty koncepcji dualistycznej przemienności epok, wywodzącej się z teorii Heiricha Wölffina[4], przedstawił literaturę lat 1980–1918 głównie jako wielki powrót do tradycji romantyzmu polskiego, a zarazem korzystał pełną garścią z uprawnień krytyka literackiego, demonstrując przy tym subiektywizm bez granic i arbitralność sądów nie wolnych od emocji? Zdany był na opracowania syntetyczne o starych metrykach, pochodzące z lat 1902–1934, na cenne w swoim czasie przewodniki sumiennego dziejopisa Wilhelma Feldmana, wciąż niedocenionego pioniera pokoleniowego ujmowania historii literatury Antoniego Potockiego i przytłaczającego informacjami encyklopedysty Kazimierza Czachowskiego.[5] Dziś stały się one wyłącznie obiektami badawczych refleksji i systematyzacji, cennymi dla przyszłego kontynuatora dzieła Stefana Sawickiego *Początki syntezy historycznoliterackiej w Polsce* (1969), bądź obserwatora procesu dezaktualizacji tekstów literaturoznawczych.[6]

Z premedytacją upraszczam stan rzeczy, aby wskazać niecierpliwości powód drugi. Oczekiwanej i potrzebnej książki nie było w okresie, gdy badania nad literaturą Młodej Polski, energicznie podjęte około r. 1956,

[3] J. Krzyżanowski *Neoromantyzm polski 1890–1918*. Wroclaw 1963, s. 5.

[4] J. Krzyżanowski *Od średniowiecza do baroku*, Warszawa 1938, por. J. Ziomek *Metodologiczne problemy syntezy historyczno-literackiej*, w jego tomie: *Powinowactwa literatury. Studia i szkice*, Warszawa 1980, s. 280–281.

[5] Dla bibliograficznego porządku odnotować należy K. Wyki *Zarys współczesnej literatury polskiej (1884–1925)*, Kraków 1951, skrypt maszynopisowy dostępny przed laty jedynie w nielicznych egzemplarzach.

[6] J. Paszek *O starzeniu się tekstów literaturoznawczych*, „Teksty Drugie" 1990 z. 5/6.

systematycznie prowadzone na wszystkich jej obszarach głównych, a także peryferiach, osiągnęły dwukrotnie u schyłku lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych fazę kulminacyjną, zaś nieznacznie osłabły w dziesięcioleciu minionym.[7] Przyniosły niezmiernie obfity plon monografii, studiów i rozpraw, w tym cztery ogromne tomy *Literatury okresu Młodej Polski*, piątej serii fundamentalnego *Obrazu literatury polskiej XIX i XX wieku*. Te stanowiły makietę przygotowywanego niegdyś podręcznika, ale zastąpić go w żadnej mierze nie mogły. Niektórzy pisarze, wśród nich Wacław Berent, Stanisław Brzozowski, Bolesław Leśmian i Leopold Staff cieszyli się szczególnym zainteresowaniem badaczy kilku pokoleń. Wydatnie też poprawił się stan edytorstwa utworów młodopolskich miedzy innymi dzięki serii książek zapomnianych i Bibliotece Poezji Młodej Polski, choć lista wciąż nieobecnych tekstów literackich wprawia nadal w zakłopotanie. Dokonaniom niniejszym towarzyszył generalny wzrost zainteresowania Młodą Polską, obserwowany nie tylko w literaturze pięknej, lecz i w obyczaju, modzie, estetyce życia codziennego, w eseistyce itp. Zwierzał się przed laty K. Wyka: „ nie dziwiłbym się książce noszącej na przykład tytuł *Zmartwychwstanie Młodej Polski, czyli modernizm od nowa*"[8]. Uwagi powyższej zlekceważyć nie powinien autor dziejów literatury polskiej po r. 1945, bo przecież jej wielce zawikłane losy świadczą niezbicie, iż dokonania pokoleń młodopolskich były ważnym kontekstem dla ich starszych synów i późnych wnuków, współtworzących krajobraz współczesności literackiej. Jak ważnym — to kwestia osobnych roztrząsań, otwierających pole dla nowych, pasjonujących i wielowątkowych przygód poznawczych.[9]

Układ podręcznika charakteryzuje znamienna równowaga pomiędzy czterema podstawowymi segmentami narracji. Prezentuje się w nich najpierw — zgodnie z ujęciami kanonicznymi — terminologię, periodyzację, uwarunkowania historyczne, inspiracje filozoficzne i literackie oraz geografię życia kulturalnego (rozdz. I–IV, s. 63), następnie proces rozwojowy ze wskazaniem faz zasadniczych (rozdz. V–VII, s. 57), potem gatunki literackie, opisywane łącznie z kierunkami artystycznymi (rozdz.

[7] K. Wyka *Modernizm polski*, wyd. 2 zmien. i poszerz., Kraków 1968, s. 15–25, 255–288; A. Hutnikiewicz *Badania nad literaturą Młodej Polski*, w: J. Pelc, M. Klimowicz, M. Janion, J. Kulczycka-Saloni, A. Hutnikiewicz, J. Błoński, H. Markiewicz *Rozwój wiedzy o literaturze polskiej*, oprac. i wstępem opatrzył J. Maciejewski, Warszawa 1986.

[8] K. Wyka *Modernizm polski*, op. cit., s. 15.

[9] Zainicjowała je S. Skwarczyńska w studium *„Chocholi taniec" Wyspiańskiego jako obraz-symbol w języku późniejszej sztuki polskiej*, w jej tomie: *Wokół teatru i literatury. (Studia i szkice)*, Warszawa 1970. Ostatnio ważność owych nawiązań zaakcentowana została w rozprawie E. Wiegandt *Austria felix, czyli o micie Galicji w polskiej prozie współczesnej*, Poznań 1988.

VIII–XII, s. 66) i wreszcie pisarzy (rozdz. XIII, s. 80). W tej części kompendium panuje zasada arytmetycznego niemal porządku, odmienna od przyjętej w poprzednich tomach, w których miejsce uprzywilejowane przypadało gatunkom bądź pisarzom. Tym samym odpowiedź na pytanie, co jest podstawowym elementem rekonstrukcji historycznoliterackiej okresu: dzieło, autor, gatunek, czy autonomiczny proces rozwoju literatury jako sztuki słowa, została uchylona na poziomie zasadniczych założeń, widocznych w zewnętrznym podziale wielorakiej i zróżnicowanej materii erudycyjno-informacyjnej. Wewnętrzne relacje między wskazanymi segmentami, choć zbyt rzadko sygnalizowane i mało wyraziste, zdają się jednak świadczyć, że Autorom *Młodej Polski* najbliższy był taki porządek chronologiczny, który by odpowiadał rytmowi przeobrażeń literackich i artystycznych. Ale rozdz. XIII *Sylwetki* podważa niniejszą hipotezę, bowiem pisarzy omawia się tu w porządku... alfabetycznym! Odrywa to ten końcowy segment od całości wywodów pozbawionych podsumowania, czyniąc zeń dziwny kryptoaneks. Osłabia ją również wyraźna dysproporcja, jaką zauważyć można w opisach poszczególnych faz rozwojowych. W rozdziałach poświęconych temu zagadnieniu (V–VII) akcent położony został zdecydowanie na lata 1904–18, natomiast faza wstępna i szczytowa znalazły się w ich głębokim cieniu, zredukowane właściwie do rozważań o programach, manifestach i dyskusjach literackich. Wskazanej asymetrii oraz wynikających z niej istotnych uproszczeń aksjologicznych nie niwelują choćby w części rozważania o poezji, powieści i dramacie, te przede wszystkim ich sekwencje, w których mowa jest o początkach formacji modernistycznej. Zabrakło w nich między innymi miejsca dla poezji przełomu antypozytywistycznego oraz jej związków z kanonem lirycznym uformowanym przez Konopnicką i Asnyka[10], mimo że Autorzy tak dobitnie podkreślają wzajemne zależności międzypokoleniowe. Nazbyt też skrótowo i tendencyjnie przywoływane zostały utwory o „bezdogmatowcach i melancholikach", potraktowane jedynie jako przykłady nowej tematyki podjętej przez pozytywistów. A przecież były one wraz z pokrewną im serią prób prozatorskich Ignacego Dąbrowskiego, Aleksandra Mańkowskiego, Leo Belmonta, Marii Komornickiej i Marii Rodziewiczówny świadectwem liryzacji prozy, poddanej ciśnieniu form podawczych listu, diariusza, pamiętnika i monologu filozoficznego.[11] W sprzeczności z dyrektywą odtwarzania dynamiki rozwoju literackiego,

[10] Zob. M. Podraza-Kwiatkowska *Symbolizm i symbolika w poezji Młodej Polski. Teoria i praktyka*, Kraków 1975, s. 127–133.

[11] Por. H. Markiewicz *Bezdogmatowcy i melancholicy*, w jego tomie: *W kręgu Żeromskiego. Rozprawy i szkice historycznoliterackie*, Warszawa 1977, zob. też K. Kłosińska *Powieści o „wieku nerwowym"*, Katowice 1989.

przesądzającą o celach finalnych podręcznikowej narracji, pozostaje również ograniczenie w „centrum prozy" do dzieł Żeromskiego, Reymonta i przypisanych do nich satelitów: Andrzeja Struga, Gustawa Daniłowskiego i Władysława Orkana (rozdz. IX, 4). Dlaczego poza nim umiejscowiono powieści Berenta, wyznaczające kierunki ewolucji prozy polskiej XX wieku, dlaczego wskazywana przez badaczy[12] rola Przybyszewskiego w procesie przełamywania schematów konstrukcyjnych nie została należycie wyeksponowana, trudno zrozumieć. Prezentystyczna perspektywa, tu i ówdzie stosowana i kontrolowana, tym bardziej nie usprawiedliwia wyłączenia Berenta z owego centrum. Może ostatecznie tłumaczyć ocenę Przybyszewskiego — powieściopisarza, jaką od lat dwudziestych narzucało czytelnicze zapomnienie. Historyk literatury, wierny zasadzie powściągliwości aksjologicznej, winien zachować wobec niego dystans i docenić rzeczywiste oddziaływanie Przybyszewskiego na literaturę u nas, w Europie, a szczególnie w Rosji.

Nie sposób nie zgodzić się z wnioskiem Henryka Markiewicza, sformułowanym w *Dylematach historyka literatury*:

> skądkolwiek patrzymy, synteza historycznoliteracka jawi się nam jako konstrukcja ułomna — nie dająca się w pełni zrealizować ze względu na luki materiałowe, zdeformowana, jeśli nie subiektywizmem, to w każdym razie prezentyzmem, tylko hipotetyczna w wyjaśnianiu, zmagająca się z trudnościami opornej przez swą linearność materii językowej, skazana nieuchronnie na niejednorodność i niekonsekwencję, kompromisy i wybiegi.[13]

Rzecz w tym, by ograniczać niejednorodność całościowego ujęcia okresu, eliminować niekonsekwencje. A także — wskazywać związki pomiędzy różnymi zespołami zjawisk, krystalizujących przeobrażenia wewnątrzliterackie, jeśli konteksty genetyczne określonej fazy rozwojowej nieodparcie unaoczniają sensowność i prawomocność takich zabiegów i narzucają rozwiązania elastyczne w miejsce twardych podziałów genologicznych. Te ostatnie Autorzy *Młodej Polski* respektują, jak się wydaje, nazbyt rygorystycznie. Wynika to naturalnie z podstawowych założeń, zastosowanych w całej serii *Literatury polskiej*. Czy jednak konsekwencja wobec owych generaliów nie zamazuje miejscami krajobrazu literackiego lat 1880–1918, którego wieloprądowość coraz to podmywa tamy rodzajów i gatunków? Czy odzwierciedla właściwie dynamikę przemian literackich i estetycznych? Nie kwestionuję zasadniczych

[12] M. in.: J. Zieliński *Pierwsze zdanie „Homo sapiens"*, „Teksty" 1977 z. 4, *Słowianie w świecie antynorm Stanisława Przybyszewskiego*, Wrocław 1981, *Stanisław Przybyszewski. W 50-lecie zgonu pisarza*, studia pod red. H. Filipkowskiej, Wrocław 1982, K. Kralkowska–Gątkowska *Świat postaci w powieściach Stanisława Przybyszewskiego*, w: *Młoda Polska. Legendy i światopoglądy*, „Prace Naukowe Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach" nr 610, Katowice 1983.

[13] H. Markiewicz *Literaturoznawstwo i jego sąsiedztwa*, Warszawa 1989, s. 273–274.

rozwiązań kompozycyjnych podręcznika. Ułomności wpisane są w każdy. Ale zrównanie w prawach wszelkich przejawów aktywności literackiej, tak charakterystyczne dla formacji pokoleniowych Młodej Polski, uwidacznia się właśnie w utajonym systemie powiązań między nimi. Nie został on w układzie wewnętrznym uchwycony w dostatecznej skali. Oto jeden z przykładów. Krytyka literacka omówiona jest w odrębnym rozdziale. I słusznie. Ale równocześnie — podpowiada Brzozowski w recenzji *Próchna* — jej „akcję właściwą trzeba było wyrzucić w międzyrozdziały" tak, aby — nie kwestionując samoistnej pozycji, uzyskanej przez młodopolski dyskurs krytycznoliteracki i eseistyczny — uzmysłowić czytelnikowi rzeczywiste funkcje, jakie spełniły wypowiedzi najwybitniejszych stróżów tradycji oraz ideologów rozwoju literackiego w momencie rewizji podstaw wyjściowych okresu, w okolicach r. 1905. Wielka batalia o nowy kształt kultury współczesnej, o styl jej zakorzenienia w tradycji narodowej, o nowe formy łączności z literaturą Zachodu, którą toczyli Brzozowski, Irzykowski, Boy-Żeleński i inni, łączyła się i z odrodzeniem klasycznym, i z rozpoznanym już przed laty zwrotem ku satyrze, grotesce, teorii komizmu, z nurtem zainicjowanym jakże dobitnie przez *Historię maniaków* Romana Jaworskiego — z „jednym z najdonioślejszych momentów w rozwoju literatury polskiej XX wieku".[14] A skoro tak, to umiejscowienie prozy satyryczno-groteskowej w szufladce katalogowej *Zjawisk osobnych* (rozdz. IX, 5), w pobliżu powieści „egzotycznych" Wacława Sieroszewskiego i prozy tatrzańskiej, świadczy o niedocenieniu współzależności i zbieżności zjawisk, animujących przemiany literacko-artystyczne. Rozmija się nadto z respektowanym w zasadzie przez Autorów wymogiem aktualizacji wiedzy.[15] Uwaga ta odnosi się również do

[14] M. Głowiński *Sztuczne awantury*, przedmowa do: R. Jaworski *Historie maniaków*, Kraków 1978, s. 22. Z ważniejszych prac o grotesce: W. Juszczak *Wojtkiewicz i Nowa Sztuka*, Warszawa 1965, R. Nycz *Gest śmiechu. Z przemian świadomości literackiej początku wieku (do pierwszej wojny światowej)*, „Pamiętnik Literacki" 1977 z. 4, K. Kłosiński *Groteska w świadomości literackiej schyłku Młodej Polski*, „Ruch Literacki" 1985 nr 3, W. Bolecki *Od potworów do znaków pustych. Z dziejów groteski: Młoda Polska i Dwudziestolecie międzywojenne*, „Pamiętnik Literacki" 1989 z. 1.

[15] Nie wyeliminowano wszakże różnego rodzaju uproszczeń klasyfikacyjnych i błędów. Trudno np. zgodzić się z określeniem *Chłopów* jako „zapisu beletrystycznego" (s. 73), czy też z uznaniem Żeromskiego za reprezentanta klasycznej prozy przełomu XIX i XX wieku, „zdolnej do pogodzenia realistycznej obserwacji społecznej, funkcji poznawczej i obowiązku służby narodowej z postulatem ukazania metafizycznej kondycji człowieka" (s. 162). Takim założeniom odpowiada w równym co najmniej stopniu *Lalka* Prusa. „Był też Leśmian autorem w i e l u dramatów..." [podkr. T. L.] (s. 239)?! Tom XIV *Nowego Korbuta* rejestruje trzy, w tym jeden w języku rosyjskim. Na liście autorów nowości filozoficznych serii „Wiedza i Życie", wydawanej przez Alfreda Altenberga zamiast

prezentacji związków literatury i sztuki, szczególnie zaś malarstwa i rzeźby symbolistycznej, odwołujących się „niesłychanie często (...) do motywów i obrazów ulubionych przez literaturę" (s. 205). Często bywało odwrotnie. Sztuka słowa korzystała w równej mierze z doświadczeń malarstwa — nie tylko symbolistycznego.

Pewne luki, skróty interpretacyjne, nieuchronne kompromisy, narzucane przez bogactwo faktów i zjawisk różnoimiennych, a także wskazane już dysproporcje w opisie poszczególnych faz rozwojowych okresu wynikają zapewne z ograniczeń arkuszowych, ale również z uwikłania historyka literatury w sytuację zawsze kłopotliwych wyborów, dodatkowo zamąconą tu przez niejasno określonego odbiorcę. Jest nim bowiem z jednej strony student polonistyki, z drugiej — taki odbiorca, którego szukać należy, jak informuje nota załączona do *Bibliografii*, pod „szerokim adresem wydawniczym" (s. 294). I ta podwójność adresata — określonego i nieokreślonego — sprawia, że pewne części *Młodej Polski* rozmijają się z czytelnikiem, studiującym systematycznie dzieje literatury, inne —z czytelnikiem, nastawionym na typ narracji popularyzującej wiedzę. Studentowi polonistyki trudno zalecać lekturę „Sylwetek", zdecydowanie zbyt skrótowych, skoro dysponuje on niepomiernie bogatszymi, a niekiedy wręcz znakomitymi portretami pisarzy, zawartymi w *Obrazie literatury polskiej XIX i XX wieku*. Ten rozdział można było zastąpić próbą rekonstrukcji biografii wspólnej pokolenia ze wskazaniem generalnych uwarunkowań, kształtujących się na przełomie wieków ról pisarskich. Albo też — zrezygnować z jednostkowej prezentacji indywidualności twórczych, jeśli wielości przedmiotów opisu wielokrotnie z różnych perspektyw analizowanych sprostać już nie sposób. Rozstrzygnięcie to formułuję z oporem i wbrew przekonaniu, że dziejom literatury rytm nadają przede wszystkim dzieła i ich twórcy. Innego nie znajduję, podejmując dyskusję na temat tego podręcznika, a nie na temat propozycji modelowych. Już i w nim między Berentem a Żeromskim nie pojawił się ani Władysław Orkan, ani Lucjan Rydel. Nie wymieniam innych, równie istotnych nazwisk...

Odejście od odrębnego opisu pisarzy pozwoliło by dokładniej przedstawić przebieg poszczególnych faz procesu rozwojowego i sporządzić przegląd gatunków literackich w redakcji odpowiednio poszerzonej. Zyskałby na tym rozdział o dramacie, przedstawionym w podręczniku fragmentarycznie i bez uwzględnienia repertuaru ludowego i popularnego, po który sięgały ówczesne sceny w dniu swoim powszednim.

współtwórcy pragmatyzmu Williama Jamesa pojawił się poeta francuski Francis Jammes (s. 56). Błędnie podano rok wydania *Dobrodzieja złodziei* K. Irzykowskiego i H. Mohorta: 1896 zamiast 1907 (s. 226) i *Dziejów jednego pocisku* A. Struga: 1908 zamiast 1910 (s. 87)...

A zatem takie rozstrzygnięcie nadaje całościowemu ujęciu w miarę jednolity, kompozycyjno-rzeczowy porządek. Narracji wyznacza trakt główny. Nie upodrzędnia znaczenia pisarzy, bo to oni decydują o kształcie przeobrażeń literackich, estetycznych, ideowych okresu, wyznaczając zarazem skalę wartości, stanowiących zrąb światopoglądowych orientacji pokolenia. Takie rozstrzygnięcie stwarza też możliwość dopełnienia podręcznika o część poświęconą młodopolskim dokonaniom translatorskim, niezwykle ważnym dla przełomu XIX i XX wieku, kiedy to „poeci poetów przekładali". Pozwala wreszcie określić znaczenie literatury Młodej Polski z perspektywy epok minionych, modernizmu europejskiego i naszej współczesności.[16] Sądzę, że korzystne dla czytelnika byłoby przejrzyste zestawienie cennych skądinąd uogólnień i wniosków, rozproszonych w różnych rozdziałach.

Autorom zawdzięczamy podręcznik potrzebny i z dawna oczekiwany. Wypełnia on dotkliwą lukę w historiografii literackiej. Aktualizuje, choć w nierównym stopniu, stan badań. Ukazuje literaturę Młodej Polski jako kondominium reprezentatywnych dla tego okresu prądów literackich i szkicuje nieobecną w dotychczasowych syntezach mapę ośrodków życia literackiego. Jednakże otwierające rozdz. IV pytanie, gdzie „najwcześniej nowe zjawiska artystyczne zaczęły występować" (s. 44), jest postawione niefortunnie. Odwołuje się do przedawnionego sporu o prymat między Krakowem a Warszawą, w którym o Lwowie nie mówiło się niemal wcale, sporu będącego w istocie przetargiem na fakty, nazwiska i zjawiska.[17] Nie można go zakończyć bez zmiany punktu widzenia. Bez rozpoznania roli, jaką poszczególne ośrodki życia kulturalnego spełniały w momencie kształtowania się nowego pokolenia, jego wejścia w fazę szczytową i wówczas, gdy nadchodziła długa młodopolska jesień. Dopiero z tak wyznaczonego stanowiska obserwacyjnego można poprawnie odczytać rzeczywiste znaczenie Warszawy, Lwowa i Krakowa w kreowaniu wielowymiarowej przestrzeni kulturalnej okresu. Podręcznik wypełnia ją rzetelną faktografią i zarazem — nie tylko w tej części — zaprasza do dyskusji. Więc dyskutujmy. I w kręgu „izmów" młodopolskich, i w galerii twórców wybitnych, ich pomniejszycieli i pomniejszych okazji do sporów równie wiele jak przed stu laty.

Tomasz Lewandowski

[16] Zob. M. Podraza-Kwiatkowska *Somnambulicy. Dekadenci. Herosi. Studia i eseje o literaturze Młodej Polski*, Kraków 1985, s. 8–28.

[17] Zob. K. Wyka *Kraków stolicą Młodej Polski*, w: *Kraków i Małopolska przez dzieje*, Kraków 1970, R. Taborski *Życie literackie młodopolskiej Warszawy*, Warszawa 1974, T. Weiss *Czy Kraków był stolicą Młodej Polski?*, w: *Kraków na przełomie XIX i XX wieku*, Kraków 1983.

Portrety

Stefan Morawski

Pochwała Leszka Kołakowskiego

1. Kiedy Bóg powołał do żywota Leszka Kołakowskiego, miał zapewne chwilę szczególnego natchnienia i radosnej rozrzutności. Dał mu mnóstwo talentów, ofiarował mu wyjątkową wielokształtną i ostrą inteligencję a ponadto obdarzył go niewyczerpywalną potrzebą wiedzy oraz solidną pracowitością. Wolno domniemywać, że zadowolony ze swego oryginalnego dzieła Bóg przewidział komplikacje, szepnął sobie i Leszkowi Kołakowskiemu: „Będziesz wojował ze mną całe życie, ale we wszystkich postaciach wojowania, nawet tych występnych i bluźnierczych, dasz mi świadectwo nieodwołalne i wesprzesz tych nie tak licznych przecież myślicieli, którzy pojmują bez reszty, że nie podobna owocnie filozofować pominąwszy problem mej obecności". Zazdrosny o wyjątkowy twór boski szatan włączył się do sprawy, wykorzystując buntownicze zadatki Leszka Kołakowskiego. Uczulił go na swój posiew, zewsząd dający znać o sobie tyleż z okrutnej historii, co z żałosnej współczesności, tyleż z jednostkowej, co ze zbiorowej świadomości i działań z niej wynikających. Chichot z szatańskiej strony dobiegający oznajmiał, że zło jest nieuniknioną i wszędobylską przypadłością ludzkiej egzystencji i dopiero w jego świetle nabierają rzetelnej mocy pytania ostateczne, które w równym stopniu, choć w innym języku, stawiają religia i filozofia. Jakoż Leszek Kołakowski został naznaczony szczególnym zmysłem umożliwiającym widzenie i uchwyce-

nie zła w jego najskrytszych wymiarach oraz geniuszem podejrzeń, który nieustannie pobudza i ożywia myślenie krytyczno-sceptyczne. Dodajmy jeszcze, że to podwójne — boskie i szatańskie — wezwanie zrealizowało się nie bez aktywnego udziału wezwanego. Czegokolwiek dotknął się, zamieniał w kruszec myślowy, wspomagany niewątpliwymi wartościami artystycznymi (*primo voto* literackimi). W ilu równie wyśmienitych rolach wypadło mu wystąpić — historyka filozofii i eseisty, bajkopisarza i autora prób scenicznych, szermierza określonych idei politycznych w polemice z „bałwochwalstwem polityki" (jak brzmi tytuł jego szkicu z roku 1986) i badacza idei religijnych. Wszelako nade wszystko, we wszystkich formach wypowiedzi — filozofował charakteryzując i analizując fundamentalne właściwości kondycji ludzkiej, zwłaszcza w jej historycznie skonkretyzowanych XX-wiecznych modyfikacjach. Jego wyzwanie wobec sił i sytuacji wzywających go do rozprawienia się z niedostatkami rozumu i wyobraźni i z wszelkimi złudzeniami znajdowało inny wyraz w kolejnych fazach jego twórczości. Pisano o tym już wielokrotnie. Zważywszy nieprzebrane, proteuszowe bogactwo dokonań Kołakowskiego zmuszony jestem skupić się na kilku wybranych toposach jego *oeuvre*. Jak mniemam, na toposach należących do głównego korpusu jego filozofii.

2. W rozprawce z 1962 r. o zakresowym i funkcjonalnym rozumieniu filozofii Kołakowski optował za drugą z tych ewentualności. Nie trzeba wówczas ustalać określonego przedmiotu badań, rozstrzygać *a priori*, czy badanie ma być naukowe, czy ponadnaukowe, czy zgoła nauce przeciwstawne, wystarczy pojąć swoistość dyskursu z określonymi, jak je autor nazywa, terapeutycznymi funkcjami odnoszącymi się do adaptacyjnych niedomóg człowieka rozważanego jako gatunek biologiczny bądź *homo faber*. Wydaje się, że — z pewnymi niuansami — Kołakowski pozostał wierny tej opcji i właśnie w tej perspektywie najdogodniej można określić jego własny styl uprawiania refleksji filozoficznej.
Otóż dyskurs jego jest związany wtórnie z kwestiami ontologicznymi lub epistemologicznymi, podczas gdy pierwotna uwaga skupiona jest na sensie egzystencji ludzkiej, która jest bezpośrednio uwikłana w problematykę osobowości na tle procesów historycznych. Filozofia człowieka wysuwa na plan pierwszy doniosłość postawy etycznej oraz nie pozwala pominąć milczeniem uwikłań *zoon politikon*, między innymi zasad rządzenia i ich relacji wobec wolności, jednej z wartości najwyższych. Egzystencja ludzka przejawia się w dwu nieprzywiedlnych do

siebie wymiarach — w rzeczywistości empirycznej obejmującej racjonalno-utylitarne myślenie, nakierowane ku władztwu nad przyrodą i ku sprawnej technicznie organizacji życia społecznego, oraz w rzeczywistości transcendentalnej, ugruntowanej na czynnościach usensowniających zarówno jednostkowe postępowanie jak i historię, a ponadto na wartościach (między innymi, i najpewniej przede wszystkim) religijnych. Między obu tymi obszarami — *de facto* i *de iure* — jest przepaść nie do zasypania. Z jednej strony sama przypadkowość bytowania, z drugiej konstrukcja sensu istnienia; z jednej relatywizm radykalny, z drugiej ciążenie ku absolutyzmowi, ku regułom o prawomocności uniwersalnej; z jednej *ratio*, z drugiej mitologia. Między tymi porządkami jest nie tylko *hiatus*, ale i nieustanne konfliktorodne napięcie narzucające takie lub inne wybory, a przede wszystkim przymuszające do utrzymania jakiejś względnej między nimi równowagi. Jednakże ta dążność koncyliacyjna skazana jest na porażkę, bowiem uchylenie antynomii zawsze pozostaje bez widocznych skutków. Egzystencja ludzka jest aporetyczna i taką — wraz z jej dramatycznymi konsekwencjami — trzeba zaakceptować. Z tego stanu rzeczy wynika, że nie ma żadnych rozwiązań bezspornych.

Dobro miesza się ze złem. Słuszne zasady przekształcają się w dogmaty bądź komunały, co pociąga za sobą groźbę ich skostnienia bądź wyjałowienia. Można stosować, jak w medycynie, zwodnicze *placebo*, ale filozofia temu właśnie służy, aby *placebo* demistyfikować. Myśliciel ma do dyspozycji inwentarz dyskursywny, który *modo logico* stosuje jako chirurgiczne narzędzie w analitycznych dociekaniach, a jednocześnie zdaje sobie sprawę, iż do jądra rzeczy prowadzi raczej naiwna wiara, niźli najbardziej wyrafinowany intelekt. Dlatego też na filozofii, która ma odsłonić i nazwać po imieniu cały ciężar bytu, spoczywa obowiązek tyleż nieustannej krytycznej czujności, samokontroli, sceptycznego namysłu nad wszystkim co podawane i uznawane jest za zbiór pewników, co dystansu wobec najlepszych instrumentów pojęciowych, gdyż te najczęściej mijają się z doświadczeniem sięgającym dna istnienia. Jakoż to, co należy do *logosu*, można sprawdzić i udowodnić, ale wobec wymiaru transcendencji okazuje się odległe i bezsilne, to zaś z kolei, co doświadczenie wiary zdobywa, dowodu nigdy nie przedstawi, sprawdzeniu urąga i właściwie zastyga w milczeniu. Kołakowski podkreśla przy tym — szczególnie w książce o religii z roku 1982 — przeciwieństwo postawy oświeceniowej i chrześcijańskiej oraz jednocześnie paradoksalną

bliskość pozycji sceptyka i mistyka. Sceptyk bowiem żywi się samowiedzą nieusuwalnej niepewności tego, co udostępnia nam *logos* i tym samym zatrzymuje się na granicy, poza którą otwiera się mistyczna iluminacja. Filozof stając w obliczu owego paradoksu zdolny jest unaocznić nieracjonalność racjonalizmu i racjonalność irracjonalizmu. Pierwszą — dlatego i w tym znaczeniu, że nie ma takich reguł bezwarunkowych, które mogłyby zakazać przyjmowania przekonań niesprawdzonych, unieważniałyby wartość przekazu trudno werbalizowanego, odrzucałyby twierdzenia nie dające się przełożyć na język zdroworozsądkowy bądź wyrazić słownikiem nauk empirycznych, traktowałyby sferę wartości li tylko jako zbiór wypowiedzi emocjonalnych, niejasnych i wieloznacznych. Drugą z kolei dlatego, że bez jakiejś propozycji porządku metafizycznego podobnie jak bez ładu boskiego niepodobna obronić sensu istnienia ludzkiego w jego aspekcie pojedynczym i zbiorowym oraz w kontekście jego dziejów. Znamienna tedy dla stylu filozofowania Kołakowskiego jest maestria dyskursywna, obnażanie słabości przesłanek danych wywodów i konkluzji, zapędzanie dyskutanta w kozi róg, a zarazem autentyczna wrażliwość na prawdy, które pojęciom stawiają opór. Wnikliwości i trzeźwości jego umysłu towarzyszy empatia wobec przeżyć, które porządek empiryczny przekraczają. Z cechą tą pospołu występuje ujawnianie wagi i powagi pytań ostatecznych, które domagają się odpowiedzi bezwzględnych a ich znaleźć nie mogą i jednoczesna lekkość i niekiedy dobroduszna bądź drwiąco-kąśliwa żartobliwość jego wykładu. Owa sardoniczna tonacja drwiny czy kąśliwości jest rezultatem świadomości, że człowiek jest istotą ułomną i wyposażoną, niestety, w mechanizmy samounicestwiające, w czym właśnie objawia się nieuchronne działanie diabelskich interwencji. Wystarczy uruchomić jedną tylko z dźwigni umysłu, aby go zakleszczyć; wystarczy zawierzyć jednostronnie sprofilowanym założeniom i wyabsolutyzowanym działaniom określonego rodzaju, aby oślepić się doszczętnie.

Trzeba wówczas animować inne moce przeciw owym zakleszczeniom i owej ślepocie, to znaczy albo uprawiać racjonalny krytycyzm przeciw metafizycznym zapędom i utopijnemu projektodawstwu, albo wziąć odwet na racjonalizmie powierzchownym i fałszywym, który metafizykę za burtę wyrzuca. Kołakowski opowiedział się w r. 1962 za etyką bez kodeksu, gdyż jakakolwiek kodyfikacja uniesamodzielnia człowieka i obezwładnia jego poczucie odpowiedzialności. Wydaje mi się, że w książce o religii nie tyle zmienił poglądy, co inaczej postawił akcenty.

Wypada powtórzyć za znanym bohaterem Dostojewskiego, że bez Boga wszystko jest dozwolone, a więc wszystko równie albo nic nie warte, co obraca się w uwiąd aksjologiczny. Nie znaczy to jednak, że Kołakowski w latach osiemdziesiątych upomina się o jakowyś sztywny kodeks moralno-religijny. Nie podpisuje się przecież pod teodyceą scholastycznie uzbrojoną, która zapewnić ma raz na zawsze spokój moralny. Wręcz przeciwnie, podąża raczej za intuicją, że elementarne wartości etyczne muszą mieć ważność uniwersalną i ich miejsce pośród szczytowych w hierarchii aksjologicznej jest nienaruszalne. Intuicji tej dają oczywiście wyraz nauki chrześcijaństwa, ale także np. imperatyw kategoryczny w Kantowskim ujęciu. Nie określona wycena postępków rozstrzyga o tym, jak wolność własną próbujemy utrzymać w syntonii z odpowiedzialnością za to co czynimy i z poczuciem długu wobec innego człowieka, lecz sumienie. Bóg, którego ma się na uwadze, to nie odwieczna substancja oddzielona od bytowania ludzkiego, lecz Bóg ewangeliczny albo po prostu boskość — korzeń człowieczeństwa. Powiada się ponadto, iż wszechpanoszące się zło należy kontrować wciąż od nowa zmieniając reguły walki z nim, co wyklucza jakikolwiek kodeks zawsze i wszędzie obowiązujący.

Tu rysuje się przejście ku analizom Kołakowskiego dotyczącym współczesnej kultury i cywilizacji. Najbardziej rozwiniętym ich świadectwem jest znakomity zbiór esejów *Czy diabeł może być zbawiony i 27 innych kazań* z 1982 r. Cywilizacja stawiana jest od kilku dekad na ławie oskarżonych. Czy zasługuje na obronę? Oświecenie spowodowało, że wygasły tradycyjne wartości, zwłaszcza podmyta została ufność w zasady o uniwersalnym zasięgu; autonomiczną osobowość ludzką redukowano bądź to do biologicznych wyznaczników u jej podłoża leżących, bądź do doktryn (ideologii), które na nią mają wywierać wpływ przemożny; erozji uległa świadomość historyczna ustawicznie aktualizowana, a więc względna, wykluczająca warianty, które dziedzictwo oświetlają niegasnącym żywym blaskiem; postęp uznano za kamień węgielny historii, sprzęgając go przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie, z techno-scjentystycznymi zwycięstwami. Można więc mówić o kryzysie kultury. Kołakowski nie sądzi jednak, aby materialne korzyści zdobyte dzięki gwałtownemu rozwojowi techniki i nauki należało odrzucać. Zło jest odwieczne, a zło współczesne, według niego, nie tyle jest poczęte z cywilizacyjnych sukcesów, ile z ich zawrotnego tempa i możliwości niewłaściwego ich samoniszczycielskiego eksploatowania, czego znamiennym

przykładem była ostatnia wojna światowa, a po niej wyścig militarny na tle ustawicznych wojen lokalnych. Kłopoty z kulturą, wielorakie i bumerangiem powracające, mają źródło w nienasyconej pogoni za luksusowym dobrobytem, nieograniczoną władzą, totalną administracją zniewalającą jednostki ludzkie, ale też nie mniej niebezpieczne są tendencje anarchizująco-permisywne, rojenia o powrocie do natury, manifestowanie ucieczki od cywilizacji jakoby z charakteru swego antyludzkiej. Na gruncie takich ekstremalnych postaw i dążności rodzi się mitotwórstwo, które nawet przy najlepszych intencjach wiedzie do piekielnych następstw.

Kłopotem najdotkliwszym i centralnym naszego czasu okazał się totalitaryzm w rozmaitych jego przejawach. Jemu też, jego punktom wyjściowym, hipokryzji ideologicznej i złowrogim manipulacjom Leszek Kołakowski poświęcił mnóstwo prac, pośród których najcelniejsze są trzytomowe *Główne nurty marksizmu* (1976–78) — dzieło dzisiaj już klasyczne. Wykazał w nim między innymi, że ideologiczne założenia nie są niewinne i że szczególnie w perspektywie koncepcji kładącej nacisk na to, aby świat nie tylko wyjaśniać, ale i przekształcać, ich skutki praktyczne nie okazują się bynajmniej notoryczną deformacją programu wyjściowego. Z racji bowiem dwuznaczności i luźności przyjętych aksjomatów owe deformacje są niejako prowokowane. W odpowiedzi na marksistowską filozofię *praxis* Leszek Kołakowski nie tyle przyłączył się do słynnej marksowskiej tezy interpretującej Feuerbacha, ile — co może wydać się zaskakujące — po swojemu ją strawestował i zasymilował. Mianowicie teoretyczne wywody o podstawach i wymogach etyki oraz kluczowych kwestiach filozofii politycznej (tzn. o istotnych treściach demokracji i jej kształcie w opozycji do totalitarno-autorytarnych założeń) nie mogą i nie powinny pozostać bez praktycznego ciągu dalszego. Skoro pytamy, jak dobrze i godziwie żyć, jak zorganizować świat społeczny gwarantując optimum swobód jednostkowych i wspólnotowych interesów w imię samorządności (choćby wedle recepty pogodzenia ze sobą konserwatywnych, liberalnych i socjalistycznych, jak to z przymrużeniem oka wyłożył Leszek Kołakowski w 1978 r.) — trzeba się angażować. Niekoniecznie wprost jako *homo politicus*, ale przynajmniej zabierając głos ilekroć wolność jest zagrożona. Tak też Kołakowski postępował od r. 1956, stając się jednym z czołowych autorytetów moralnych dla całego ruchu dysydenckiego w Polsce i krajach tak zwanych demokracji ludowych.

Jego sposób uprawiania filozofii uprzytomnia, na czym zasadza się pozytywne mitotwórstwo (przeciwko mitotwórstwu pozornemu albo

zgoła rakogennemu), klarowne i mistrzowskie stosowanie warsztatu wykształconego w szkole analitycznej, wykazuje, że w świecie manichejskim, nękanym nieusuwalnymi sprzecznościami i konfliktami bez wyborów bezwzględnie dobrych, można i należy szukać umiaru, to znaczy rozwiązań zachowujących względną równowagę między skrajnościami, ustawiczne *caveat* przeciw choćby drobnym symptomom barbarzyństwa, aktywnym w życiu społecznym. Wszystko to prowadziło do rzucenia rękawicy, *spes contra spem*, rzeczywistości koszarowej, w której każdy człowiek podobnie jak każda rzecz był własnością Lewiatana i jego samozwańczej emanacji, rzekomo przodującej w procesie wszechdziejowym. Wszelako to nie działalność obywatelska, lecz działalność filozoficzna i wynikające z niej konsekwencje oraz obowiązki, była i pozostała naczelnym powołaniem Leszka Kołakowskiego.

3. Jeśli powyższa, jakże uboga i uproszczona, charakterystyka toposów właściwych dla widzenia i rozumienia przez Kołakowskiego sensu istnienia jest dostatecznie perswazyjna, wypada mi się zatrzymać nad jeszcze jedną, ostatnią już kwestią, która przewija się przez całą jego twórczość: mianowicie czym jest filozofia, co usprawiedliwia jej rolę i funkcję wydającą się hipertrofią i pasożytnictwem. Refleksje metafilozoficzne z lat sześćdziesiątych — między innymi ta, do której się już odwołałem — stanowiły wstępne rozeznanie. Filozof — fabrykant słów i to nader abstrakcyjnych — bywa notorycznie podejrzany o jakiś kamuflaż, zakrywający spekulacjami i chimerycznymi propozycjami swoje niecne jakoby nieróbstwo. W samej rzeczy jednak, jak tłumaczył Kołakowski już w r. 1962, nie ma powodu dociekać jak i po co istnieje filozofia, skoro w życiu codziennym, pół-świadomie obecna jest zawsze i wszędzie, choć w trudno uchwytnym stanie ciekłym. Świadomy jej kształt zadomowiony jest w światopoglądzie potocznym, zaś filozof-profesjonalista transformuje go dzięki swej robocie krytycznej w stan samowiedzy. Samowiedzy — podkreślmy — uczestniczącej. Uczestnictwo owo dotyczy mitotwórstwa, czyli niezbywalnego i podstawowego składnika wszelkiej kultury. Filozof podejmuje ponadto ustawicznie ponawiany wysiłek samookreślenia się, aby nie tylko usprawiedliwić swą poznawczą pasję, będącą uderzającym nad-datkiem z punktu widzenia potrzeb biologicznych i bezpośrednio odczuwalnej użyteczności społecznej, ale ponadto, i przede wszystkim, aby rozpoznać jako mitoznawca własne możliwości wpływania na bieg wydarzeń

duchowych i materialnych. Nie są one wielkie. Dokonują się pośrednio, na skutek niewiadomych i nie tych samych wcale mechanizmów, ale są faktem niewątpliwym.

Spośród plejady filozofów urzędowych i samomianowańców przynajmniej ci najwięksi, oczywiście nieliczni, wpływali i wpływają na pewno na dzieje kultury i to w sposób niekiedy wcale znaczący. W *Horror metaphysicus* — książce, która nie ma równych sobie w światowej literaturze przedmiotu — jeszcze raz i najpełniej powrócił Kołakowski do problematyki metafilozoficznej. Filozofia, wciąż na cenzurowanym, skazywana była co jakiś czas przez samych filozofów na banicję czy wymarcie. I oczywiście odżywała — choćby w rozważaniach jej najzawziętszych samooskarżycieli. Jej krewniaczką najbliższą jest religia — jak i ta żyje ona nie tyle odpowiedziami, co przeklętymi pytaniami, które należą do kondycji ludzkiej, nie inaczej niźli oddychanie i pobieranie pokarmu, śmiech i płacz, ciekawość świata, miłość i śmierć, etc. Filozofować — to tyle, co z obawy przed chaosem budować porządek i nadawać sens rzeczywistości, ale też, w jednakowym stopniu tyle, co burzyć ów ład okazujący się ułudnym i przejściowym i korygować sens ustalony. W dwu parodystycznych tekstach, mało znanych czytelnikowi polskiemu, tj. w *Ogólnej teorii nieuprawiania ogrodu* (z r. 1985) i *Legenda cesarza Kennedy'ego* (z r. 1986) Kołakowski prowadzi do granic całkiem prawdopodobnego absurdu możliwe wypaczenia mitotwórcze, które czyhają na filozofa bądź historyka filozofii.

Pierwszy z tych tekstów na przykładzie koncepcji marksistowskiej, psychoanalitycznej, egzystencjalnej, strukturalnej i analityczno-semantycznej ujawnia pułapki wszystkoogarniających teorematów, które mają być wyłącznymi depozytariuszami prawdy, a pozostają w jawnym skłóceniu ze sobą i, co najważniejsze, z doświadczeniami życiowymi. Każdy z owych teorematów wyraża pogardę dla ogrodnictwa, zajęcia nie tylko użytecznego, ale — jak już stary Goethe zauważył — budującego chyba pełniejszy sens egzystencji niźli pokrętna sofistyka uczonych antagonistów. Tekst drugi demonstruje kiedyś tam w dalekiej przyszłości odbywający się spór trzech szkół antropologicznych, których rzecznicy rekonstruują erę uważanego za cesarza Johna Kennedy'ego, zmyślając na różną modłę historię naszych czasów w oparciu o szczątkową i wybiórczą dokumentację źródłową. W obu tych kapitalnych kpinach Kołakowski, bezlitosny mitoznawca, nie dezawuuje mitotwórstwa w sposób bezapelacyjny. Jest ono przecież nieodzownym nadawaniem sensu

naszemu przypadkowemu bytowaniu i chaotycznej ludzkiej przeszłości, rzecz jednak w tym, aby zdawać sobie sprawę z kruchości tego, co się skonstruowało. Stąd zapewne skromność Leszka Kołakowskiego, która, jak do mnie dotarło, niektórym wydaje się kokieterią. Nic błędniejszego. Wie on doskonale, jak dużo dokonał, ale też świadomy jest, że wszelkie koncepcje wznoszone są na ruchomych piaskach, zwłaszcza kiedy roszczą pretensję do oczywistej pewności i wyłączności. Żadnej też pozy, żadnej sztuczności nie znajduję w licznych oświadczeniach Kołakowskiego o chwiejnym statusie filozofa oraz we wskazówce, że nade wszystko winno go cechować poczucie samokrytyczne. Świat wydaje się być pozbawiony matrycy, a jednocześnie bez niej obejść się nie możemy. Stąd natarczywe, kto wie czy nie daremne, pytania o nią — i właśnie owa pytajność jest chlebem powszednim filozofii. Ta zaś, niezdolna do ukonstytuowania języka ekumenicznego, który godziłby w jakimś wspólnym mianowniku zderzone ze sobą różnorakie poglądy, winna być nie ich zakładniczką, lecz podejrzliwym świadkiem. Filozof znający granice swych możliwości jest świadom tego, że prawda mu wciąż umyka, ale czyha nań wciąż pokusa nieustanna, aby wytropić jakąś Arcy-Prawdę. Kiedyś pisząc o prawdomówności i prawdzie (szkic z r. 1966) Kołakowski zwracał uwagę, że przeciwieństwo mitoznawstwa i mitotwórstwa, czyli ujawnianie utopijności zamierzeń filozoficznych i ich, rzekłoby się, zarazem nieustępliwego utopiotropizmu są objawem znerwicowanej kultury, jednocześnie kwitnącej i chorej. Wydaje się, że filozofia, partycypując w owej nerwicy jako jej trwała komponenta od zarania cywilizacji, przeżywa dzisiaj ową sprzeczność ostrzej niż kiedykolwiek, nasiliły się bowiem zmagania między wartościami i diabeł dumnie podnosi głowę. Dlatego między innymi daje o sobie znać spotęgowana refleksja metafilozoficzna — samobójcza w trendzie postmodernistycznym, ozdrowieńcza w takiej wersji, w jakiej uprawia ją Kołakowski.

Filozofia, jak powtarza, nie temu służy, aby kryzysy leczyć, lecz temu, aby je w całym świetle ujawniać.

4. W rozmowie z Siegfriedem Lenzem (z r. 1979) Leszek Kołakowski przystał na to, że fatum — choć niepoznawalne — może urabiać losy indywidualne bądź zbiorowe. Niechaj wolno mi więc będzie przypuścić — nawiązując do mej swawolnej wypowiedzi na początku tego sprawozdania, że Bóg (albo, jak kto woli, siły nieznane zwane Opatrznością) powołał był do istnienia filozofa polskiego, o jakim

się dotąd nie śniło: trafiającego w sam środek tarczy naszego stulecia, a podejmującego zarazem kwestie, które wyznaczają treść i zakres *philosophia perennis*. O umyśle krystalicznie jasnym, w analizach ostrym jak diament, a przy tym zdolnego jak poeta czy religijny wizjoner do wejrzenia w gęstwę spraw najbardziej zawiłych i ciemnych, które buntują się przeciw językowym artykulacjom. Myśliciela wytrawnego i subtelnego, a zarazem moralistę i człowieka zaangażowanego *in publicis*, który w tej czy innej mierze dał przykład wzorcowy wielu rocznikom młodzieży studenckiej, intelektualistom i artystom, etc. jak żyć wedle zasady *non possumus*. Mieliśmy kilku uczonych w tej dziedzinie wiedzy, uznanych za wspaniałych nauczycieli w kraju i cenionych wysoko za granicą, ale nie pomylę się chyba stwierdzając, że nie było filozofa tak wszechstronnie utalentowanego i tak głęboko rozpatrującego kondycję ludzką w ogóle i szczególne jej przejawy w naszym stuleciu. Nikt też dotąd tak jak Leszek Kołakowski nie rozsławił w takim stopniu polskiej filozofii. Wolno wyjść zasadnie poza przyjęty tu naturalny układ odniesienia, to znaczy rodzime dziedzictwo i stan kultury z regionu byłego tak zwanego obozu socjalistycznego. Również w relacji do dokonań filozofii światowej dzieło Leszka Kołakowskiego należy do najprzedniejszych.

Wyróżnia je między innymi zadziwiająca symbioza różnych wątków filozoficznych. Symbioza, której niepodobna sprowadzić ani do arbitralnej mieszaniny rozmaitych ingrediencji, ani do systemu z żelaznymi obręczami. Jego myśl dynamiczną i otwartą, a przy tym wciąż samoregulującą się, charakteryzuje mądrość i szczególna dramaturgia dyskursu, którą można by ująć w dwu figurach — ołowiu na skrzydłach i Jakubowej drabiny. Figurach zdawałoby się nie do pogodzenia, a właśnie w ich spektrum rozpięty jest według Kołakowskiego sens istnienia ludzkiego i na nich opiera się samowiedza filozoficzna. Dzięki tej oryginalnej symbiozie umiał on celnie użyźnić rzeczywistość, którą inni mieli za ugory, albo odwrotnie — odsłonić jałowiznę tam, gdzie innym rzekomo udało się nazbierać wory pełne ziaren. Uznanie jego wybitności, potwierdzonej już licznymi pracami o jego *oeuvre* w kraju i za granicą, to dziś święto naszej kultury, a szczególnie Uczelni Łódzkiej, która może być dumna z tego, że był on ongiś jednym z jej pierwszych wychowanków.

O d r e d a k c j i: Tekst ten stanowi *laudatio* wygłoszone na uroczystości nadania Leszkowi Kołakowskiemu doktoratu *honoris causa* Uniwersytetu Łódzkiego.

Zofia Stefanowska

Michał Głowiński jako badacz nowomowy

Rzecz intrygująca: co kierowało Michałem Głowińskim, kiedy podejmował temat nowomowy, co go skłoniło do wieloletnich i systematycznych studiów nad językiem politycznym w PRL. Profesor Głowiński jest uczonym akademickim w dobrym tego słowa znaczeniu, wybitnym fachowcem od historii i teorii literatury. Wśród humanistów nie brak skądinąd badaczy o niekonwencjonalnych zainteresowaniach, kolekcjonerów osobliwości, oryginałów. Ale Głowiński do nich nie należy, Głowiński jest nieskazitelnym profesjonalistą. Więc dlaczego takie hobby? A przekształciło się ono w warsztat naukowy z bogatą dokumentacją, teorią nowomowy i metodologią jej badania. Coś tam wiemy o motywach, które kierowały Michałem Głowińskim, sam o nich pisze: że chciał zostawić świadectwo czasu, w którym wypadło mu żyć, że chciał — po drugie — uzyskać jakąś niezależność od koniunktury politycznej, taką mianowicie niezależność intelektualną, jaką daje pisanie do szuflady. To tłumaczy wiele, ale nie tłumaczy wszystkiego. Nie tłumaczy sukcesu, nie tłumaczy, dlaczego zamiar zrealizowany został w takiej skali (*Nowomowa po polsku* i *Marcowe gadanie*) i w sposób tak błyskotliwy.

Przyczynę sukcesu — bardziej nawet niż w przygotowaniu zawodowym: rzetelnej wiedzy w dziedzinie socjologii języka — upatrywałabym w mentalności badacza. Michał Głowiński zachował siłę nieprzyzwyczajania

się, nie dal się oswoić otoczeniu językowemu. Zachował zdolność dziwienia się językowi. Naiwną, niemal dziecięcą odwagę zadawania bezczelnie prostych pytań.

Ocenić taką postawę mogą ludzie mojego pokolenia i paru pokoleń sąsiednich, ludzie, których całe dorosłe życie upłynęło wewnątrz PRL, którym ten język towarzyszył nieustannie nie tylko jako szum informacyjny, nie, poddawał się przecież interpretacji, umieliśmy z niego korzystać jak ze źródła — prawda, że pośredniego — wiedzy o sytuacji politycznej. Przerażał nas w czasach grozy, jak marzec 68, jak inwazja Czechosłowacji. Był też przedmiotem ironicznej obserwacji i dobrej zabawy. „Nie różami, rzecz jasna, usłane jest nasze życie" — to Bierut z całą otwartością mówił o katastrofie gospodarczej. A Gomułka, kiedy po kolejnej zmianie ceny elektryczności, czyli podwyżce, stwierdzał, że klasy robotniczej wzrost ceny nie dotknie, bo nafta nie podrożała. Fascynująca wizja klasy robotniczej w izbach oświetlonych kagankami. Byliśmy z tym językiem zżyci, słuchaliśmy go nieustannie (bywało, wychodziło się z domu przy akompaniamencie przemówienia Gomułki i po paru godzinach, wracając, słyszało się go w radio ciągle jeszcze przemawiającego), czytaliśmy wreszcie gazety. Przedmiot, który wszyscy, chcieli czy nie, mieli stale pod ręką. Michał Głowiński odkrył go dla usystematyzowanej refleksji intelektualnej, zadziwił się nim, w codzienności odnalazł egzotykę, z badania języka PRL stworzył osobną dziedzinę, w której krzyżują się zainteresowania językoznawcze, socjologiczne, historyczne. Dominuje jednak historyk, historyk i kronikarz historii bieżącej.

Można by tu wysunąć taką obiekcję: autor wyjątkowo tylko korzysta z przywileju wiedzenia lepiej, który historykowi daje perspektywa czasowa i kumulacja doświadczeń. Głowiński celowo rezygnuje z perspektywy, skraca dystans, chce być blisko, jak najbliżej dokumentu. Nawet w szkicach interpretacyjnych z książki *Nowomowa po polsku* czas i okoliczności pisania stanowią integralną część tekstu. Jeśli, dajmy na to, autor się pomylił, np. w r. 1980 dał się ponieść entuzjazmowi i w szkicu *Nowomowa tuż po Sierpniu* przepowiadał jej koniec, to swojego ówczesnego wywodu, publikując go teraz, nie naruszył, dodał tylko *Post scriptum*: że tamtą optymistyczną diagnozę traktuje jako dokument czasu, w którym powstała, i dlatego jej nie koryguje, choć mądrzejszy jest o doświadczenia całego roku. Tylko jednego roku, bo *Post scriptum* pochodzi z jesieni 1981 i wydrukowane zostało bez zmian.

Zasada „blisko dokumentu", zasada kronikarska panuje w sposób ostentacyjny w *Marcowym gadaniu*. Komentarze ułożone są w sekwencję dziennika, opatrzone dziennymi datami; inaczej być nie może, bo odnoszą się (w przeważającej liczbie) do aktualności dnia. Notatki pisane do szuflady, po latach wyciągnięte, *in crudo* wydrukowane w książce. Autor niczego w nich nie zmieniał, co najwyżej coś tam skrócił. Tak twierdzi i nie ma powodu mu nie wierzyć. Ale mój Boże, jak daleko odbiegają te zapisy od zwykłej notatki kronikarskiej. „Złudna twa prostota", można powiedzieć za poetą. Te zapiski, niektóre kilku-, inne kilkunastozdaniowe, czasami stronicowe, skomponowane są według zasad strategii literackiej. Czytelnik, dla którego były pisane, odbiorca wirtualny, żeby posłużyć się własnym terminem Głowińskiego, to ktoś taki jak Guliwer wśród Struldbruggów: obyczaje (językowe, ale nie tylko językowe) w kraju realnego socjalizmu to dla niego dziedzina egzotyczna, nieprzejrzysta, tłumaczyć mu więc trzeba różne oczywistości, co Głowiński robi, i tu właśnie okazuje się pierwszorzędna rola tego zdziwienia, o którym wspomniałam. W zdziwieniu — bardziej jeszcze niż w oburzeniu — ujawnia się wspólnota autora i jego Guliwera, czyli odbiorcy wirtualnego. Zasadnie więc można mówić o wyrafinowanej technice literackiej tych notatek, ujawniającej się jeszcze w takich elementach kompozycyjnych jak hasłowy tytuł każdej notatki, zamykanie każdej puentą, aforyzmem, jakiegoś typu uogólnieniem. I jeszcze: przy dominacji stylu rzeczowego, informującego, dobitnie działają nieliczne sformułowania nacechowane osobistymi emocjami, np. o komentatorach radiowych, którym „chciałoby się dać (...) w mordę"[1].
Nie potrafię rozstrzygnąć, czy to sam przedmiot, czy strategia autora w *Marcowym gadaniu* wywołuje intensywne wrażenie obcowania z historią, jeszcze gorącą, jeszcze pulsującą wydarzeniami: historią bieżącą. Mała notatka, parę zaledwie zdań, a jakież obszary tej historii ewokuje. Czytam np. o „synach pułku", o tym, jak mnożą się „wzruszające opowieści o bohaterskich dzieciach walczących z Niemcami", że wyraża się w nich intencja zmilitaryzowania świadomości społecznej oraz narzucania infantylnych wzorów osobowych.[2] Czytam o tych synach pułku i przed oczami staje mi postać paroletniego dziecka w hełmie ustawiona na murach staromiejskich jako pomnik małego powstańca.

[1] *Marcowe gadanie. Komentarze do słów 1966–1971*, Warszawa 1991, s. 260.
[2] Tamże, s. 84.

Wypisz, wymaluj, syn pułku. Ileż z tej nieporadnej figurki wyczytać można o uprawianej przez władze PRL grze z historią. Najpierw: niby to koncesja w wieloletniej, ciągnącej się od Października 56 aferze pomnika powstania warszawskiego. Taki pomniczek dla zaspokojenia sentymentów ulicy. Bohaterskie dziecię. No właśnie, po drugie, pomniczek ma współdziałać z oficjalną interpretacją powstania: bohaterska młodzież wciągnięta do walki przez zbrodniczych polityków. Pomniczek ma utrwalać stereotyp powstańca jako dziecka nieświadomego, o co walczy. Stereotyp młodych chłopców w za dużych hełmach niemieckich, tak jakby głowy polskich osiemnasto-, dwudziestolatków były mniejsze niż ich rówieśników, poborowych z Wehrmachtu. Pokolenie „synów pułku".

Drugi przykład, artykuł o „peryfrazach współczesnych" z *Nowomowy po polsku*. Przypomina od razu drobne notatki prasowe, obojętne właściwie politycznie komunikaty PAP-owskie. Zawsze miałam wrażenie, że pracuje nad nimi surowa purystka, której naczelnym zadaniem jest niedopuszczanie do powtórzenia tego samego wyrazu. Stąd w notatkach pleniły się (może i jeszcze plenią) w pełni skonwencjonalizowane peryfrazy: czarny minerał, słodki towar, pożyteczny ziemiopłód itd. U Głowińskiego znaleźć można całą serię bardziej jeszcze pretensjonalnych. Do jego artykułu o peryfrazach chciałoby się gdzieś w przypisie dodać anegdotę pt. „Zemsta peryfrazy", szeroko w swoim czasie znaną. Mam na myśli napisane przez Jaszcza i opublikowane w „Trybunie Ludu" wspomnienie pośmiertne o George'u Bernardzie Shaw (zm. 1950). Żeby nie powtarzać nazwiska, Jaszcz pisał przemiennie: raz G. B. S., raz — peryfrastycznie — „wielki kpiarz". Pech chciał, że rezultatem takiego mechanizmu stylistycznego stało się zdanie: „Wielki kpiarz nazwał Stalina największym człowiekiem swojej epoki".

Przywołując te przykłady, daję się Głowińskiemu sprowokować: *Marcowe gadanie* ma formę otwartą, kalendarzowa sekwencja notatek kusi innych świadków czasu do uzupełnień: czy pamiętasz jeszcze to i tamto? Byliśmy przecież, my także, spoufaleni ze zjawiskiem, które opisał. Łatwość uzupełniania Głowińskiego jest jednak pozorna. Temu, co było dla nas anegdotą, on nadał postać problemu naukowego.

Nowomowa w Polsce Ludowej nie była samym monologiem, na język oficjalności reakcją było mówienie potoczne, uliczne. Są w *Marcowym gadaniu* i takie zapisy: fragmenty wypowiedzi pełniące wobec nowomowy funkcję dialogową czy *quasi*-dialogową. Przeważnie ta dokumentacja

jest zdobyczą podróży autora, rozmów w pociągu z przygodnymi sąsiadami. Gdybyż to, myślę sobie, los obarczył Głowińskiego funkcją prowadzenia gospodarstwa, jak wielkie, przebogate pole obserwacji językowych otworzyłyby mu godziny wystawania w sklepowych kolejkach! Albo sprzątaczka, dlaczego w *Marcowym gadaniu* nie występuje jakaś pani Rózia czy pani Genia jako źródło lapidarnych ludowych obserwacji? W tym miejscu przypominam sobie rolę służących w twórczości Marii Dąbrowskiej (szczególnie pod tym względem znamienne są *Przygody człowieka myślącego*) jako łączników z ludem, skarbnicy wiedzy o życiu potocznym. Przypominam sobie ten schemat, żałosny dowód izolacji społecznej inteligenta, i przestaje mnie martwić brak sprzątaczki u Głowińskiego.

Co nas teraz czeka ze strony języka oficjalnego? Co dzieje się z nowomową po obaleniu władzy komunistycznej, w państwie niezależnym, demokratycznym itd.? Otwieram radio i słyszę, jak w sejmie któryś z posłów mówi o „spekulantach wszelkiej maści". „Wszelkiej maści", faworytny zwrot Gomułki, Głowiński poświęcił mu należytą uwagę. Jeśli powiemy, że w przemówieniu owego posła odezwały się „jeszcze" „pozostałości obalonego reżimu", to wpadniemy w pułapkę: będzie to stwierdzenie doskonale zgodne z obyczajem nowomowy, wprost cytat z języka, ze sposobu myślenia właściwego realnemu socjalizmowi. Ale czy jest ucieczka przed presją tego języka, jeśli nawet Głowińskiemu, czujnemu z czujnych tropicielowi PRL-owskiej frazeologii trafiają się — w jego własnym komentarzu — takie cytaty z nowomowy, jak „pseudopatriotyczny frazes", typowy dla nowomowy pleonazm.[3]

Jeśli nowomowę traktujemy jako instrument manipulacji politycznej, narzędzie totalitarnej inżynierii społecznej, to powinniśmy oczekiwać zanikania niektórych choćby, najjaskrawszych jej nadużyć. Ale jeśli to zjawisko żywiołowe, wzniecane — jak zdaje się gdzieś przyjmować autor[4] — przez nieodwracalne procesy naszych czasów, epifenomen kultury masowej, to cóż zrobić? Zachować postawę niezależnego, ironicznego obserwatora, takiego, jakim był autor *Nowomowy po polsku* i *Marcowego gadania*. Ale to nie są książki sceptyczne ani beznamiętne! Przeciwnie, autorem powodowała pasja polityczna, a bardziej jeszcze pasja moralna. „Gdyby dyktatorzy — pisze gdzieś Głowiński[5] — mieli

[3] *Nowomowa po polsku*, Warszawa 1990, s. 67.
[4] Tamże, s. 52.

wyczucie komizmu, dzieje toczyłyby się może choć nieco mniej okrutnie". Władcy — stwierdza gdzie indziej[6] — „na śmieszność są nieczuli". Ideologia demaskatora nadużyć językowych. Pod koniec 1989 dostrzegał Głowiński początek „procesu detotalitaryzacji słów", choć ostrożnie dodawał „chyba": „chyba rozpoczyna się".[7] Powiedzmy, że taki proces zachodzi, że coś tam bezpowrotnie z języka zniknęło, choć nie wszystko z tego nowego, co się pojawiło, raduje serce. Co począć z pasją moralną autora, z jego tęsknotą do „całej prawdy" — „jednej i niepodzielnej"?[8] Punktem odniesienia obu książek Głowińskiego, podstawą jego sądu nad językiem jest taka właśnie utopia komunikacyjna: mowa jako funkcja jednoznacznych i przejrzystych stosunków między ludźmi.

[5] *Marcowe gadanie*, s. 132.
[6] Tamże, s. 188.
[7] *Nowomowa po polsku*, s. 146.
[8] *Marcowe gadanie*, s. 280.

Od redakcji: *Pochwala laureata nagrody im. Jana Strzeleckiego wygłoszona z okazji wręczania tej nagrody Michałowi Głowińskiemu w Polskim Pen-Clubie dnia 9 marca 1992.*

Autobiografia

Kazimierz Bartoszyński

Esprit d'escalier czyli rzecz o prywatnej metodologii

Gdy w późnym już okresie swej drogi naukowej podejmuję próbę scharakteryzowania czegoś, co nazwać by można prywatną metodologią, trudno mi jest ująć tę sprawę w synchronicznym przekroju, a także oddzielić ją ściśle od pozanaukowych zdarzeń mego życia. Niełatwo mi także zachować zawsze wobec mych poczynań naukowych postawę serio i powstrzymać się od spoglądania na nie czasem z krytycznym lub ironicznym przymrużeniem oka. Chociaż zatem ani nie potrafiłbym, ani bym nawet nie chciał posługiwać się w mej relacji stylistyką swobodnej gawędy, zacznę od aktualnej w mej sytuacji anegdoty, jaką skontaminowałem, wiążąc zasłyszany kiedyś dowcip z motywem jednego z wczesnych opowiadań Prusa. Treścią tej anegdoty jest zachowanie emerytowanego profesora filologii klasycznej (oczywiście — mimo Prusowskiej proweniencji — najlepiej galicyjskiego), który tymi oto słowy zagadnął napotkanego kolegę po fachu: „Znalazłem właśnie na strychu paczki starych wypracowań uczniowskich z greki. Mamy więc świetną lekturę na najbliższe wieczory. Nie ma pan pojęcia, jakie wspaniałe błędy będziemy mogli raz jeszcze skorygować: *antropos* z *accentus circumflexus* nad omegą (horror!) lub *Athena* ze *spiritus asper* przed początkową alfą (skandal!)". Morał z tej historyjki byłby m. in.

chyba taki, iż w pewnych momentach życia wykonywane kiedyś czynności nabierają radykalnie odmiennego zabarwienia emocjonalnego. Zwłaszcza gdy obszary, w których się mieściły, znikają z naszego pola widzenia, gdy czynności nasze tracą charakter funkcji obowiązkowych.

Co do mnie, to nie uskarżam się bynajmniej na bezczynność i potrzebę szukania od niej ucieczki — jak owi nauczyciele z anegdoty. Znajduję się natomiast obecnie w sytuacji dającej mi możność zapomnienia o mych dawnych emocjach i psychicznych napięciach, zatem i mówienia o sobie (a czasem i o innych) *sine ira et studio*. A więc sposobem spokojnym, nie unikając wszakże tonów ironii i ekskursów humorystycznych lub parodystycznych. Szkoda tylko, że to, co kiedyś nas bawiło, traci często po latach, poza konsytuacją, swą barwę lub staje się — bez obszernego komentarza — uchwytne jedynie dla wąskiego grona świadków minionych zdarzeń. A więc nie może być na ogół przedmiotem pisemnej relacji.

Próbując nakreślić swą autobiografię naukową czy naszkicować swą prywatną metodologię, nie chcę i nie mogę pominąć nasuwającego mi się pytania o celowość i potrzebę takiej operacji. Czy jakość naukowych dokonań, o których przecież wypadnie wzmiankować, upoważnia mnie do tego? Sądzę, że w moim przypadku nie jest to pytanie istotne, niezależnie bowiem od wagi mego dorobku, którym bynajmniej nie pragnę się szczycić, zasadniczy jest tu oczywisty biograficzny fakt. Ten mianowicie, iż w moim życiorysie naukowym — z tytułu choćby dat go określających i miejsc mej pracy — specyficznie wyraziste odbicie znalazły różnorodne przemiany. Nie tyle polityczne, choć i tych nie zabrakło — ile dotyczące idei naukowych. Zjawisko oddziaływania na naukowców systemów myślowych różnorodnych i zmieniających się jest oczywiście powszechne. W moim wszakże przypadku kontakty z głównymi w Polsce ośrodkami myśli fenomenologicznej, a później strukturalizmu, były bezpośrednie, zaś wpływ hermeneutyki, a w czasach ostatnich także idei poststrukturalistycznych — znaczny. Nie liczę wpływu przemian, przez jakie przechodziła metodologia nauk ścisłych. Nie mając zaś tendencji ani do nietolerancji, ani do doktrynerstwa, zaczerpnąłem sporo z tych różnorodnych formacji myślowych. Pozostając jednak w zależności od rozmaitych kierunków, znajdowałem się często na intelektualnych rozdrożach i zmuszony byłem stawiać sobie istotne nieraz pytania. Sytuacji tej nie należy oczywiście dramatyzować. Jeśli jednak warto zainteresować się mym życiorysem naukowym, to raczej nie z tytułu jego pokoleniowej typowości, ani tym bardziej ze

względu na moje konkretne osiągnięcia, lecz właśnie z uwagi na mnogość ważnych pytań, wobec których tak często stawałem.
Słowo „pytanie" pada tutaj również dlatego, że to, co mogę przedstawić, nie jest przede wszystkim obrazem — mówiąc górnolotnie — przemian teorii czy paradygmatów, ale raczej szkicem ujmującym ewolucję naukową od strony osobistych zagadnień czy kłopotów, od strony zatem jej pozanaukowego tła. Charakter polityczny nosiło to tło w takim tylko stopniu, w jakim trudno mi było uchylić się od oficjalnych nacisków. Mam tu na myśli przy tym jedynie tzw. okres stalinizmu. Mimo bowiem mej przynależności do PZPR unikałem powiązań swych poczynań naukowych z uwarunkowaniami politycznymi. Presja, jaką kiedyś usiłowano wywierać na mnie w tym zakresie, zniechęciła mnie zresztą na stałe do ulegania uzależnieniom tego rodzaju, nawet wtedy, jak to jest obecnie, gdy mają one zupełnie inny charakter. Będąc dalekim od mniemania, jakoby możliwa była zupełna apolityczność nauki, skłonny jestem sądzić, że czynnościom naukowym sprawy polityki sprzyjać mogą jedynie drogą obdarzania naukowców spokojem i środkami finansowymi. Być może jest to staroświecki klerkizm, lecz trudno mi się wyprzeć takiej zasady.
Warto tu wspomnieć może o okoliczności, dla której wypowiadanie się naukowca na temat jego prywatnej metodologii nie jest czynnością niezależną od pewnych istotnych uwarunkowań. Nie może jej bowiem, ściśle biorąc, podejmować zwolennik przeświadczenia, iż jego praca naukowa polega na uczestniczeniu w procesie, w którym podstawową rolę odgrywa ponadindywidualny „kontekst uzasadniania", że raz wstąpiwszy w ten proces utracił swą zmieniającą się podmiotowość. Wypowiadanie się zatem na temat metodologii prywatnej wyłącza w dużym stopniu mówiącego z kręgu badaczy o pozapodmiotowym obliczu, które zwykle kojarzy się z ortodoksyjnym scjentyzmem. Trudno natomiast powiedzieć, do jakiego kręgu ów metodologiczny autobiograf ma być przez swą wypowiedź zaliczony. Najłatwiej byłoby może rzec: do hermeneutów. Byłoby to jednak określenie zbyt radykalne i ignorujące różnorodność stylów myślenia pośrednich między biegunami skrajnymi.
Innym kłopotem autobiografa naukowego jest konflikt pomiędzy intencją pokazania siebie w postaci takiej, jaką osiągał w różnych fazach swej działalności, a chęcią użycia postgnozy, tj. postawy pozwalającej na ujrzenie całej biografii w sposób relatywny, perspektywiczny, pogłębiony. A możliwe to jest dopiero po osiągnięciu pewnego dystansu czasowego,

tj. na zasadzie *esprit d'escalier*. To metaforyczne wyrażenie nabiera zresztą sensu bardziej dosłownego dla tych wszystkich pracowników nauki, których z jakichś względów dotyka konieczność opuszczenia „schodów" swych macierzystych uczelni czy instytutów.

Te sformułowania wstępne zakreślają najogólniej pole, w jakim mieścić się będą uwagi o mojej naukowej prywatności. Dotyczyć będą one zresztą nie tylko tego, co opublikowałem — a nie było to zbyt wiele — lecz również tego — co naszkicowałem czy wygłosiłem, a także tego, co stanowiło oczywiste przesłanki treści sformułowanych.

Początki mych studiów uniwersyteckich upłynęły — co zresztą nierzadko się zdarza — pod znakiem wahań co do ich przedmiotu. Także zresztą i później, pracując w dziedzinie filologii, wielokrotnie odczuwałem niedostatek czy ograniczoność swej wrażliwości estetycznej i zdawałem sobie sprawę ze swej skłonności do operowania słowem w sposób odmienny i na pewno mniej efektowny niż to czynią zazwyczaj reprezentanci tej dyscypliny. Doznaniom takim towarzyszyły przypływy sympatii do nauk ścisłych i — złudne zapewne — wrażenie, iż na ich terenie czułbym się lepiej i więcej bym osiągnął. Pomijając jednak tę sferę próżnych i niewczesnych refleksji, zacząć mi wypada od zapomnianego już trochę faktu, iż podstawowym moim studium miała być nie filologia, lecz filozofia, a jego kierownikiem stał się — niekoniecznie z wyboru, lecz w ramach konkretnej krakowskiej rzeczywistości roku 1945 — Roman Ingarden. To zawieszenie pomiędzy dwiema dyscyplinami miało określać moją drogę naukową już na stałe, z wyłączeniem okresu, w którym narzucona dominacja marksizmu blokowała niejako zainteresowania filozoficzne i sprzyjała koncentracji na filologii. Dwoistość taka zaowocowała w moim przypadku nastawieniem na teorię literatury, a u pewnych osób prowadziła wręcz do ucieczki od polonistyki.

W mych studiach prowadzonych pod kierunkiem Ingardena wystąpiły z miejsca dwie formy niedostosowania się do stylu pracy wielkiego uczonego, formy przejawiające się w biograficznych realiach, ale wyrastające z istotnych — jak się potem okazało — przesłanek teoretycznych. Ingarden — fenomenolog — postulował studium filozofii jako dyscypliny niezależnej, „pierwszej", nie wymagającej w zasadzie ani założeń, ani wspierających ją kompetencji w zakresie „nauk szczegółowych". Przeciwnie, filozofowie o proweniencji pozytywistycznej widzieli w filozofii metanaukę, syntezę nauk, której adepci obligowani byli do dokładnego studiowania przynajmniej jednej z tych dyscyplin. Zajmując się tedy

zgłębianiem tajników filologii, odchylałem się raczej od wskazówek „mistrza", w którego oczach zbyt szczegółowe studia konkretnych scjencji były może nie tyle pomocą, ile przeszkodą w osiąganiu pożądanych intuicji poznawczych. Z drugiej strony ciekawość naukowa młodego studenta kierowała go raczej do poznania mnogości stylów i kierunków myślenia filozoficznego niż do koncentracji na jednej metodzie. A Ingarden właśnie — w nie kończących się analitycznych penetracjach — nauczał jednej metody, kształcąc samo myślenie filozoficzne, rozwijane w atmosferze przekonania o wyłącznej słuszności owej metody na drodze do absolutnej „prawdy". Nie przykładał zaś wagi ani do filozoficznej erudycji, ani do dostarczania słuchaczom szerokiej panoramy filozoficznych pytań i odpowiedzi. Mnie zaś marzyło się naówczas zbudowanie właśnie uniwersalnej wizji filozoficznych problemów i rozwiązań, gdyż nie pojmowałem jeszcze dziejów filozofii jako szeregu indywidualnych koncepcji w zasadzie niewpisywalnych w jakiś apriorycznyy kwestionariusz.

Prymitywnie naówczas postawiona alternatywa pomiędzy poznawaniem poglądów a poznawaniem prawd czy „rzeczy" miała później wielokrotnie powracać w mej biografii. Alternatywa taka była, jak mi się zdaje, warunkowana w wiele lat później przez cały tok czynności Pracowni Poetyki Historycznej IBL, która stała się w latach sześćdziesiątych miejscem mego zatrudnienia. Wobec braku bowiem ustalonych z góry dyrektyw dotyczących naszych działań, możliwy tam był zawsze wybór pomiędzy koncentracją nad konkretnym zagadnieniem rozwiązywanym określoną metodą a zdobywaniem orientacji w szerokim spektrum aktualnych zagadnień, kluczowych pojęć czy wyłaniających się kierunków badawczych. Po latach wydaje mi się — choć nie byłbym w stanie podać argumentów statystycznych — że w różnorodnych poczynaniach owej pracowni więcej poświęcano uwagi nadążaniu za pojawiającymi się koncepcjami literaturoznawstwa niż wysiłkom, które przyniosłyby monograficzne ujęcia pewnych historycznie obecnych w dziejach literatury polskiej konwencji literackich. Sytuacja taka prowadziła często do znacznej zmienności zainteresowań naukowca (w stopniu chyba niemożliwym w naukach ścisłych), do rozbicia jego biografii na nie powiązane ze sobą fazy, do utrudnienia koncentracji na wybranych i osobiście bliskich zagadnieniach. Moje własne próby badawcze, podejmowane w takim kontekście, były, zwłaszcza w latach sześćdziesiątych, wyraźnie wielotematyczne i miały charakter, jeśli tak można powiedzieć, metanaukowy.

Tak więc fascynacja modnymi naówczas badaniami nad czasowością w literaturze, a nieco później tzw. narratologia, przyniosły prace o konstrukcji czasu w formach narracyjnych i o badaniach układów fabularnych. Niemałym bodźcem do zajmowania się tymi sprawami była, jak sądzę, nie tylko ich istotność, ale również intrygujące bogactwo, złożoność i niespójność poświęconej im w pracach zagranicznych refleksji naukowej. Prace teoretyczne dotyczące form epickich koncentrujące się ongiś na nieśmiertelnym problemie „epos a powieść", nieliczne stosunkowo na Zachodzie jeszcze w latach pięćdziesiątych, weszły bowiem w okresie, o którym tu mówię, w stadium wyraźnej eskalacji i komplikacji.

Wydaje się wszakże, że zwłaszcza w pracy na temat czasu epickiego intencja pedantycznego uwzględnienia i zsyntetyzowania istniejących analiz odbiła się niekorzystnie na wysiłkach w kierunku budowy własnych moich koncepcji. Co prawda, kiedy dziś po latach problematyka czasu w literaturze znów odżywa pod piórem Paula Ricoeura, okazuje się, że przy ogromnej erudycji i talencie syntetyka, praca referująca i sumująca przynieść może imponujące wyniki. W moim przypadku wszakże, skutkiem podejmowania prac informacyjnych i metanaukowych stał się w dużej mierze fakt, iż — poza pracą doktorską — nie opublikowałem książki monotematycznej, dając się stale ponosić różnym zainteresowaniom i powodować różnymi okolicznościami zewnętrznymi. Zresztą — to refleksja autokonsolacyjna — czy w naszej dyscyplinie chodzi przede wszystkim o pisanie monografii? I o powinność wypełnienia planów mających zbudować jakąś całość?

Traktując ostatnie uwagi jako antycypację dalszych ciągów mej biografii, wrócić chcę do chronologicznego toku narracji. Stosując się zatem do linii czasu, nadmienić pragnę, że mimo mych młodzieńczych zastrzeżeń wobec szkoły filozoficznej, z której wyszedłem, macierzystym układem myślowym dla mego stylu naukowego była przez czas długi Ingardenowska fenomenologia. Wiele nauczyło mnie np. długotrwałe „wpatrywanie się" w fenomen czasu, uprawiane — jakby ponad filozoficzną tradycją — przez długie godziny odpowiedniego seminarium Ingardena. Powadze takich medytacji towarzyszyły jednak czasem zgoła niepoważne przejawy studenckiej humorystyki. Oto próbka wspólnie zredagowanej w ramach koła filozoficznego (przy znacznym udziale obecnego prof. Andrzeja Półtawskiego) parodii Ingardenowskiego seminarium, dość trafnie podchwytującej styl dydaktycznych zachowań krakowskiego fenomenologa, któremu żartobliwie przydano nazwisko Überpark:

Prof. Überpark: Otwieram 150 posiedzenie seminarium poświęcone zagadnieniom konstytuowania się formalno-strukturalnych aktów fundujących doświadczenie k o t ó w. Jeszcze tu znalazłem w swoich szpargałach pewne dane bibliograficzne. Przez te pierwsze 50 lat filozofowania wypada, proszę Państwa, coś od czasu do czasu przeczytać. A więc: Hedwig Immer-Tiefer: *Beiträge zur Phänomenologie der immanenten Katzen-Wesenschau*, s. 705. Edmund Haarspalter: *Wege zum Erzielen der allgemeinen Verdunkelung der gesunden Immanenzapperzeption der Katzen*, s. 705. A teraz wróćmy do naszej roboty. Jest wprawdzie za wcześnie na rozpoczęcie fundamentalnych analiz, ale wydaje mi się, że posunęliśmy się nieco w naszych wstępnych rozważaniach. Jeżeli chodzi o aspekt epistemologiczny, to wydaje mi się, że byli Państwo skłonni do uznania, że jeżeli łapię kota i liczę mu włoski w ogonie lub odzieram go ze skóry, to nie uzyskuję wiedzy docierającej dość głęboko, aby pozwolić na uchwycenie cech dokonywujących formalno-ontologicznej charakteryzacji kota jako k-oo-ta. Otóż...

P. Gżegżółka (takie imię nadano uczestnikowi seminarium, obecnemu logikowi — prof. Andrzejowi Grzegorczykowi): Prosiłbym o wyjaśnienie, co znaczy termin „koci ogon". Określenie to wydaje mi się nad wyraz mętne. Sądzę, że w każdej nauce na początku przyjąć trzeba pewne aksjomaty i terminy pierwotne. Proponuję więc terminy pierwotne: „kot" i „ogon", a zdanie „kot ma ogon" jako aksjomat. Wówczas wszystko będzie jasne.

Prof.Überpark: Proszę Państwa, strzeżmy się zacierania w sobie intuicji kociego ogona, a schodzenia, jak chciałby p. Gżegżółka, na słowa „kot" i „ogon". Proszę Państwa, przypominam sobie właśnie, jak byłem mały — było to 25 marca 1912 roku. Idę ulicą, byłem wtedy w Getyndze, pamiętam doskonale ten fakt, z jakiejś bramy konstytuującej mi się w tej chwili jako pewien luźny schemat wyskakuje kot. Ja go wtedy chwyciłem w jego niepowtarzalnym t u i t e r a z i ta cała mnogość różnorodnie ukonstytuowanych jakości barwnych, dotykowych, węchowych, i jakie tam jeszcze kto chce, została nagle zagęszczona i ujęta jakby jednym sk-oo-kiem wewnętrznym wyjścia z siebie. W takich aktach, nazywam je aktami tutamnymi, proszę Państwa, jeszcze jesteśmy w tym naszym t u, a już jesteśmy w naszym t a m.

Cytat ten to tylko ludyczna dygresja. W jakiś aluzyjny sposób sygnalizuje on jednak fakt, że moje (i nie tylko moje) widzenie fenomenologicznych wtajemniczeń dość wcześnie podważane było niebłahymi wątpliwościami. Dopiero jednak w wiele lat później dałem im wyraz w paru artykułach. Może najwcześniej moją uwagę krytyczną skupiło pytanie o autonomiczność Ingardenowskiej filozofii literatury, stanowiącej dla autora największy tytuł do sławy, a mającej zgodnie z jego oświadczeniem służyć w istocie jedynie za narzędzie ontologiczno-epistemologicznej polemiki z Husserlem. Zasadnicza przy tym dla owej filozofii teoria warstwowa dzieła wydała się — nie mnie jednemu — jedynie nazywaniem w sposób nowy prawd banalnych i raczej zdewaluowanych jako narzędzia analizy literackiej. Zbliżenie do strukturalizmu i semiotyki kazało mi zakwestionować fenomenologiczny, bezpośredni i pozasystemowy

kontakt z dziełem literackim. Co do centralnej zaś dla Ingardenowskich konkretyzacji teorii wypełniania miejsc niedookreślenia, to już wcześniej uznałem ją za relikt pojmowania literatury w sposób tradycyjnie mimetyczny. Dopiero jednak inspiracja hermeneutyki pozwoliła mi przyjąć, że słabością fenomenologicznego poznawania jest nie tyle jego pozasystemowość, ile absolutyzacja poznającego podmiotu, czyli „oczyszczenie" go z wszelkich cech, co sprawia, iż estetyczne konkretyzacje nie mogą być w istocie traktowane jako produkty recepcyjnego dialogu. W praktyce zresztą opisywane one były przede wszystkim jako wypełnienia niedookreśloności. Ostatecznie jednak, by zastosować tu znaną metaforę, „ukąszenie hermeneutyczne", pochodzące ze spóźnionej lektury Gadamera, stało się czynnikiem skłaniającym mnie do zanegowania Ingardenowskiego poglądu o „oddawaniu sprawiedliwości" wartościom estetycznym docierającym do nas bez naszego podmiotowego i czynnego udziału i bez czegokolwiek, co byśmy już zastali jako podstawę czy założenie naszej recepcji. Na tym tle cała estetyka krakowskiego mistrza ukazała mi się — wbrew jego zapewnieniom — po prostu jako zmodyfikowana kontynuacja ciągnącej się od Kanta teorii czystej autonomicznej sztuki. O ile wszakże uważałem, że sprawie ukrytych realistycznych założeń Ingardena, a także konfrontacjom jego filozofii literatury z założeniami semiologii jestem w stanie dać wyraz w publikacjach, to rozwijanie paraleli fenomenologia — hermeneutyka, sprawy szeroko omawianej, należy zostawić autentycznym filozofom, a zreferowany tu rozrachunek zachować w archiwum prywatnego myślenia.

Fenomenologia była ahistoryczna, i to w trzech przynajmniej znaczeniach: nie interesowała się historyczną specyficznością ujmowanych poznawczo bytów, dostrzeganych jedynie w ich pozaczasowym nacechowaniu; pozostawiała daleko poza zasięgiem swej penetracji jakiekolwiek historyczno-przyczynowe uwarunkowania; ignorowała historyczność Ja poznającego. Na tym tle metodologia marksistowska, z którą przyszło mi się zetknąć około r. 1947, stanowiła wyraźny szok: była na wskroś historycystyczna. Z tym jednak, że historycyzm jej — agresywny i totalny — koncentrował się na jednym: na socjologiczno-ekonomicznych operacjach wyjaśniających, pomijając i negując w swych zasadniczych formach rozumienie historii w sensie Diltheyowsko-idealistycznym, a lekceważąc historyczną relatywizację związaną z usytuowaniem i metodami instancji badającej dzieje. Stąd marksistowski brak zainteresowania konstrukcją faktu czy procesu historycznego, jaskrawo od-

dzielający ową metodologię od dwudziestowiecznych form myślenia naukowego.

W tym miejscu powiedzieć chyba warto, że pierwsze moje zetknięcie z ową metodologią miało charakter dramatyczny, choć nie pozbawiony pewnych komicznych akcentów. Oto na jeden z pierwszych zjazdów kół polonistycznych (r. 1947) przybyła do Krakowa dość agresywnie nastawiona ekspedycja rezydujących wówczas w Łodzi bojowników metody zwanej wtedy eufemistycznie — socjologiczną. Była ona świetnie przygotowana do zaatakowania nas krakowian, reprezentujących bądź tradycyjną filologię, bądź „niebezpieczne" wpływy formalizmu. W tej sytuacji mnie, jako autorowi referatu o wczesnej nowelistyce Prusa, przypisany został adwersarz z góry przygotowany na pognębienie mych wywodów. Dziś szczególnie znamienna, ale i zabawna, wydaje mi się dyskusja, w której prof. Ingarden bardzo serio bronił swej głęboko przemyślanej i nader osobistej teorii *quasi*-sądów przeciwko młodym oponentom reprezentującym przecież nie tyle osobiste przemyślenia, co zaszczepione im doktryny.

Opór „konserwatywnego" środowiska studenckiego wobec inwazji metody odsłaniającej stopniowo swój marksistowski charakter, był początkowo wyraźny, stopniowo jednak, w miarę postępującej indoktrynacji, ulegał erozji. Na tym tle powiedzieć mogę, iż obowiązek wpisywania się w związany z ideologią marksistowską, wąsko rozumiany historyzm, a także we wszędzie przenikającą problematykę realizmu (również romantycznego, co było szczególnie paradoksalne), zaciążył nad mymi naukowymi poczynaniami podejmowanymi od 1951 r. już w Instytutucie Badań Literackich. Ponieważ jednak przeszedłem uprzednio fenomenologiczną szkołę antyhistoryzmu, byłem do historyzujących interpretacji z góry uprzedzony i ulegając konieczności ich uprawiania, nie zadawałem sobie trudu przezwyciężania ich wąskości i ograniczeń. Pracując tedy w latach pięćdziesiątych nad rozprawą doktorską, nie usiłowałem ani „rozumiejąco" rozszyfrowywać jej tematu, ani liczyć się w specjalnej refleksji z mym własnym horyzontem i aparatem poznawczym. Zakres (w sensie historycznym) tej rozprawy pozostawać musiał w ścisłym związku z funkcjonowaniem IBL-u we wczesnych latach pięćdziesiątych. Dlatego moje ówczesne zainteresowania powieścią pozytywistyczną i Prusem były hamowane wyraźnym wtedy odwróceniem się ogólnej polityki ideologicznej od pozytywizmu — jako synonimu wzgardzonej pracy organicznej. Nastawała moda na romantyzm,

rozumiany oczywiście jako literacki równoważnik różnych przejawów rewolucjonizmu. Znalazłem się tedy w Pracowni Romantyzmu, po czym kwestią zasadniczą stał się szczegółowy wybór przedmiotu mojej pracy. Mój „nietaktowny" zamiar zainteresowania się gawędą szlachecką nie zyskał aprobaty ze względów „klasowych". Pomysł zaś skupienia się nad pewnym typem prozy zwanej „frenetyczną", uprawianej np. przez Dominika Magnuszewskiego, został zdyskwalifikowany jako nazbyt „formalistyczny". Skończyło się więc na monograficznym ujęciu twórczości pisarza nie odbiegającego w swej stylistyce i tematyce od normy dziewiętnastowiecznej prozy realistycznej i nie rażącego „gustu" lat pięćdziesiątych. Za sukces swój uznać mogę to tylko, że z jednej strony nie dałem się zwieść podszeptom tradycjonalistów doradzających mi dociekanie „jak autor rozumiał swe własne dzieło", z drugiej zaś — sugestiom generalnej ekonomizacji. Było to osiągnięciem w tym większym stopniu, że bohater mej pracy (Fryderyk Skarbek), będąc z zawodu ekonomistą, łączył swe literackie zatrudnienia z profesjonalnymi i pisywał np. o cenach zboża w Królestwie. Co do mnie jednak — to uchyliłem się zdecydowanie od analizowania wpływu owych cen na jego twórczość powieściową. Szczęśliwie też udało mi się nigdy nie napomknąć o „powieści jako mieszczańskiej epopei", co byłoby wówczas najbardziej na miejscu, a operując pojęciem realizmu — posługiwać się nim w sposób odmienny i szerszy niż ten, który proponowały natarczywe i długo utrzymujące się polityczne sugestie. Osobnej pracy o realizmie nigdy — chyba przez przekorę — nie napisałem, okazjonalnie jednak określałem zjawisko realizmu jako relatywne wobec akceptowanego zespołu zdań — w szczególności tez epistemologicznych.

Pisząc tu o pomyślnym finale pracy nad mą rozprawą doktorską antycypuję szereg faktów. Droga do tego finału była bowiem nader kłopotliwa, a kłopoty te w dużej mierze związane były z doktrynalnymi wymogami obejmującymi we wczesnych latach pięćdziesiątych dużą część pracowników IBL. Sednem sprawy był postulat wypracowania sobie i zastosowania takiego pojęcia realizmu w literaturze, które odpowiadałoby przyjętym przez oficjalną filozofię sposobom ujmowania historii czy „świata". Zastosowanie tak relatywizującego i swobodnego rozumienia tego pojęcia, jak wzmiankowane wyżej, było w tym okresie niedopuszczalne.

Aby skuteczniej przeszkolić w zakresie marksistowskiej metodologii adeptów nauk humanistycznych, organizowano w tym okresie starannie

przygotowywane „kursokonferencje". Jedna z nich, przeprowadzona zimą 1954, skupiła w Zakopanem duże grono starszych i młodych historyków i literaturoznawców (w tym wiele osób mających się dobrze zapisać w lepszych dla nauki polskiej czasach), by wspólnie rozważyć „problem kształtowania się polskiego narodu burżuazyjnego". Ten wyssany z „klasyków" problem nie był dla mnie łatwy do zaakceptowania, a tym bardziej do „zgryzienia", toteż mimo zamiłowania do dyskusji, nie zaznaczyłem się niczym w toku obszernych debat. Toczyły się one wszakże dość żywo, ale co do mnie, to do głównych wrażeń, jakie zapamiętałem z owej „kursokonferencji", zaliczyć muszę dwa. Jednym było żałosne poczucie niemożności opuszczenia sali obrad celem udania się w rozsłoneczniony i śnieżny świat okolic Zakopanego. Drugim — satysfakcja, jaką mi sprawił zorganizowany wspólnymi siłami wieczór humoru, który rozładowywał ponurą i nieautentyczną atmosferę sesji, odsłaniając podskórny nurt ironii towarzyszącej oficjalnym dyskusjom. Szczególnie udana i dowcipna wydawała mi się seria fikcyjnych tytułów prac uczestników sesji, takich jak: *Wokół arki Noego, czyli co ocalało z „Potopu"* — Samuela Sandlera, *Słowacki i ja. Studium historyczno-porównawcze* — Kazimierza Wyki, *Dziarskość Stefana Żółkiewskiego na tle kształtowania się polskiego charakteru narodowego* — Romana Zimanda. Paralelną serię tworzyły tytuły dedykowane wszystkim kursantom (*Droga przez mękę*, *Ludzie we mgle*, *Nie-próżnujące próżnowanie*) lub niektórym szczególnie gorliwym marksistom (*Czerwone i marne*).

Na tle tych uczonych igraszek tym wyraźniej odczuwało się groźną aurę indoktrynacji i intelektualnego przymusu. W moim przypadku owo zagrożenie rychło przybrało kształty realne, niedługo bowiem po zakopiańskiej sesji, na gruncie przesłanek dotyczących prawdopodobnie mej politycznej „niedojrzałości", przeniesiony zostałem na Uniwersytet Poznański. Jakkolwiek przeniesienie owo odczuwałem naówczas jako formę represji, praca w Uniwersytecie Poznańskim przyniosła mi niemało korzyści. Przyszło mi bowiem zstąpić z obszaru ryzykownych i często szkodliwych syntez rozwijanych w tych latach w IBL-u na konkretny grunt tradycyjnej filologii, prozaicznej, ale fundamentalnej sztuki edytorskiej, a także — co istotne — pracy dydaktycznej. Atmosfera zresztą uległa po r. 1956 wiadomym przekształceniom i uwolniwszy się od nacisku mogłem w Poznaniu pod (dość formalną zresztą) opieką prof. Zygmunta Szweykowskiego wykończyć swą pracę doktorską.

Tymczasem jednak zmieniał się też styl pracy IBL-u i życzeniem moim

stał się powrót do tego zawsze przecież żywotnego ośrodka. W r. 1962 życzenie to, dzięki pomocy przyjaznych mi ludzi, zostało spełnione i oto znalazłem się znów w Warszawie. Miejscem mego zatrudnienia nie była już jednak tym razem Pracownia Romantyzmu, lecz znacznie bardziej odpowiadający moim zainteresowaniom zespół zajmujący się poetyką historyczną. W zmienionych warunkach przestałem — jak mi się zdaje — traktować zbyt poważnie ten epizod mej drogi naukowej, w którym w klimacie tradycyjnego historyzmu pracowałem nad rozprawą doktorską. W mym ówczesnym odczuciu wtedy właśnie — mimo że dobiegłem już czterdziestki — zaczynało się moje naukowe serio. Owa postawa serio kojarzyła się dla mnie wtedy z możliwością ujmowania literatury w sposób synchroniczny, czyli myślenia, które uważałem w tym czasie za drogę wolności od napięć występujących u mnie na tle przymusu pisania monografii historycznej, ciążącego na mnie jako spuścizna po marksizmie do chwili ukończenia rozprawy doktorskiej. Ów styl myślenia podsuwał mi młody naówczas polski strukturalizm, żywo rozwijający się po wizytach Romana Jakobsona w naszym kraju i przejawiający się m. in. w organizowaniu serii znakomitych corocznych sesji teoretycznoliterackich. Opatrywanie strukturalizmu etykietą „ahistoryczności" było oczywiście błędne, ale operacja taka wypreparowywała najbardziej rdzenną część strukturalistycznego myślenia, tę część zarazem, która mnie w tym czasie autentycznie fascynowała. Strukturalizm był przy tym dla mnie atrakcyjny dzięki swej „ścisłości" i bliskości wobec stanowiących pewien wzorzec metod lingwistycznych. Moje zaangażowanie w tym kierunku badań nie było zresztą (co odnosiło się także do całego IBL-owskiego zespołu interesującego się poetyką) ani narzucone instytucjonalnie, ani podporządkowane jakiejś wyraźnie formułowanej i precyzyjnej definicji strukturalizmu. Działo się tak, jak sądzę, z tego też względu, że w naszym kręgu funkcjonowały w sposób wymienny i słabo wyodrębniony co najmniej dwie wersje strukturalizmu: językoznawcza, legitymująca się dużą tradycją i bliska stylowi myślenia szkoły tartuskiej, oraz druga — wiązana z Rolandem Barthesem i środowiskiem paryskim, którego prace już przed r. 1970 stały się u nas nie rozszyfrowanym nieraz do końca obiektem zainteresowań, nazbyt często egzaltowanych i bezkrytycznych.

Dyrektywy zatem strukturalizmu, pod których wpływem się znajdowałem, nie nosiły cech represywności. Mimo to kształtowały jakąś metodologiczną intuicję, która kazała mi powracać raz po raz szczególnie do dwóch charakterystycznych zabiegów: do budowania „matryc" przez

krzyżowanie paru opozycji oraz do opisywania jakiegoś uniwersum zjawisk drogą ustalenia jego modelowego centrum i określania całej reszty jego zawartości jako różnorodnych odchyleń czy dewiacji względem skonstruowanego modelu. Pierwszą metodę obrałem rozpatrując np. strukturę komunikacyjną utworów epickich według typów relacji zachodzących między wiedzą i orientacją społeczną literackiego nadawcy oraz jego wirtualnego odbiorcy. Podobnym zabiegiem było traktowanie (w pracy o powieści historycznej) gatunków czy odmian literackich jako różnych „języków" mieszczących się w ogólnym schemacie literackości i dających dostęp do świata literatury. Drugą metodą posłużyłem się przy opisie różnorodnych przejawów krytyki literackiej jako rozsianych wokół idealnego centrum, a także przy paradoksalnym charakteryzowaniu nowszych powieści przez określanie jej gatunków w relacji do niegatunkowego, amorficznego centrum.

Dodać może wypada, że w swym pisaniu nie zawsze wolny byłem od takich przywar intelektualistów, jak dążenie (nieraz dużym kosztem) do heglowskiej niemal symetrii i systemowości, jak zatrącające o scjentyzm dawanie przewagi zabiegom metodologicznym nad ich rezultatami, jak wreszcie unikanie „nadmiernej" prostoty. Przyjaciele i koledzy z pewną ironią reagowali czasem na moje zauroczenie strukturalizmem. W ramach żartobliwej admonicji otrzymałem np. w r. 1970 takie oto koleżeńskie życzenia od Mirosławy Puchalskiej: „posyłam Ci serdeczne w treści, a zarazem strukturalistyczne w formie życzenia imieninowe. W ten sposób oddaję Ci cześć jako protagoniście–nowatorowi, ale równocześnie usiłuję ocalić Cię jako człowieka".

Nie bez powodu też, choć w latach trochę późniejszych od apogeum strukturalizmu, i nie pod moim adresem, Henryk Markiewicz stworzył taką oto parodystyczną interpretację Mickiewiczowskich *Przyjaciół*:

> Leszek bez trudu wspina się na drzewo, Mieszek leżący na ziemi zdaje się być skazany na zagładę. Przeciwstawienie ich wymodelowane jest przestrzennie: wertykalnym ruchem w górę Leszka i horyzontalną nieruchomością Mieszka. Mamy tu więc takie opozycyjne szeregi pojęciowe: pion — natura — ruch i poziom — kultura — nieruchomość. [H. Markiewicz *Twórcza zdrada „Przyjaciół" Mickiewicza*, „Teksty" 1981 nr 6, s. 194].

Prace „strukturalistycznie" pomyślane pisywałem w różnych czasach od połowy lat sześćdziesiątych, dostrzegając w ich metodzie — w sposób uproszczony tu scharakteryzowanej — drogę zdobywania elementarnej orientacji na różnych obszarach. Z czasem jednak czynności opisywanego typu traktować zacząłem z coraz większą rezerwą jako operacje

wymagające jakiejś relatywizacji lub ujęcia w ramę poznawczą, modyfikującą ich walor. Przesłanki dla takich relatywizacji badań „obiektywnych" wystąpiły u mnie dość wcześnie, choć nie zdawałem sobie wtedy sprawy z ich znaczenia. W r. 1966 recenzując poważną książkę teoretycznoliteracką, pisałem na temat całości zawartych w niej wywodów: „jeśli mowa o sferze świadomości literackiej (...) należy sądzić, że poczynania naukowe pracy traktowane być muszą jako umieszczone (...) poza czy ponad tą sferą". Wyprowadzałem stąd wniosek, że „występujące w książce zespoły twierdzeń (...) nie chcą być traktowane jako nawarstwione elementy tradycji, lecz oceniane wyłącznie merytorycznie" („Pamiętnik Literacki" 1966 z. 3, s. 343). Zaplecze takiej opinii stanowiło niewątpliwie przekonanie, że autor pracy nie liczy się z faktem, iż wypowiadający sądy o pewnej sferze świadomościowej nader często się w nią włącza, będąc zarówno określonym z góry podmiotem swych mniemań, jak i uczestnikiem tej sfery. Uważałem, że wszelkie „posunięcia" dokonywane przez autora takich sądów są zarówno czynnościami uwarunkowanymi przedmiotowo, jak i próbami naruszenia pewnego stanu rzeczy. Nie atakowałem wprost merytoryzmu omawianych wypowiedzi, ale postawę czysto merytoryczną, pozapodmiotową uważałem za niewłaściwą czy niemożliwą w rozważaniach nad świadomością literacką. Znajdowałem się tu, jak dzisiaj mi się zdaje, na pograniczu hermeneutycznego rozróżnienia: z jednej strony — nauki uprzedmiotowiającej, izolującej obszar mentalny badacza od jego przedmiotu, z drugiej strony — interpretacji dokonywającej fuzji obu obszarów. Wszystko to nie było jednak jasno sformułowane, zważywszy że w okresie tym trudno było mówić o wyraźnych wpływach hermeneutyki u nas, ani tym bardziej o moich lekturach z tej dziedziny.

Wątpliwości, jakie wzbudziła we mnie omawiana książka sprawiły, iż jednocześnie zakwestionowaniu ulegała bliska mi od dawna tendencja do zewnętrznego, referującego ujmowania zjawisk świadomości literackiej, usuwająca często na dalszy plan bezpośrednie i nacechowane indywidualnie zainteresowanie nielicznymi, ale starannie wybranymi problemami. Dziś sądzę też, że moja ówczesna krytyka pracy zbudowanej zapewne na podłożu pozytywistycznym stanowi zarazem sygnał zastrzeżeń wobec wszelkich obiektywistycznych badań literackich, nie określających własnych uzależnień i zmierzających do ich transcendowania. Nie podobna jednak ukrywać, że taka świadomość krytyczna nie dotyczyła mimo wszystko mnie samego, mej praktyki badawczej,

opartej o zasady strukturalizmu, skoro równolegle kontynuowałem ją bez zastrzeżeń. Niemniej, gdy w niewiele lat po omawianej recenzji stanęło przede mną zagadnienie odniesienia do siebie trzech typów tekstów: literackich, historycznych i stanowiących tzw. źródła historyczne, próbowałem zaproponować pomysły akceptujące właśnie relatywność różnego typu wypowiedzi. Istotą tych rozważań było aspektowe, tj. niesubstancjalne ujęcie tekstów i przypisanie im charakteru relatywnego — widocznego w historycznych transformacjach, jakim mogą ulegać. Przeciwstawiając teksty o charakterze historycznym — tekstom noszącym cechy bądź wypowiedzi literackich, bądź źródeł historycznych, myślałem z jednej strony o obszarze komunikatów podporządkowanych prawom wypowiedzi naukowych, z drugiej — o obszarze wypowiedzi podległych prawom przedmiotów interpretacji. Uznanie tekstu za wprowadzony w krąg interpretacji uzależnione przy tym było od warunków związanych z interpretatorem. Łącząca się z tymi rozważaniami problematyka poznania historycznego interesowała mnie przez szereg lat, co skłoniło mnie w końcu do naszkicowania poetyki powieści historycznej.

Streszczam tu swoje myśli zainicjowane około r. 1975 dlatego głównie, aby wskazać na trudność właściwego określenia teoretycznego miejsca moich pomysłów i nadania im odpowiedniego kształtu w sytuacji, gdy napływały do nas nader różne idee teoretyczne, ale orientacja całościowa w ich obrazie nie była łatwa — zwłaszcza gdy po informacje z dziedzin nie najbliższych filologowi sięgało się do wątpliwych podręczników metodologii historii czy wprowadzeń do semantyki. Wydaje mi się dziś niemal pewne, iż gdybym w okresie pisania omawianej rozprawy znał koncepcje hermeneutyki, nie tylko na podstawie przypadkowych przekładów, a także, gdybym posługiwał się pojęciem intertekstualności, sformułowałbym swe idee sprawniej i wprowadziłbym je we właściwe odniesienia. Że tak się nie stało, stanowiło oczywiście moją winę, ale źródłem jej była ogólna atmosfera związana z modą naukową. Na orientację, jaka byłaby tu pożądana, przyszła pora dopiero w kilka lat później.

Od kilku lat natomiast, tj. już przed r. 1970, sprawą centralną w polskiej refleksji teoretycznoliterackiej stała się nie sama interpretacja literatury, lecz różnie rozumiana i nazywana komunikacja literacka. Agresywność i zaborczość tej problematyki była wtedy ogromna, a proteuszowa jej wielokształtność zacierała wspólne rysy różnych jej ujęć. Sprawa komunikacji literackiej tkwiła w istocie już w Ingardenowskim pojęciu konkretyzacji, o czym, rzecz dziwna, wówczas nie myślałem, nie w tym

bowiem sensie mówiono wówczas na ten temat, lecz zazwyczaj w rozumieniu najbliższym podstawowej tradycji semiotyki strukturalnej, tj. jako relacji kodu nadawcy i kodu odbiorcy. Mówiąc nawiasem, jedynie przyjęcie takiej (a nie Peirce'owskiej) semiotyki jako bazy porozumienia, pozwala na precyzyjne mówienie o komunikacji literackiej. Nieco inny aspekt sprawy ujmowała rozumiana immanentnie socjologia literatury — kreująca pojęcie wirtualnego odbiorcy i inne byty właściwe wewnętrznej sytuacji literackiej. Inny jeszcze — rozwijała socjologia samej lektury. Natrętność „komunikacyjnego" ujmowania literatury i uparte stosowanie pewnej terminologii w sposób oczywisty stało się pobudką do powstawania tekstów parodiujących tę metodologię. Oto dwa przykłady związane z jedną z teoretycznoliterackich konferencji (r. 1980):

C. K. Norwid [Stanisław Balbus]

Do *** J. L.

Daj mi tę wstążkę błękitną —
Oddam ci ją — bez retardacji,
Bom jej odbiorcą wirtualnym tylko —
bez dania racji

Albo mi lepiej tej wstążki nie dawaj!
Sam sobie z-daj sprawę łaskawco,
że nie przystoi ci nawet zostawać
błękitnej wstążki nadawcą

Q. Horatius Flaccus [Włodzimierz Bolecki]

Exegi monumentum...

Nie wszystek umrę, o nie! Bo przecie
Mój podmiot przetrwa na tym świecie
I zaplątany w sieć relacji
Wewnątrztekstowej komunikacji,
w wirtualnego wpatrzony odbiorcę
Będzie antyczne głosił wzorce,
Pełen nadziei, że może zachęci
Do głosu znawcę na konferencji.

W pewnym momencie szczególnie intensywne okazało się u nas oddziaływanie niemieckiej estetyki recepcji z Mannheimowsko-Jaussowską teorią horyzontów. Rodowód hermeneutyczny tej ostatniej słabo, jak mi się zdaje, był w Polsce dostrzegany, praca bowiem Jaussa *Historia literatury jako wyzwanie rzucone nauce o literaturze* ukazała się w (częściowym)

polskim przekładzie, zanim jeszcze doszło do popularyzacji tez hermeneutyki — traktowanej często po prostu jako umiejętność interpretacji indywidualnych dzieł. Bardzo mała też była wtedy w Polsce znajomość odradzającej się na Zachodzie retoryki, którą również można przecież uważać za formę literackiej pragmatyki czy teorii komunikacji.

Mój udział w tym jakże złożonym ruchu teoretycznym sprowadzał się, obok czysto sprawozdawczej relacji (dla cudzoziemców) o problematyce odbioru literackiego w Polsce, do odczytów o retoryce, których jako działań popularyzatorskich nie publikowałem, i wreszcie do wymienionego już artykułu o komunikacji w utworach narracyjnych, bazującego na swoiście rozumianej socjologii literatury. Wracając jednak po latach do tych dawnych spraw, zmierzam przede wszystkim do określenia mej postawy, jaką chciałem naówczas zająć wobec istotnej alternatywy. Ujęcia bowiem komunikacji literackiej wpisujące się w rodowód strukturalistyczny akcentowały relacje kodów czy konwencji (a więc tworów systemowych), którymi mieli dysponować immanentni nadawcy i odbiorcy tekstów literackich, traktowanie natomiast owej komunikacji jako fuzji horyzontów podkreślało wzajemny wpływ i dwustronną modyfikację tworów procesualnie zmiennych i wzajemnie się dostrajających. Te dwa stanowiska próbowałem zintegrować w mej pracy w mniemaniu, że reprezentują one podstawowe wersje tej samej kwestii mieszczącej się w obrębie pragmatycznego aspektu literatury. Trzeba jednak przyznać, że jeszcze i wtedy (a był to r. 1985) nie wchodziłem w bezpośredni kontakt z hermeneutyką, pozbawiając tym samym moje wywody istotnego zaplecza teoretycznego. Trudno bowiem pominąć fakt, że na jakości tej rozprawy zaważyła niekorzystnie okoliczność, iż opierając się na Jaussowskiej teorii horyzontów, nie podkreśliłem wtedy wyraźnie pokrewieństwa, jakie zachodzi między tą teorią a zasadami hermeneutyki, a także — dynamiczną, „trójpolową" semiotyką Peirce'a, pozostając stale pod wpływem semiotyki systemowo-relacyjnej. Semiotyka dynamiczna czy aktywistyczna zainteresowała mnie naprawdę dopiero później, po zetknięciu się bliższym z poststrukturalizmem i nowymi prądami w językoznawstwie negującymi „obiektywizm" lingwistyczny.

Ogólnie biorąc, moje kontakty z hermeneutyką rozwijały się powoli i z oporami, jakkolwiek stopniowe przemijanie ery strukturalizmu sygnalizowane było w latach siedemdziesiątych choćby na łamach „Tekstów". Zjawisko to chciałbym zilustrować na przykładzie referatu wygłoszonego w r. 1986 w Toruniu na konferencji poświęconej badaniu

fabuł i nie opublikowanego w odpowiedniej księdze w związku z wątpliwościami charakterystycznymi dla mojej teoretycznej sytuacji. W zaprezentowanej w mym referacie propozycji dotyczącej analizy prostych fabuł posługiwałem się zarówno pojęciem zdarzeń fabularnych, jak i pojęciem ról narracyjnych. Istotą jednak mych rozważań było sytuowanie zdarzenia fabularnego w „ramie probabilistycznej" oraz traktowanie całości opowiadania w sposób pragmatyczny i procesualny, tj. ujmowanie go jako serii „zagrań" i potencjalnych „przeciwzagrań" odbiorcy. Analizie takiej poddawać można dowolne opowieści baśniowe, uznałem więc za właściwe uczynić przedmiotem takich rozważań biblijny mit Izaaka. Rezultaty wydawały się zachęcające, bo biblijna opowieść złożona z informacji krótkich i występujących w określonej formie językowej — a nie wywiedzionych z różnorodnych wersji, jak w baśni — dała się łatwo segmentować i niejako inkrustować kolejnymi odbiorczymi „przeciwzagraniami". Interesujące było przy tym rozpatrywanie poszczególnych faz opowieści z uwagi na ich „ramę probabilistyczną".

Mimo tych wszystkich okoliczności krytyczne spojrzenie na naszkicowany proceder badawczy pozwala skonstatować, że wszelkie odbiorcze „przeciwzagrania" typu np. czytelniczej opinii, że „Jahwe domaga się czynu sprzecznego z ogólnoludzkim poczuciem moralnym" oraz wszelkie sądy na temat prawdopodobieństwa różnych członów akcji badanej opowieści biblijnej osadzone są w historycznym Teraz interpretatora. Że zatem zmierzać należy bądź to do „rozumienia" mitu Izaaka w sensie (nader problematycznej) historycznej rekonstrukcji, bądź też usiłować „wzbogacić się" treścią tego mitu przez dokonanie hermeneutycznej fuzji dwu horyzontów. Stało się więc jasne, że analiza strukturalistyczna, która zastosowana np. do opracowania baśni o Kopciuszku mogła — lekceważąc rozszyfrowywanie jej semantyki — okazać się w pewnym sensie jałowa, ale nieszkodliwa, w przypadku mitu o bogatych treściach moralno-historycznych stanowić mogła jedynie zabieg pomocniczy, omijający istotny cel interpretacji. Taka opinia, w stylu Ricoeurowskiej teorii interpretacji, zniechęciła mnie, generalnie biorąc, do tego kierunku badań strukturalistycznych, który wciąż owocuje tak często spotykanymi, np. na łamach pism „Poetics" czy „Lili", pracami z zakresu narratologii generatywnej. Skłoniło mnie to do rezygnacji z ogłoszenia szkicu i do podjęcia ponownych przemyśleń poruszanych zagadnień.

Ostatecznie, ujęcia hermeneutyczne, zawieszone w stosunku do interpretacji mitu biblijnego, doszły u mnie do głosu tam, gdzie horyzont

interpretatora mógł być odsłonięty bez odwoływania się do arbitralnych domniemań, w oparciu jedynie o oczywistą tradycję. Stało się to w interpretacji *Lalki*, gdzie autor nowej wykładni prezentował się po prostu jako ten, który nie jest czytelnikiem „czystym" i pierwotnym, lecz zna odczytania dawniejsze i jest przez nie określony i ograniczany. Ujęcie takie zostało jakby uogólnione w mojej analizie „lektury wielokrotnej" jednego tekstu. W lekturze takiej historyczna określoność interpretatora zastąpiona została przez jego wielowarstwowość wyznaczoną kolejnymi lekturami. W pracy tej inspiracja hermeneutyczna skrzyżowała się z pewną ideą Ingardena — jedną z nielicznych, które posłużyły mi jako pozytywne wskazania analityczne. Ideą tą była tendencja (wzięta zresztą z Husserlowskiej fenomenologii czasu) do opisywania lektury jako narastania elementów, które w każdym momencie przekształca perspektywicznie odczytaną już część dzieła, rodząc nieustannie nowe i same w sobie ważne przekroje utworów. W pracy tej aktualne wszakże pozostały dla mnie obyczaje czy nawyki strukturalistyczne. Tak np. mówiąc o przedstawianiu w literaturze procesów w opozycji do ukazywania „nieprocesów", uważałem za właściwe przypisać zarówno procesom, jak i „nieprocesom" — możliwość ich procesualnej lub nieprocesualnej prezentacji.

Odnotowany w tych wspomnieniach stan mych intelektualnych konfliktów czy kłopotów mieścił się w ramach dylematów ogólniejszych, sprowadzających się do wątpliwości wobec kwalifikowania tego, co może stanowić czynności filologa jako operacji naukowych. Ponieważ nie chodzi mi tu o merytoryczną argumentację, lecz o odnotowanie osobistych intelektualnych niepokojów, sprawę tę przedstawię w formie paru alternatyw, o których częściowo już była mowa, ale które stanowiły dla mnie powracające lejtmotywy. Podstawowa alternatywa wiąże się ze sporem pomiędzy tradycyjnym i niekoniecznie wpisanym w teorię nauki przeświadczeniem o neutralności roli badacza a wzbudzanymi przez hermeneutów refleksjami nad udziałem własnych uwarunkowań w osiągniętych wynikach. Czyżby więc — pytałem nieraz — wiedząc o tym zjawisku, należało badania te kultywować w imię Ricoeurowskiego ideału stworzenia amalgamatu kulturowego poszerzającego naszą świadomość, czy też raczej zmierzać do „obiektywnej" historycznej rekonstrukcji?

Podejmując zagadnienie naukowej neutralności i podważając jej prawdopodobieństwo, rezygnuje się zarazem z właściwej naukom *sensu stricto* zasady rozwoju linearnego, kumulatywno-eliminacyjnego. I tu pojawia się różnica w zakresie pojęcia tradycji. Traktowanie bowiem tradycji

jako uporządkowanego wyboru elementów kultury nie jest wolne od stylu myślenia właściwego naukom ścisłym i porównywane być może z budowaniem tzw. kontekstu uzasadniania. Inny natomiast sposób myślenia o tradycji (za którym optowałem w referowanych, ale nie ogłoszonych dotychczas wywodach) ujmował ją jako zjawisko synkretyczne, jako zbiór elementów dobieranych według zasad różnych i bynajmniej nie podsumowywanych przez usystematyzowane postulaty. Tak rozumiana tradycja byłaby zjawiskiem porównywalnym z tzw. kontekstem poszukiwania.

Z tendencją do przeciwstawiania się koncepcji linearyzmu w naszej dyscyplinie, w imię rozwoju wielokierunkowego, zasady — jak ją nazwałem pisząc na ten temat w „Tekstach Drugich" — „pączkowania", wiążą się różnorodne, bliskie mi w ostatnich czasach refleksje „antynaukowe", zbieżne z procesem erozji badań strukturalistycznych. Chodzi tu częściowo o wątpliwości co do nauki o literaturze wypełniającej zaplanowane z góry zobowiązania, których realizowanie dowodzi zarówno oficjalnego „szacunku" dla przedmiotu badań, jak i swoistej chęci uwolnienia się od niego czy uporania się z nim — w imię zaspokojenia biurokratycznego upodobania do wszelkich uporządkowań. Upodobanie to, bliskie strukturalizmowi — przymierzającemu teksty do ustalonych systemów znakowych, stoi na przeciwnym biegunie wobec intencji do nie kończącego się, niespokojnie aktywnego obcowania z tekstami. Wątpliwości takie dotyczą zatem instytucjonalizacji nauki i przerostu jej środków nad celem naukowych poczynań, które miałyby wykraczać poza jej wewnętrzne reguły i potrzeby. Cóż zatem stanowić by miało ów cel? Jakakolwiek jest tu odpowiedź, a podstawowe kierunki filozofii i metodologii nasuwają ich wiele, to trudno, jak sądzę, za cel naukowej refleksji nad literaturą uważać dziś zdobycie informacji, uniknięcie nieładu i dezorientacji i zapanowanie pojęciowe nad pewną przestrzenią kulturową. Innymi słowy, naukowe „uprzedmiotowienie" pewnej sfery zjawisk. Nie chodzi dziś już zatem ani o sprostanie ścisłości prawdziwych nauk, ani o nadążenie za bogactwem płynących z różnych stron inspiracji. O co zaś chodzi naprawdę? Można by sądzić, że odpowiedzi na to pytanie poszukuję w tekstach Heideggera, bowiem w moich „antynaukowych" animozjach łatwo jest odnaleźć inspiracje *Wstępu do metafizyki* czy *Czasu światoobrazu*.

Jest jednak inaczej, przejmując się bowiem Heideggerowskimi negacjami — choć nie wczuwając się w skrajnie antytechnicystyczne stanowisko

Heideggera — nie umiem czy nie próbuję wczuć się w pozytywy jego filozofii. Funkcję twierdzeń, jakie przeciwstawić można ideałom naukowości, pełnią raczej dla mnie w tej chwili niektóre koncepty wywodzące się zapewne z poststrukturalizmu, jakkolwiek kierunkowi temu nie podobna przypisać konsekwentnego układu podstawowych tez. Na miejsce rozgraniczania obszarów odmiennych co do substancji, funkcji i praw rozwoju, a więc z jednej strony terenu tekstów literackich, z drugiej — literaturoznawczej refleksji, której celowość i przydatność budziła moje różnorodne wątpliwości — rad byłbym wyobrażać sobie swoisty świat synkretyczny. Świat, w którym wymienne są role twórców i badaczy, wymienialny status podmiotowości i przedmiotowości, relatywna hierarchia semantyczna tekstu, Uniwersum, w którym nie ma powodów zmierzać do poszukiwania znaczeń i uogólnień, skoro można interesować się jednorazowością, wieloznacznością i bezsensem, a przede wszystkim odnosić się w sposób aktywny do tekstów. Teren, na którym zamiast linearnego rozwoju pojawia się zasada chaotycznej proliferacji, a zachwiane jest pojęcie programu działań, służących mu narzędzi i ich nadrzędnego celu. Świat taki, w którym rządzi nie koncentryczne uporządkowanie, właściwe poczynaniom naukowym, lecz jakby nieustanna dygresyjność — mógłbym nazwać „światem literackości". Dążeniem zaś wielu partycypujących w nim podmiotów — zarówno twórców, jak i badaczy literatury — byłaby nie tyle realizacja określonych zadań i przyczynianie się do jakiegoś ukierunkowanego rozwoju, ile sama obecność w tym świecie.

Przyjąwszy takie hipotetyczne założenie, zmuszony wszakże jestem zapytać o ewentualne swoje miejsce w kręgu czynności, jakie pociąga za sobą partycypowanie w takim uniwersum. Czyżbym np. zobowiązany był opanować taki język naukowy, w którym pomieściłyby się i były mało rozróżnialne składniki zwane zazwyczaj naukowymi i elementy tzw. literackości? Zapewne są dzisiaj naukowcy władający takim językiem. Dla siebie jednak wybrałbym inne rozwiązanie. Wymagałoby ono wszakże zastanowienia się nad tym choćby, w jaki sposób połączyć właściwości owego uniwersum z Ricoeurowskim, w zasadzie hermeneutycznym, trójfazowym schematem interpretacji — uwzględniającym wstępne, naiwne „domyślanie się", strukturalistyczne wyjaśnianie i w końcu przejście do semantyki głębokiej, odsłaniającej to, „o czym się mówi", na tle tego, „co zostało powiedziane". W całym owym zespole czynności tym, co mógłbym wykonywać, byłoby mimo wszystko, jeśli już

używamy tej terminologii, nie tyle odsłanianie tego, „co zostało powiedziane", ile strukturalistyczne wyjaśnianie tego, „co się mówi" — oczywiście przy całej świadomości hermeneutycznej ramy tych operacji. Być może — i tu czynię małą retrospektywną dygresję — nie bez racji mógłbym zapytać, czy taki stan rzeczy jest w mej naukowej biografii czymś nowym, czy też jakąś kontynuacją. Opowiedziałbym się za tym, że jest to raczej kontynuacja, myślę bowiem, iż powody, dla których przydarzyło mi się poddać bliższej interpretacji jakieś dzieło literackie, bywały dwojakie. Albo niepokoiła mnie jego specyficzna komplikacja, osobliwe bogactwo różnych składników, trudna dostępność. Było tak w przypadku *Rękopisu znalezionego w Saragossie* i *Kosmosu,* a także, co brzmi może paradoksalnie, *Pamiątek Soplicy*. Albo też pobudzały mnie obce sądy interpretacyjne lub oceniające — niesłuszne moim zdaniem wobec takich twórców, jak Żeromski czy Kraszewski. Tak więc moje próby odczytywania konkretnych tekstów płynęły głównie z traktowania ich jako przedmiotów do rozszyfrowywania lub z nastawienia na dotyczące ich opinie, w mniejszym zaś stopniu z fascynacji ich semantyką. Nie znaczy to bynajmniej, że fascynacja taka nie istniała, i że nie miała swego udziału w doborze rozpatrywanych utworów. Należała jednak do zakresu mej prywatności i czynności, jakie wykonywałem występując w mej badawczej roli, nie tej sfery przede wszystkim dotyczyły, a więc nie tego, „co zostało powiedziane", lecz tego, „co się mówi". Takie oto określenie mej naukowej roli wydaje mi się dziś aktualne i, nawiązując do terminologii Ricoeura, winienem raczej — w miarę mych możliwości i danego mi czasu — pozostawać przy metodzie, która nie sięga może do semantyki głębokiej i w niewielkim stopniu „poszerza horyzont egzystencji". Dziedzicząc elementy zaczerpnięte ze strukturalizmu, metoda ta przynosi na miejsce tamtych wartości — może nawet niezależnie od jakości interpretowanych tekstów — satysfakcje takie, jakich doznaje nie tyle *homo philosophicus*, ile człowiek zainteresowany sprawnym stosowaniem pewnych przyswojonych umiejętności. Czyżby więc — po różnych metamorfozach i konfliktach — znów przewaga metody nad przedmiotem, znów odnowa poznawczego minimalizmu?

Od redakcji: Jest to zmieniona wersja tekstu przedstawionego 16 grudnia 1991 r. na uroczystym zebraniu Pracowni Poetyki Historycznej IBL z okazji jubileuszu Autora.

Archiwalia

Nowaczyński i Brzozowski o Berencie. Inedita z archiwum „Przeglądu Tygodniowego"

W Bibliotece Publicznej m. st. Warszawy — Archiwum „Przeglądu Tygodniowego", sygn. 2607, akc. 361 — zachował się szkic Adolfa Nowaczyńskiego o Wacławie Berencie. Na karcie tytułowej dopisano nadtytuł cyklu: „Młoda Polska". Sześć kart (1–5, 7) białego papieru, ponumerowanych odręcznie, zapisano atramentem czarnym jednostronnie. Na wolnej stronie karty 7 znalazł się odręczny list do redaktora „Przeglądu Tygodniowego" Adama Wiślickiego:

Szanowny Panie Redaktorze,
Przesyłam sylwetkę Wacława Berenta z prośbą o szybkie wydrukowanie. Przeszlę jeszcze o Stanisławie Lacku krytyku i Konstantym Krumłowskim ludowym piosenkarzu. Prosiłbym tylko o przesłanie mi łaskawe honorarium za sylwetkę Adama Łady i Wacława Berenta, oraz o zeszyty „Przeglądu Tygodniowego" z tymi sylwetkami. Zarazem przypominam obiecany mi zeszyt z studium o Henryku Becquem.
Podając adres mój pozostaję z głębokim szacunkiem

A. N. Nowaczyński

Sylwetka ta, przeznaczona do cyklu „Młoda Polska", ostatecznie nie została wydrukowana. Powstała prawdopodobnie pod koniec 1900 roku. Jak wynika z listu, Nowaczyński zamierzał dłużej współpracować z pismem, jednakże prócz sylwetki Adama Łady, opublikowanej w nrze 40 [23 IX (6 X)] „Przeglądu Tygodniowego" z 1900 roku, ukazała się jedynie

sylwetka K. Krumlowskiego w nrze 14 [24 III (6 IV)] z 1901 roku. Uwagi w nawiasach kwadratowych pochodzą od wydawcy — Ryszarda Nycza, który tekst ten — jak i kolejny, pióra Stanisława Brzozowskiego — opracował i opatrzył przypisami. Pisownię zmodernizowano zachowując osobliwości stylu Nowaczyńskiego.

Wacław Berent

I ten zamilkł już od trzech przeszło lat.[1] Zamilkł jeszcze *Fachowcem* namiętnym jak to mówią społecznikiem, rzucił pióro jeszcze w wzorowej fazie warszawskiego „etudianta"[2], pełen partykularnych bólów i cierpień, pełen okolicznościowych idei młodzieńczych, rzucił pióro maczane w tym samym atramencie, którego używa Prus, aby działać dodatnio, moralnie, aby pobudzać, zagrzewać, pouczać tych, co się ani pouczyć, ani zognić, ani podniecić łatwo nie dają. *Care illuzioni*, drogimi majaczeniami nazwał Leopardi prześlicznie te niepoprawne a tak piękne optymizmy młodzieńcze tych, którzy wyzbywają się zasadniczej i jedynej walki o siebie, tylko o siebie, którzy negują w sobie przyrodzoną faktyczną wolę do szczęścia i potęgi, lekceważą bujny rozrost indywidualnego ja swego temperamentu, unikają rozkoszy wytwornego egoizmu i paląc wszystkie mosty za sobą[3] idą w życie jak ten marynarz Goethego, co rusza w świat o pełnym żaglu, aby wrócić złamanym starcem na zdruzgotanej łodzi. Wacław Berent ruszył w świat wprawdzie bez młodzieńczego upojenia się pięknym światem i pięknymi ludźmi stworzonymi na obraz i podobieństwo... wzajemne; mając szesnaście lat[4] nie odrysował sobie swych obserwacji i doświadczeń różową kredką na zeszytach kaligraficznych, o nie! Wtedy, kiedy inni są jeszcze dziecięcymi paziami, zgrabnymi efebami, świeżutkimi kochankami cierpiącymi na poezję i blednicę pensjonarek, kiedy zadatek przyszłości, narybek gimnazjalny nadsłuchuje pierwszych wieści z prawdziwego olbrzymiego świata, wieści o miłości i o prostytucji, on, młody Warszawiaczek o czupurnej fryzurze stronił już od romansujących z dziećmi w spódniczkach dzieci i zamykał się sam, i myślał, już wtedy myślał nad tym wielkim dystansem między konwencjonalnymi praw-

[1] Ostatnim większym utworem opublikowanym przed *Próchnem* było studium opisowe pt. *W puszczy*, wydane w „Bibliotece Warszawskiej" 1896 t. IV. „I ten zamilkł..." — nawiązanie do uwag w szkicu o A. Ładzie, którego pierwsze zdanie brzmi: „Od dwóch lat przestał już pisać, a liczy sobie 24 rok życia".

[2] *étudiant* (franc.) — student

[3] W rękopisie omyłkowo: przed sobą.

[4] W 1889, po ukończeniu siódmej klasy szkoły realnej Wojciecha Górskiego, Berent wyjechał na studia do Zurichu.

dami, kładzionymi w ucho dziecka o dobru, pięknie, sprawiedliwości, nieomylności, karze, nagrodzie etc. a... Warszawą, życiem. Berent był urodzonym pesymistą, tak jak rodzą się na świecie optymiści, chorzy z urojenia, jak bywają urodzeni muzycy, matematycy, urodzeni podfilipscy, urodzeni bezdomni. Berent należy też do tej coraz liczniejszej rodziny nieuleczalnych idealistów, rycerzy śmiesznych z Manczy, którzy wsiadłszy na wychudłego rumaka, Rosynanta jakiejkolwiek altruistycznej idei wyruszają z śmiesznymi ruchami średniowiecznych Abelardów na wojnę z wiatrakami... na krzyżowe wyprawy przeciw wszechmożnemu industrializmowi. Lata w lata brutalny, bezgraniczny egoizm burżuazyjnego molocha rośnie, potężnieje, staje się bezczelnym i zaczepnym; bogactwa gromadzone w sferach, a raczej już w kastach, a nędza ogarniająca i zalewająca już całe bezbrzeżne piaski ludzkich jestestw — wytwarzają na granicznej linii obu kontrastów socjalnych organizacje psychiczne ewangelicznego pomazania, ludzi nazareńczyków, bezdomnych doktrynerów, anachroniczne, dziwne, ogólnie wydrwiwane anomalie ludzkie, które wśród tej coraz bardziej zajadłej i już rozbestwionej walki o byt jak najmilszy, najświetniejszy i najweselszy, wyglądają jak tych dwunastu wynędzniałych, zbiedzonych, obdartych apostołów Królestwa Bożego na ziemi, umieszczonych trafem na dworze Sardanapala, Heliogabala, Ludwika XIV, czy też w pałacu któregoś z londyńskich nababów bankierskich. Och, jakżesz smętnie powtarza się w każdym nowym dniu nowych kultur ten niezgrabny przechodzień, zawadzający nam na drodze spokojnego, głupiego, filisterskiego żywota, ten Uriel Acosta, ten dr Stockman, ten dr Judym, ten „fachowiec" Berenta. Antypoetyczne to dusze, jakieś zaświatowe i niedzisiejsze, głowy gorące i rozczochrane, spojrzenia zuchwałe a entuzjastyczne, serca otwarte i bolejące a ubrania... nędzne i wytarte, a maniery... gwałtowne i cygańskie, a styl życia... biblioteczny i kawiarniany, a plany na przyszłość... fantomy ogólnego szczęścia, fatamorgana jak największego bogactwa dla jak największej liczby ludzi. Fe! fe! fe!
[*wyraz nieczytelny*] Trybuni fantasmagorii nazareńskich! Wczorajsi! Dla Wacława Berenta z owych czasów, kiedy to szesnastoletni emigrant wrócił z Szwajcarii do Warszawy dwudziestoletnim doktorem nauk przyrodniczych, od obcych (?) do swoich (?) i zabierał się do szukania „fachu"[5], dla tego entuzjasty swych nauk i szermierza poważnych wiadomości z dziedziny biologii, dla takiego egzemplarza ludzkiego,

[5] Studia biologiczne ukończył Berent w 1895 doktoratem z zakresu ichtiologii. Po powrocie do Warszawy istotnie szukał pracy (w szkołach, na wydziale przyrodniczym UJ i gdzie indziej), w jej znalezieniu przeszkodziło mu m. in. wcześniejsze ukończenie szkoły średniej, bez uzyskania tzw. matury filologicznej.

który w nauce widzi boginkę i niebiankę a nie tuczną dojną krowę — Warszawa, ludzie warszawscy i kultura warszawska przybierać zaczęły powoli, ale nieubłaganie kontury i koloryt... Żeromskiego: Cisów (*Ludzie bezdomni*). Duszna, przygniatająca atmosfera miejsca kąpielowego, w którym duchowe rządy wiodą ludzie zimni, sztywni, trędowaci i nierządni. I wtedy napisał Berent szeroką i przegadaną, przedialogizowaną i szarą, nudną a tendencyjną, doktrynerską i rzeczywiście wcale nie artystyczną powieść pod mało nawet obiecującym tytułem: *Fachowiec*. Pamięta ją wielu, kilkołokciowe felietony zamieszczali o niej rozmaici panowie i panie, z autora zrobiono interesującego pana, który „podobno, słowo honoru", przeszedł to wszystko, co jego bohater[6], to znaczy otumanił się kretyńską ideą wylęgłą w dziennikarskim mózgu, ideą rzemieślniczej pracy inteligentnego człowieka i parodiując angielski katechizm W. Morrisa wstąpił do fabryki jako... robotnik w bluzie. Nie, tak interesująco dla warszawskich melodramatyków i dla warszawskich panienek, tak efektownie a dramatycznie z autorem *Fachowca* się niestety nie działo. Przecierpiał, przemyślał i napisał... słabą, ciepło-zimną, felietonistyczną satyrę oklepanego hasła pracy organicznej w tych warunkach jakie daje Warszawa i w jakich postawiony jest bohater *abc*, w tym wypadku Kazimierz, ach oczywista Kazimierz, bo nie Stanisław[7]. Powieść tendencyjną, dającą aktualny morał i oświetlającą lokalne piekące kwestie krytyka gazeciarska, a więc miarodajna, sławorodna, sztuce wroga, każda krytyka wielkomiejska przyjmie z otwartymi rękami. *Fachowca* przyjęto nadto ze staropolską gościnnością, zrobiono z dzieła (które powinno było być dziełem sztuki) doktrynerski argument w kwestiach zarobkowania, przeciążenia, hyperprodukcji inteligencji etc., a autora sztucznie wyśrubowano do wysokości „inteligentnego gawalewiczostwa"[8], otrąbiono „młodym Prusem", podniesiono na tarczę w obozie społeczników, a po krótkim czasie z tarczy zrzucono. „Taki los wypadł nam..." Berent nadto napisał nowelę: *Nauczyciel*, która jest

[6] Por. np. przypuszczenie wysunięte przez T. Jeske-Choińskiego: „P. Berent patrzył niezawodnie z bliska na «fachowców», inaczej bowiem nie odtworzyłby tak dokładnie życia fabrycznego. Czuć wszędzie, że czerpał ze skarbnicy osobistego doświadczenia. Jako kartka wyrwana z księgi złudzeń i cierpień ludzkich posiada jego *Fachowiec* wartość dokumentu autentycznego" („Przegląd Polityczny, Społeczny i Literacki" 1895 nr 237).

[7] Być może aluzja do niepotwierdzonych informacji o poczynaniach brata Wacława, Stanisława Berenta, który również studiował zagranicą, a po uzyskaniu doktoratu z matematyki na uniwersytecie w Lozannie w 1903 powrócił do Warszawy, by przejąć kierownictwo firmy optycznej. Sporo informacji na ten temat, pochodzących z relacji rodzinnych, zawiera opowieść H. Muszyńskiej-Hoffmannowej *W kręgu Berenta*, Łódź 1986.

[8] Wbrew sugestiom znaków cudzysłowu Nowaczyński streszcza tu ogólnie poglądy recenzentów, nadając im postać obiegowych formuł krytycznych.

rodzoną, wątłą siostrą powieści *Fachowiec*, opisał przepysznie Puszczę Białowieską[9], pracował felietonistycznie[10], po czym zamilkł... usunął się... znikł.

Osiadł w Monachium. I tu gdzieś, kiedyś, przy nadarzonej trafem sposobności, starą skórkę warszawskiego doktrynera z siebie ściągnął i sprzedał. Nie wiedzieć, czy przy piwie bez namysłu, czy przed obrazami Böcklina, czy przed kartonami Klingera, czy z tęsknoty za ojczyzną, ale tą inną, pejzażową, nieuchwytną, tęskną jesienną ojczyzną, której symbolem wierzba a nie kogut, może z tęsknot za Białowieżą, ale w każdym razie nie za Warszawą, wyłaniał się poeta jak feniks z popiołu rezygnacji i deziluzji. W Niemczech, a potem we Włoszech[11], dojrzała głęboka i rdzenna natura artystyczna, przygłuszona przez lata pierwszej młodości chwastem małych i marnych interesów. I teraz właściwy, przyszły wiele wróżący Wacław[12] Berent to nie ten autor *Fachowca*, faworyt krytyków demokratycznych obozów, nie ten, który dziś pisze o studentach, jutro o szwaczkach, pojutrze może o finansistach i kokotach „charakterystyczne powieści", nie ten Szaweł fotograf i bakałarz, ale ten po teatrach, panaceach (*sic*) operetki nie wystawiany, ten po pismach, organach aktualności nie drukowany, ten przez archimandrytów warszawskiej kultury strofowany póki czas, nawrócony Paweł, delikatny liryk serca ogólnoludzkiego, satyryk duszy ogólnoludzkiej, malarz życia półfantastycznego, mglistego, przepływającego w sennych, czasem dziwnie groźnych, czasem potężnie tragicznych nastrojach tuż obok realnej prawdy, n a d realną prawdę. Takim jest autor *Marzeń* trzechaktowego dramatu jeszcze nie wydanego[13], w którym psyche arcywspółczesnego artysty na tle szerokiej makaty wielkomiejskiego życia jest rzucona z taką przedziwną subtelnością efektów

[*brak karty 6 rękopisu*]

wonczas stało się, że przestali w onym narodzie pytać się jeno wzajem: bracie *quo vadis*, a wraz zaczęli myśleć, czuć i czynić wszystkie swe sprawy z dogmatem.

A. N. Nowaczyński

[9] Mowa o utworze pt. *W puszczy*.

[10] Z „felietonistycznych" prac Berenta znane są jedynie jego noty i recenzje specjalistycznych prac biologicznych, zamieszczane w czasopiśmie „Wszechświat" (jedna w 1896, sześć w 1901).

[11] W latach 1898–1900 Berent przebywał w Niemczech (głównie w Monachium), podróżował też po Szwajcarii i Włoszech.

[12] W rękopisie omyłkowo: Wład.

[13] Jak wiadomo z listów (do Władysława Heinricha oraz Tadeusza Pawlikowskiego) Berent oceniał ten dramat najwyżej z całej swej twórczości. Starania o wystawienie go w teatrze, okazały się jednak bezskuteczne.

W Bibliotece Publicznej m. st. Warszawy — Archiwum „Przeglądu Tygodniowego", sygn. II 383 — zachował się szkic Stanisława Brzozowskiego opatrzony tytułem „Estetyka poglądowa II. Powieść jako dzieło sztuki". Sześć kart rękopisu (liczbowanych 3–8), zapisanych obustronnie, sygnowane jest Leopold Stanisław Brzozowski. Bez daty. Tekst prawdopodobnie powstał jesienią 1902 roku, ostatecznie nie opublikowany. Część pierwsza szkicu, pt. „Estetyka poglądowa I. Sztuka i beletrystyka", ukazała się w „Przeglądzie Tygodniowym" 1902 nr 36. Jako część drugą wydrukował natomiast Brzozowski nie tekst prezentowany poniżej, a inny — zatytułowany „Estetyka poglądowa II. Odrodzenie indywidualizmu", „Przegląd Tygodniowy" 1902 nr 41. (Obie te części przedrukowane zostały w tomie: „Stanisław Brzozowski. Wczesne prace krytyczne", wstęp A. Mencwel, Warszawa 1988.)
Uwagi w nawiasach kwadratowych pochodzą od wydawcy, Ryszarda Nycza, autora opracowania i przypisów. Pisownię zmodernizowano zachowując osobliwości stylu Brzozowskiego.

Estetyka poglądowa II.
Powieść jako dzieło sztuki

Jest jeden rodzaj twórczości artystycznej, w którym beletrystyka w ustanowionym przeze mnie w poprzednim artykule[1] znaczeniu tego wyrazu, rozpanoszyła się z najzupełniejszą wszechwładną niemal bezczelnością. Rodzajem tym jest powieść. Praca różnego rodzaju Okrętów, Gawalewiczów, Choińskich wydała stokrotny plon. W literaturze współczesnej powieść stała się jakimś *mauvais lieu*[2]: artyści uczęszczają tam jeszcze, ale jak gdyby ukradkiem; a, gdy spotykają się tam, nie śmią spojrzeć sobie w oczy, jak ludzie rozumiejący, że bytność ich tu jest czymś poniżającym. Gdzieniegdzie zaczęto nawet przebąkiwać: „Powieść dziełem sztuki? Skąd znowu?" Powieść to taki przedmiot codziennego użytku, leżący zwykle na nocnym stoliku w sąsiedztwie rzeczy raczej niezbędnych, niż wzniosłych i czcigodnych. Powieść można czytać, można ją nawet niekiedy napisać, ale mówić o niej z szacunkiem lub, co więcej, ze czcią należną dziełu sztuki? — to naiwne, śmieszne... Przesąd przeciw powieści istnieje niewątpliwie nie tylko w kołach żółtodziobego modernizmu: ulegają mu artyści skądinąd poważni, i ludzie o pewnej kulturze estetycznej nawet wzruszają ramionami, gdy im przypomnieć, że powieść należy jednak do poezji, jako jej rodzaj.

[1] *Estetyka poglądowa I. Sztuka i beletrystyka* [przypisek Brzozowskiego]
[2] *mauvais lieu* (franc.) — tu: spelunka

Rodzaj niezmiernie bogaty i wdzięczny — powiem od razu i sądzę, że roli powieści nie można uważać za skończoną, lecz że przeciwnie wróżyć jej należy przyszłość niezmiernie świetną i bogatą w dzieła. Talenty najbardziej różnorodne mogą w powieści znaleźć swój wyraz: jest tu miejsce i dla tych, co kochają się w przepychu barw i kształtów, świateł i cieniów, i dla tych, dla których świat zewnętrzny nie istnieje, którzy żyją w świecie dusz tylko: analitycy i mistycy, wzrokowcy i muzykalni, dramaturdzy, których scena razi, lub kaleczy... wszyscy mogą znaleźć w powieści — formę artystyczną, zdatną stać się równoważnym wyrazem ich twórczej indywidualności.

Kiedy indziej wyłożę to szerzej i szczegółowiej; tu chcę mówić o warunkach, jakim powinna czynić zadość powieść, by stać się dziełem sztuki, i o znaczeniu, jakie jej przypaść w udziale może, jeżeli się nim stanie. Chcę się posłużyć tu przykładem, do czego upoważnia mnie zresztą wybrany przeze mnie tytuł ogólny: „Estetyka poglądowa".

W ostatnich czasach właśnie ukazała się u nas powieść w zastosowaniu do której nie zawaha się chyba nikt użyć wyrazu „dzieło sztuki". Mam na myśli *Próchno* p. Wacława Berenta („Chimera" rok 1901 zeszyty IV–XII). Rozpatrzenie tej powieści pouczy nas w zajmujacej nas sprawie lepiej, niż długie nawet wywody abstrakcyjne.

I jeszcze jedno zastrzeżenie. Zwykle czeka się u nas z oceną utworu, aż ukaże się on w oddzielnym książkowym wydaniu, a i wtedy mówi się o nim z pewną lekceważącą pobłażliwością (w najlepszym razie oczywiście). Krytycy nasi to ludzie, znający siebie samych tak dokładnie, że w głowie im pomieścić się nie może myśl, aby we współczesnej im dobie mogło powstać coś prawdziwie wielkiego. Wielkość tak blisko od nas — miły Boże — myślą oni. Wszystko wielkie musi być czymś bardzo dawnym: my czujemy się tak dalekimi od wszelkiej wielkości! Pod pozorną skromnością ukrywa się tutaj pewna zarozumiałość w ocenie samych siebie. Nie myląc się co do swojej wartości wewnętrznej — krytycy nasi przeceniają doniosłość swojego wpływu. Gdyby istotnie pp. Rabskim, Choińskim, Chrzanowskim etc. etc. udało się zawładnąć całkowicie naszym życiem umysłowym, uczynić z tego ostatniego emanację jedynie własnej ich istoty, wtedy zapewne rozumowaniom ich: — my tu żyjemy i działamy, a więc wszystko naokół musi być brzydkie, płaskie, [...]awe, nędzne; można by przyznać charakter wywod[u] aksjomatyczny[ego]. Dzisiaj niezawodność tych rozumowań jest niewątpliwie bardzo wielka, nie jest wszakże bezwzględna... Istnieją przecież tz[w]. „niezdrowe, chorobliwe prądy itp.". Dosyć wszakże o tym. *Próchno* p. Wacława Berenta było napisane wczoraj czy dzisiaj może nawet, autor jego żyje i nie należy do rzędu skamieniałych ze zgrozy i obrzydzenia wobec bezmyślnych płodów wielkości. — Nie może to nie obchodzić. Dzieło

sztuki, gdy tylko powstanie — wysuwa się poza czas i estetyka, gdy tylko głos zabierze, mówi zawsze *sub specie aeterni[tatis]*[3].
Na jakim miejscu byśmy nie otworzyli i nie zaczęli czytać powieści p. Berenta wszędzie uderza nas jedno i to samo wrażenie: wszędzie odczuwamy poza wyrazami ż y c i e i wszędzie odnajdujemy sposób wyrażania przystosowany do wyrażanej treści w jej nieodpartej [?] swoistej odrębności. W każdym najprzelotniejszym nawet ustępie, przy odtworzeniu życia każdej z wyprowadzonych postaci wyczuwamy, że mamy do czynienia z czymś przeżytym (oczywiście w artystycznie-twórczym znaczeniu) i z czymś stworzonym zarówno w osnowie swej, jak w formie. Stąd niepospolite natężenie i moc. Cytuję bez wyboru na chybił trafił:

Jelsky pozostał sam. Wokół cisza była i pustka; dudniało tylko miasto gwarem monotonnym i szumiało w uszach. Gdzieś na wieży wysokiej ocknął się zegar prastary, zazgrzytał ciężko i szarą, nikłą godzinę dziejów głucho wydzwonił. Grały zegary w ciszy nocnej, płynęły echem ponad miastem wysoko, coraz wyżej, niby żurawich lotów podniebne skargi i wlokły za sobą cały czasu płynącego smutek... i nadzieje zawodne, i troski rozpaczne, i żale spóźnione, i wspomnień krótkiego szczęścia ostatnie przebłyski. A zbierały zewsząd śmierć.[4]

A w innym miejscu:

Leżał na wznak. Światło czerwonej ampli u sufitu sączyło ckliwą, duszną, jakby wonią miękkich perfum przesyconą mgłę. Rozsnuwały się w niej leniwie i grzęzły, długie, kręte taśmy dymu od papierosa. I zdawało się Borowskiemu, że te sine taśmy oplatają go siecią pajęczą, obezwładniają powoli i przykuwają do kanapy. Na tyle głowy tam, gdzie się nią o poduszkę wspierał, czuł mocne, lecz coraz to powolniejsze uderzenia pulsu. Oczy błądziły po suficie, patrząc jakby w przyczajone gdzieś w kącie olbrzymie cielsko kosmatego pająka, co koczastymi łapami grzebie, snuje i przędzie swe jadowite sieci.[5]

W ten sposób można by całą powieść przepisać. *Próchno* p. Berenta jest dziełem prawdziwego artysty i to artysty uświadomionego: nie tylko posiada on swój specjalny kąt, pod którym załamują się w nim wrażenia i myśli, lecz zdaje sobie sprawę z tego, jakim jest ten kąt[6], zdaje sobie sprawę z swej indywidualności twórczej.
Opisu dla opisu nie znajdziemy w powieści p. Berenta. Wszystkie wyprowadzane przezeń opisy są wprost przenerwione, przepojone duszą, drga w nich ból, czai się smutek: bo p. Berenta dusza ludzka zdaje się

[3] *sub specie aeternitatis* (łac.) — z punktu widzenia wieczności
[4] W. Berent *Próchno*, „Chimera" t. III z. 9, wrzesień 1901, s. 361.
[5] Tamże, t. III z. 7–8, lipiec–sierpień 1901, s. 135.
[6] Por. fragment W. Berenta *Listu autora „Próchna"*, „Chimera" t. IV z. 10–12, październik–grudzień 1901, s. 465: „Obowiązkiem dla tej ostatniej [tzn. powieści, w odróżnieniu od prac naukowych] jest, wprost na odwrót, wyłącznie indywidualny, jedynie subiektywny kąt widzenia, w którym stapiać się i harmonizować mogą pierwiastki rozmaitych wierzeń. I nie mój to kąt widzenia, lecz tego typu, jaki naszkicować próbowałem".

tylko obchodzi; idzie mu tylko o „wywlekanie wnętrz ludzkich"[7] i o nic więcej. Czyn, ruch, gest sam przez się są dla niego rzeczą obojętną — akcję więc właściwą wyrzuca w międzyrozdziały[8], pozostają w powieści tylko zahaczenia niezbędne sytuacji, w których wywlekane na jaw przez autora wnętrza ludzkie drgają bólem i szydem. Cała powieść to tylko nieustanne prężenie się dusz.

Literatura powstaje tam, gdzie istnieje rozłam i rozdźwięk między indywidualnością twórczą artysty i jego samowiedzą i wyciekającymi z niej aspiracjami (dlatego to chorują na literaturę tak często osobowości rozlewne i przygaszone — *vide* Tetmajer: Otchłań, Sfinks, etc.), u pana Berenta rozłamu tego nie ma ani śladu: nie znać nigdzie dopasowania, dociągania, dzieło zdaje się być uwolnionym od wszelkiej przypadkowości, wydaje się, że wprost nie mogło być innym, odnajdujemy w nim wrażenie nieuwarunkowalności i konieczności właściwe dziełom szczerej sztuki. Dwóch rzeczy potrzeba, aby dzieło jakiegoś artysty sprawiało to wrażenie: wielkiej samowiedzy artystycznej i umiejętności poprzestawania na samym sobie, umiejętności zadowalania się swoim ja z jego odrębnościami i ograniczeniami. Każde ja jest czymś względnym i nieuwarunkowanym: ale jedynie przyjmując swe ja, z całą jego względnością — ze wszystkimi jego ograniczeniami — artysta tworzy dzieła sprawiające wrażenie bezwzględnych.

U natur bardzo prostych i jednolitych osiąga się to drogą żywiołową wprost, lecz natury bardziej złożone i bogate dojść mogą do tego artystycznego opanowania samych siebie jedynie w drodze długiej i mozolnej pracy: muszą one znaleźć swoje ja najgłębsze i najistotniejsze, i przed stworzeniem dzieł swoich muszą oni stworzyć samych siebie, bo znajdzie swoje ja ten tylko, kto je stworzyć potrafi. „Samoistność duszy twórczej", jak się wyraża Remy de Gourmont może być samorodną lub stworzoną. Pierwsza jest żywiołową, niezależną od człowieka i przypadkową niejako, druga wywalczona przez nas samych wydaje się nam niezawodną i pewną. U p. Berenta z nią właśnie mamy do czynienia. Wydaje mi się ona zupełną, nie znajduję w *Próchnie* żadnego miejsca, w którym autor, chciałby być czymś innym, niż jest, w którym udawał by on tylko, i pozował. Wskutek tego wrażenie: — autor n i e c h c i a ł napisać to, co napisał, lecz m u s i a ł. Musiał, bo to było w nim, i nie

[7] Wyrażenie takie nie pojawia się w tekście *Listu*; mowa tam jedynie o tych, dla których sztuka jest „głodem i bólem ich wnętrzności" (tamże).

[8] Por. z fragmentem *Listu*: „Wobec usunięcia właściwej akcji w międzyrozdziały, wyrzucenia jej poza nawias powieści, wobec pozostawienia jedynie koniecznego tła wrażeń, chłoniętych przez owo próchno, dla którego rozkładowym fermentem jest wyobraźnia i nielitościwie czujna myśl" (tamże).

mógł napisać inaczej, bo było to właśnie takie. A taką jaką była ona i była w p. Berencie, powieść jego to dusz współczesnych, dusz naszych najkrwawsze wnętrze. Borowski, Miller, Hertenstein, Jelsky, Turkułł, Pawluk — to dusza współczesnego człowieka, w jej różnych odmianach i postaciach. Dusza słaba i cierpiąca, zrozpaczona, niezdolna do czynu, sztukę tylko kochająca i nienawidząca jej właśnie za tę swoją do niej szaloną miłość. Sztuka to nasze życie.

Długie smutne kominy patrzą martwo, w dal pustą i niemą. Zastygłe i zimne w szarym świetle, kłębią ciężkie ofiarne dymy żywych i kołaczących naszych, oraz martwych i niemych ludzi. Dusza tych istot ludzkich, wyklęta precz od pracy, błąka się pokutną po ciemnych zaułkach i czarnych marach nocy. I wtedy dopiero, gdy maszyny do snu legną, wówczas gdzieś w pomrokach kamiennych, w ciszy zmęczonych ciał, rozlega się czasami nagły, beznadziejny krzyk — budzi się namiętność, bucha płomień duszy. I gaśnie. Pozostaje jeden, dwa... trupy, i otwiera się nagle przepaść bólu i cierpienia. Ale za dnia już zimna, już niema, ziejąca tylko dusznym czadem zgniłych wyziewów. Odżyły już maszyny i zamarli ludzie. — Po niebie suną rude (i ciężkie) kłębiska dymów.[9]

Pod niebem zasnutym tymi kłębiskami żyjemy my wszyscy „porwani w wielkomiejskie złe wiry"[10]. Przy biurku, przy maszynie — duszy nam nie trzeba: szaleje więc ona i po nocach straszy jak upiór — i to jest sztuka — nasze ukochanie, wymodlenie nasze. Tak? Więc patrzmy: na scenie błazen naśladuje i przedrzeźnia wielkich (błazen!). Wszystko burzy się w nas. Lecz

nie rozumiem ciebie, Hertenstein, mówi Jelsky. Przecież te błazny przed chwilą i profesor na którego patrzymy są sztuką aktorską *au fond*, jej absolutem bez przypadkowości twórczych, przypadkowości, które pochodzą bądź co bądź od kogo innego. Tęsknota Borowskiego jest w swej nieświadomości szczerszą od twego sentymentu. — Zaś ta — tam, na dole... no to jest... jakżeby to powiedzieć... *est le public* co laury rozdaje. Wniknij w to Hertenstein, i skrusz się na duchu... Dasz nam kiedy koncert szopenowski, lub może własny, a sami przyjdą! A ty rzucisz im pod nogi wszystko z rozbolałej duszy Szopena i ze swej własnej!!! Zlituj się Hertenstein, kto z was jest większy małpa: profesor van der Cler, czy ty?...[11]

I w duszy rodzi się przeświadczenie, że ta umiłowana, ukochana sztuka, to właściwie arlekinada tylko, to kuglarstwo tragicznego pajaca, który duszę swą własną rozkrwawia dla zdobycia trochy [*sic*] oklasków. „Tak, sztuka to nie jest rzecz dostojna", powiada Hertenstein.
Próchno p. Berenta — to najzupełniejszy, najprzenikliwszy wyraz samopoznania duszy współczesnej. Samopoznanie takie jest zawsze

[9] W. Berent *Próchno*, „Chimera" t. II z. 6, czerwiec 1901, s. 399.
[10] Por. z fragmentem *Listu*: „Zaś wśród szukających jest wielu takich, których głód wrażeń rzuca w złe wiry wielkomiejskie" (tamże) oraz *Próchno*, „Chimera" t. III z. 7–8 (rozmowa Hertensteina z Müllerem).
[11] W. Berent *Próchno*, „Chimera" t. III z. 7–8, lipiec–sierpień 1901, s. 185.

wyzwoleniem; nie wątpię, że powieść p. Berenta wyzwoleniem takim stanie się dla wielu, wyzwoleniem i pierwszym wskazaniem jedynej wielkiej i dostojnej drogi, która prowadzi do wewnętrznej, wywalczonej, własnej, indywidualnej ś w i ę t o ś c i człowieka.
Powieść to uprzywilejowana forma artystyczna: za pomocą żadnej innej wiele rzeczy, szczególnie wiele rzeczy ze świata dusz nie da się wyrazić w sposób tak subtelny i przenikliwy; ale aby stać się objawieniem lub wyzwoleniem — powieść musi być przede wszystkim dziełem s z t u k i. W jaki sposób ona nim stać się może poucza nas przykład p. Berenta. „Bądźcie — przede wszystkim — samymi sobą, głosi ta wypływająca z jego dzieła nauka; poznajcie samych siebie i umiejcie na tym czymś, musicie (!) poprzestać. Nie wprowadzajcie żadnej osoby, której życiem nie żyjecie, nie opisujcie nic, czego nie widzicie, nie piszcie żadnego słowa, które by nie było wyrazem czegoś, co jest w was, a nie czegoś, co wy byście w sobie mieć c h c i e l i. Strzeżcie się wszystkiego, co w dziele waszym nie jest wprost koniecznym i umiejcie się wyrzec wszystkiego innego.
Szukajcie wreszcie dla własnej w ten sposób zdobytej treści — nie mniej własnej i samodzielnej formy. Wystrzegajcie się ułatwień [?]. A przede wszystkim oczywiście miejcie talent pisarski i własną duszę. Jeżeli ich nie macie, nie piszcie. Gawalewiczów jest i tak zbyt wielu."

Stanisław Brzozowski

Od wydawcy

Oba ogłoszone tu teksty przechowały się dzięki przestrzeganiu przez Adama Wiślickiego w „Przeglądzie Tygodniowym" zasady — dziś nader rzadko respektowanej — by niszczyć jedynie rękopisy prac opublikowanych, natomiast materiały z jakichś przyczyn nie przekazane do druku zachowywać w redakcyjnym archiwum. Niestety późniejsze koleje ich losu nie były równie łaskawe; rękopis Nowaczyńskiego dochował się z uszczerbkiem jednej karty, i to tej właśnie, która mogła rzucić nieco światła na jeden z zagadkowych do dziś epizodów pisarskich Berenta jako dramatopisarza.
Sylwetka Berenta skreślona przez Nowaczyńskiego — nie bez złośliwości ale też i sympatii — ma wszakże dosyć innych zalet, by warto było dziś ją ogłosić. Nowaczyński scharakteryzował w niej młodego pisarza w okresie bezpośrednio poprzedzającym ukazanie się *Próchna*, a więc w fazie najtrudniejszej (życiowo i zawodowo) dla Berenta, a zarazem najmniej znanej czytelnikom. Szkic zawiera wiele nieznanych informacji biograficznych; surowo też ocenia (znać w tym nie tylko osobiste

preferencje, lecz i nową wrażliwość oraz inne kryteria młodszego modernistycznego pokolenia) wczesne utwory Berenta; ostrość krytycznego werdyktu zaś łagodzi najwyraźniej jedynie niezwykle korzystne wrażenie wyniesione z lektury *Marzeń*, dramatu wówczas nie wydanego i do dziś nieznanego, bo, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, bezpowrotnie zagubionego. Mamy więc do czynienia, mimo wszystko, z jedynym tak bezpośrednim świadectwem lektury (jak też samego istnienia) tego utworu.

Brzozowskiego recenzja *Próchna* zaskoczyć może i berentologów, i badaczy Brzozowskiego; jej ton — szczery a pełen bezkrytycznej admiracji — dziwnie bowiem odbiega od wszelkich późniejszych enuncjacji krytyka na temat tego pisarstwa. Tym większą jednak, jak sądzę, ma wartość dokumentalną. Nie tylko jako świadectwo lektury wybitnego krytyka (a pada tu parę cennych formuł i wnikliwych spostrzeżeń), lecz może przede wszystkim jako reprezentatywny przykład „spontanicznej", pierwszej reakcji czytelniczej na powieść Berenta. Wśród wspomnień o tamtych czasach nierzadko spotkać można uwagi o niezwykle silnym wrażeniu, jakie *Próchno* wywarło na swoich współczesnych. Niełatwo nam dziś w to uwierzyć. Świadectwo Brzozowskiego, noszące liczne cechy takiej emocjonalnej (by nie powiedzieć emfatycznej i egzaltowanej) lektury, ma tę wartość dodatkową, że ułatwić nam może wydatnie uzmysłowienie tego fenomenu: trafienia w „czułe miejsca" modernistycznej wrażliwości.

Można jedynie spekulować o prawdopodobnych powodach zaniechania wówczas publikacji obu tekstów. Zrezygnować z druku szkicu Nowaczyńskiego mógł Wiślicki — uznawszy np., że publikowanie w cyklu „Młoda Polska" sylwetki autora jednego utrzymanego w tej poetyce dramatu, którym, na dodatek, nie zdołał zainteresować ani dyrektorów teatrów ani wydawców, jest nadmiernie liberalnym rozszerzeniem formuły prezentacji nowych twarzy nowej literatury. Lecz mogło też być zupełnie inaczej; nieznane przyczyny, które zdecydowały o zerwaniu (zapowiadającej się wszak na czas dłuższy) współpracy Nowaczyńskiego z „Przeglądem Tygodniowym" — mogły przyczynić się do niewydrukowania dostarczonego już do redakcji szkicu.

Powody wycofania z druku szkicu o *Próchnie* są trudniejsze do odgadnięcia. Sądzę, że decyzję tę mógł podjąć sam autor. Niezwykle wysoka ocena powieści — jak na znane z późniejszych wystąpień opinie Brzozowskiego — sformułowana została najwyraźniej pod bezpośrednim wrażeniem pierwszej lektury. Chwila chłodniejszej refleksji mogła jednak ostudzić entuzjazm krytyka, uświadamiając mu liczne rozbieżności między zasadami przez niego postulowanymi a tymi, które uprawomocniały zwłaszcza konstrukcyjne ambiwalencje powieści. Nie można także wykluczyć oddziaływania jakichś dodatkowych czynników.

O tempie pracy oraz szybkości zmiany decyzji najlepiej świadczą daty: w nrze 36 „Przeglądu Tygodniowego" z 24 VIII (6 IX) 1902 ukazała się *Estetyka poglądowa I. Sztuka i beletrystyka* (gdzie w zakończeniu pada nazwisko Berenta); w nrze 41 zaś z 28 IX (11 X) 1902 *Estetyka poglądowa II. Odrodzenie indywidualizmu* (gdzie nazwisko Berenta nie pada już ani razu). Natomiast w ogłoszonym pół roku później szkicu *Współczesne kierunki w literaturze polskiej wobec życia* („Głos" 1903 nr 19–22) scharakteryzowane zostało po raz pierwszy w druku przez Brzozowskiego *Próchno* i to w sposób, który po lekturze ogłaszanego tutaj szkicu okazuje się polemiką tyleż z Berentem, co z własnymi, wyrażonymi we wstrzymanej recenzji poglądami.

Przypisy ograniczyłem do minimum, rozwikłanie rozlicznych tekstowych aluzji pozostawiając erudycji i woli czytelnika. Nie znaczy to, że nie są warte osobnej uwagi. Całkiem przeciwnie; sądzę, że publikowane tu teksty (i zrealizowane w nich sposoby nawiązań międzytekstowych) są doskonałymi przykładami dwu intertekstualnie różnych stylów modernistycznej krytyki. Intertekstualność jest, rzecz jasna, stałym aspektem krytycznego dyskursu; tu jednak nie tylko intensyfikuje się, lecz i ujawnia jako aktywny, konstrukcyjny czynnik rozwijania wypowiedzi.

Nowaczyński punktem wyjścia czyni najwidoczniej repertuar kulturowo-literackich komunałów — motywów, klisz, obiegowych formuł i stereotypów. Manipulując słowno-pojęciowymi prefabrykatami buduje swój wywód poprzez całe serie zestawień; czasem zaskakujących i zabawnych, a czasem niezbyt przekonywujących — gdy poddaje się lub nazbyt ufa automatyzmom skojarzeń. Brzozowski natomiast zwykł rozpoczynać rozpatrywanie jakiegoś zagadnienia — i tak właśnie dzieje się w omawianym przypadku — od empatycznego wniknięcia w istniejące, cudze rozwiązanie, związany z nim styl myślenia i sposób mówienia. Świadczą tu o tym liczne fragmenty stylizowane, a także cytaty i parafrazy nie tylko ujęć powieściowych, lecz również opinii wyrażonych przez Berenta *expressis verbis* w *Liście autora „Próchna"* — opinii, które, jak wiadomo, stały się później obiektem bezpośredniej krytyki Brzozowskiego.

Pierwszy więc, rzec można, żyje intelektualnie, pisarsko, z p r o c e n t ó w k u l t u r o w e g o k a p i t a ł u; z tego, co już widziane, zasłyszane czy przeczytane. Zużyte klisze językowe i literackie dopasowuje, zderza ze sobą a także z fizjonomią portretowanego — traktując je jako rodzaj interpretacyjnych schematów poszczególnych cech czy aspektów osobowości bohatera. Straszy nas — lub raczej epatuje — ekscesami stylu wykorzystującego najdziwniejsze materiały, respektując zarazem w pełni wymogi czytelnego rysunku całości i zdroworozsądkowej argumentacji psychologicznej. Żonglując komunałami komponuje w efekcie groteskowo-stereotypowy portret w stylu Arcimboldiego. Sylwetka indywi-

duum tworzona jest tu bowiem z tego, co gotowe, gdzie indziej używane, spetryfikowane, typowe — już wcześniej znane.
Drugi zaś, rozwija się intelektualnie i pisze, jeśli można tak powiedzieć, na kredyt znaczenia — najpierw cudzego (z tą fazą mamy do czynienia w publikowanym szkicu), a potem własnego, poszukiwanego różnymi stylami, z coraz innych perspektyw i stanowisk światopoglądowych. Początkowa pokora i skromność krytyka, dążącego na pozór jedynie do empatii i użyczenia swego głosu sekretnej mowie dzieła za cenę rezygnacji z własnego języka, z reguły wkrótce okazywała się zwodnicza. Wychodziło na jaw, że cudzy „kąt widzenia" pozwalał zobaczyć zaprzątający go problem i zmuszał do uświadomienia własnego stanowiska; maska obcego stylu podsuwała myśl nową, a następnie prowokowała do próby innej artykulacji, która nie dość, że nie mogła usatysfakcjonować krytyka, to jeszcze wprowadzała idee dotąd nieobecne... Stąd pewnie bierze się wrażenie intrygującej nieobliczalności jego dyskursu; przekonanie, iż nigdy nie można być pewnym, dokąd zaprowadzi go pióro. W rezultacie każdy portret krytyczny ma tu w jakiejś mierze cechy autoportretu — i to takiego, którego autor przedstawia siebie jako kogoś niezbyt dobrze znanego: autoportretu nieznajomego.
Tak oto obaj doświadczają przemożnej władzy języka. Zaczynając pisać — niczym uczniowie czarnoksiężnika — uwalniają żywiołowe siły dyskursu, którego w pełni kontrolować, podporządkować sobie nie potrafią. Lecz różne wybierają środki zaradcze. Jeden próbuje utrzymać się na powierzchni, klecąc pospiesznie ratunkową tratwę z najrozmaitszych gotowych elementów, które znalazły się w jego zasięgu. Drugi zaś rzuca się na głęboką wodę i skacząc z fali na falę uparcie wypatruje brzegu.
Wspieram się tą akwatyczną metaforyką, by skierować uwagę na fakt, że modernistów doświadczenie języka — które pełniło nieomal rolę generacyjnego przeżycia — miało istotnie charakter spotkania z nieokiełznanym, otchłannym i groźnym żywiołem. Co nam uprzytomnia, po pierwsze, że milczenie pisarzy, na które zwraca tu uwagę Nowaczyński — objaw czysto histerycznego, jakby mogło się zdawać, syndromu „improduktywa", twórcy bez dzieła, trwożliwie pochylającego się nad pustą kartą i w końcu rezygnującego z realizacji, nie był pozbawiony podstaw: i w ówczesnym typie kultury oraz stadium rozwoju języka, i w literackiej świadomości modernistycznej formacji. Po wtóre zaś uświadamia, że istotna myśl, wyrażona w tej, przyznajmy, egzaltowanej stylistyce — że kiedy mówimy, to w pełni nie wiemy, co powiedzieliśmy, że nie jesteśmy w stanie zapanować nad sensem własnego dyskursu — ta myśl przetrwała. Dziś, co prawda, nie tylko nikogo nie zatrważa, lecz

nawet się zbanalizowała. W każdym razie uchodzi za raczej trzeźwą ocenę układu sił oraz faktycznych stosunków między podmiotem a językiem.
Wartość publikowanych tu tekstów Nowaczyńskiego i Brzozowskiego — prócz ich walorów merytorycznych — leży właśnie w tym, jak sądzę, że dają asumpt do takich metakrytycznych rozważań.

Ryszard Nycz

W rękopisach Stefana Treugutta zachował się tekst referatu wygłoszonego 3 grudnia 1973 na poświęconej Berentowi sesji Instytutu Badań Literackich. Ogłaszamy na podstawie brulionu autora.

Fides, Spes, Caritas

Przyjezdny z Krakowa profesor, „wielki brodacz" świecący szkłem okularów, inwektywuje zebranych w salonie warszawskim ludzi z towarzystwa, surowo i karcąco mówi do gospodyni tego szumiącego światowością zgromadzenia:

— Pani — zaczął impetycznie, jakby ze środka swych myśli — wiek jeszcze nie minął, kiedy w takich oto salonach niewiasty zwracały się do mężczyzn z pytaniem: „Ileś waćpan harmat zdobył?" Jakże inne wiodą tu dziś gawędy!

I na to zgorszonemu pani domu odpowiada pytaniem:

— A więc, ileż waćpan tych harmat zdobył, profesorze?[1]

Ten profesor z *Oziminy* był raczej moralistą niż historykiem. Bo na jakich to salonach i kiedy konwersowano wedle kryteriów tak surowych? A sytuację sprzed niemal wieku w porównaniu do czasu akcji powieści sam Berent charakteryzował całkiem odmiennie od krakowskiego laudatora minionego obyczaju:

Po licho zawsze odzianych, a tak żarliwie garnących się do wiedzy oficerach legionowych z drobnej szlachty i mieszczan, nastali w kraju panicze, których po dworach wiejskich nie musnęło nawet wielkie przeobrażenie się psychiki narodowej po rozbiorach. Sprawą kapitalną dla nich stał się teraz mundurów kolor, strój i krój. A musiał ich mieć wtedy każdy oficer zasobniejszy niezliczoną ilość — od tak zwanych „mundurów małych", przez uniformy od parady zwykłej i „wielkiej", aż po „balowe". [...] Wyniosłością najbardziej wtedy uprzywilejowanego stanu zarazili wojskowi francuscy swych kolegów polskich.

[1] W. Berent *Pisma*, Warszawa 1933–1934, t. 4: *Ozimina*, t. 1, s. 29.

Skojarzyło się to u nich z przedrozbiorową purchawkowością sampanów i odęło pod mundurem napoleońskim w pychę bez granic.[2]

Ukochanej w pamięci narodu armii Księstwa wytyka Berent karciarstwo i szulerkę, hulanki przypominające całkiem uczty sejmikowe, to, że „niewygubny sarmatyzm szlachetczyzny, tłumiony dotychczas twardym kułakiem pruskim, święcił swe odżycie i wolność w pierwszej wtedy ostoi ładu — w wojsku. (...) Po obywatelach-żołnierzach i światłych oficerach Legionów Dąbrowskiego, po na poły rewolucyjnej jeszcze żołnierce Kniaziewicza, hodować się poczęli w kraju militaryści".[3]
I sarmackie sobiepaństwo — i militarystyczny dryll. Berent bije w „paniczyków" i za brak, i za nadmiar karności, systematycznie demoluje nie tylko popularne, ale i wśród historyków zawodowych częste gloryfikowanie Księstwa i jego żołnierzy, demoluje legendę świetności napoleońskiej Polski. Tym łatwiej mu to idzie, iż gloryfikacji mało czułej na fakta historyczne przeciwstawia swą własną, amatorską wersję, a raczej: moralną wizję wydarzeń. Już wobec kilku cytowanych tu linii zgłosić należy sprzeciw. Warunki formowania się na obczyźnie formacji legionowych u boku armii Republiki Francuskiej przymierza Berent do sytuacji pospiesznego formowania wojsk na własnym terenie, w oparciu o ziemiańską strukturę ekonomiczną kraju — i w oparciu o Cesarstwo Francuskie. Tyleż tu analogii, co słuszności w zarzucie rozrzutnego zamiłowania do rozmaitych mundurów wśród oficerów Księstwa. To przecież regulowały przepisy, a że do nowo formowanych jednostek nabierano nowych oficerów, kierując się raczej dobrocią nazwisk niż wysługą lat... I że ci nowi wojskowi puszczali wodze fantazji i puszczali mamonę... Były francuskie regulaminy i francuscy „spece", żeby dopilnować porządku w razie potrzeby — byli i legionowi „spece" — zaś kartograjstwo i birbanctwo oficerskie niechby Berent przyrównał nie do legionowej biedy, ale do wzorów, jakich dostarczała armia potężnego sprzymierzeńca; była tam — w obyczajach tej sojuszniczej wojskowości, gdy pojawiła się ona nad Wisłą — osobliwsza mieszanina beztroskiego omijania dyscypliny — *sans-façonizm* zgoła republikański — z całkiem imperialnym neoarystokratyzmem — ale trudno by w tych wzorach naszego korpusu oficerskiego dopatrzyć się jakiejś analogii do sejmikowania czy ziemiańskiej sarmackości. Wskazując przecież na przejaskrawienia w moralistycznej historiozofii Berenta nie wypada z kolei samemu wpadać w jaskrawo pedantyczne ocenianie jego tekstów wedle stopnia ich historycznej ścisłości.
Nie idzie o gruntowanie wiedzy, jaką posiadał Berent na temat epoki

[2] W. Berent *Pisma*, t. 9: *Nurt*, t. 2, s. 283–284.
[3] *Nurt*, t. 2, s. 285–286.

bardzo obszernie już w jego czasie opisanej, interpretowanej, dokumentowanej edycjami źródłowymi. Wiemy, że sięgał nawet do źródeł bardzo rzadkich, że i archiwalne inedita miewał w ręku — i chwała jego pilności, i nikt mu nie będzie wypominał drobnych erudycyjnych niedopatrzeń (inna sprawa, iż tych ostatnich dużo) — rzecz sprowadza się do wątpliwości innego rozmiaru: do pytania, na ile Berent — niezależnie od efektywnej wiedzy — posiadał wyobraźnię historyczną? Lucien Febvre powiada, iż naczelną kwalifikacją historyka jest umiejętność unikania anachronizmów w myśleniu o wydarzeniach, w ocenie wydarzeń; czy autor *Żywych kamieni* posiadał ową subtelną, trudną do wyuczenia, po części chyba wrodzoną, sztukę myślowego wchodzenia w obce, odległe od własnego układy? Popatrzmy na kilka przykładów, od całkiem drobnego poczynając.

Odnajdujemy u Berenta wśród analogicznych wskazówek do genealogii współczesnej inteligencji — przecież cała twórczość ostatnia Wacława Berenta to wypisy metrykalne z ksiąg polskiej „klassy umysłowej" — odnajdujemy więc u Berenta piękną pochwałę zasług gdańskiego mieszczańskiego rodu Szulców. Jednym z potomków był Michał Szulc, architekt, profesor wileński. Berent z rozczuleniem wspomina nieudolność zawodową tego dyletanta (studiował teologię, filozofię, sztuki piękne, służył w wojsku), opowiadanie kulminuje tragicznie: oto zwycięski car Aleksander wraca w r. 1812 na Litwę, „w makabrycznym wtedy Wilnie — pisze Berent — gdzie siejąc zarazy wszelkie dogorywały tysiącami niedobitki Armii Wielkiej, odbyć się miał bal na cześć cara tryumfatora. W przezornej oddali od zakażonego miasta, gdzieś na wielce stromym i pięknym brzegu Wilii, zlecono Szulcowi zbudować czym prędzej pawilon wielki..." Dalej czytamy pokrótce, jak to Szulc ozdobił pawilon wewnątrz, i że w przeddzień przyjazdu cara cała budowla się zawaliła, że razem z częścią brzegu spadła do Wilii. „Poczuwszy nad sobą rękę Losu — zamyka sprawę Berent — skoczył za swym dziełem ostatnim architekt nieszczęśliwy."[4]

Kiedy? W grudniu 1812 mrozy w Wilnie były wyjątkowo srogie, czytamy o tym w wielu setkach pamiętników we wszystkich ważniejszych językach europejskich, bo wymierali wówczas w Wilnie ludzie nacji rozlicznych. — Jakże w zamarzniętą rzekę skoczył architekt Szulc? Gapiostwo pisarza, rzec można, nie zapamiętał, iż sprawa z zawaleniem się budowli Szulca — a i jego skok samobójczy w wodę — miały miejsce w czerwcu 1812, 24 czerwca, w dwa dni po przekroczeniu Niemna przez awangardy Wielkiej Armii. Budowla — „une longue galerie couverte soutenue par des colonnes" — stała w Zakrecie, zawaliła się w dniu balu, konstruktor

[4] W. Berent *Diogenes w kontuszu*, Warszawa [1937], s. 269–270.

zabił się z obawy przed odpowiedzialnością, cała zaś sprawa nie jest zupełnie jasna, gdy się zważy, iż prof. Szulc miał stać na czele studenckiego tajnego związku o nazwie „Bracia uciemiężeni" — gdyby Berent tego nie prześlepił, o ileż bogaciej by mu wypadł biogram Szulca! — bal się odbył z braku pawilonu pod gołym niebem, Aleksander w trakcie zabawy otrzymał wieść o przekroczeniu Niemna przez Francuzów, co zataił, by nie mącić uroczystości. Kilku akademików ze spiskowych przedarło się do Francuzów.[5] Nie idzie o niedokładność informacji Berenta ani też o wpadkę meteorologiczną. Jakże jednak mógł on lokalizować dworski bal w trakcie działań wojennych w Wilnie pełnym chorych, maruderów i leżących na ulicy trupów... Równie to fantastyczne jak lokalizacja poza Wilnem w *ad hoc* budowanym przewiewnym pawilonie — w grudniu! Jakiż brak wyobraźni na to chociażby, w jakim stanie — nie tak wiele lepszym od pokonanych — znajdowała się pościgowa armia rosyjska, a raczej jej resztki ocalałe od trudów wojny i zimy...

Gorzej, gdy podobny brak wyobraźni dyktuje zdania oceniające o charakterze ogólnym. Z racji kampanii 1809 nie może Berent odmówić ks. Józefowi Poniatowskiemu osobistej brawury — pod Raszynem — ale odmawia mu jakichkolwiek talentów wodza i polityka, sukcesy przypisuje jednoznacznie Dąbrowskiemu. A gdy twórcy Legionów właśnie z racji postawy w r. 1809 przyznaje „siłę (...) geniuszu i serca", to do Poniatowskiego stosuje tylko drugą z tych kwalifikacji, a i to do Poniatowskiego po 1812, nie do wodza wyprawy galicyjskiej. „Oderwany nagle od zabaw i kobiet w Warszawie — czytamy w innym miejscu — sprężył się i wysrożył w mundurze ponad miarę — jak to bywa w takich razach."[6] Czy mundur ministra wojny Księstwa Warszawskiego był „nad miarę" generała lejtnanta wojsk wolnej Rzeczypospolitej i dowódcy polowego wojsk koronnych w wojnie 1792 r.! Wróćmy do r. 1809. Wielkie w kampanii tego roku zasługi i sukcesy wojskowe generała Dąbrowskiego i ich maksymalnie mocne podkreślenie przez autora *Nurtu* nie powinny jednak dawać okazji do pretensji zgoła żenujących pod adresem polskiego wodza naczelnego: że na północnym terenie działań, gdzie był Dąbrowski, wojna była krwawa, na południowym, galicyjskim panowała atmosfera „spaceru wojskowego" — no i cóż z tego? I czy wypada ubolewać, iż i w Galicji nie doszło do dziesiątkowania szczupłych sił wojskowych Księstwa? Przecież właśnie świetność manewru na Galicję, na tyły wroga zajmującego Warszawę polegała na tym, że tam dużych garnizonów austriackich nie było. No

[5] B. Dundulis *Napoléon et la Lituanie en 1812*, Paris 1940, s. 99; Janusz Iwaszkiewicz *Litwa w roku 1812*, Kraków 1912, s. 67.

[6] *Nurt*, t. 2, s. 278.

i autorem tego planu, wedle Berenta oczywiście, jest tylko Dąbrowski. On to „na radzie wojennej w Zegrzu narzuci wszystkim swój plan", a więc i spaceru w Galicję chyba też? *Unde ira*... Berent z całą pewnością twierdzi: „naonczas całą tą wojną (na ziemiach polskich przynajmniej) pokieruje nie kto inny, tylko on sam".[7] Dąbrowski. Że pisarz uznał za potrzebne nawiasowe wtrącenie „na ziemiach polskich przynajmniej", to już jest dowodem hagiografii zgoła zawrotnej. Działania bojowe Dąbrowskiego nie miały w rzeczy samej dyrektywnego wpływu na wielkie bitwy na wyspach dunajskich i pod Wiedniem. Zajęcie tak dużych terenów austriackich przez ks. Józefa natomiast miało bardzo poważny wpływ — na przebieg rokowań pokojowych po pokonaniu Austrii.
I oto posłuchajmy cenzurki Berenta:

Książę Józef [...] kierując się niewczesnymi względami polityki, starał się stwarzać fakty dokonane przez zajmowanie jak największych obszarów.[8]

Niewczesna polityka! Dzięki niej Księstwo powiększyło dwukrotnie swój obszar. Stworzenie zaś faktu dokonanego, a to przez zajęcie Galicji w imieniu Napoleona (Poniatowski kazał na miejsce usuwanych godeł austriackich zawieszać orły cesarskie, stąd oda Koźmiana na „zawieszenie orłów francuskich w Lublinie") stworzyło kłopoty dyplomatyczne dla samego Cesarza, obudziło czujną nieufność sprzymierzonego wówczas z Napoleonem cara Aleksandra — powiększanie się Księstwa przybliżało groźbę utworzenia „napoleońskiej Polski", tego zaś car bał się najbardziej ze wszystkiego — i oto dyplomatycznie „nietaktowne", na własną rękę prowadzone działania armii Księstwa zakończyły się sukcesem wielkiej dla nas miary. Raz pierwszy i jedyny to nie Napoleon grał Polską, ale został przymuszony do zagrania w polskie karty. Berent o tym nie wiedział? nie mógł zrozumieć? Ba, to w ogóle leżało poza sferą jego zainteresowań, poza jego wyobraźnią. A jego wyobraźnia nie umiała się poruszać wśród zjawisk i danych realnej historii, nie była to wyobraźnia historyka, ale historiozofa, i to szczególnie uformowanego historiozofa, lepiej nawet rzec: mitografa. Mitografa inteligencji polskiej. Z tego punktu widzenia — a jest to punkt widzenia i autora *Fachowca*, i autora *Próchna*, ten punkt widzenia organizuje całość poczynań literackich Berenta — ks. Poniatowski nie stanowi genealogii właściwej i legalnej, generał Dąbrowski — tak. W antenackim sporze liczą się legendy już uformowane, wartości przypisywane przez świadomość zbiorową, historia

[7] *Nurt*, t. 2, s. 296.
[8] *Nurt*, t. 2, s. 297.

realna jest ledwie materiałem wyjściowym dla konstruktu ideograficznego, i to tylko tam, gdzie się akurat zgadza z owym konstruktem. Wspaniała działalność militarna i organizatorska Dąbrowskiego w r. 1809 była „na linii" Berentowej koncepcji, sukcesy polityczne i militarne wodza naczelnego — nie. Stąd nikła wrażliwość Berenta na znane mu fakty, stąd brak umiejętności — i chęci! — historiograficznych, stąd anachronizmy w historycznym myśleniu.

Jakże inaczej porusza się Berent na terenie sobie właściwym, gdy interpretuje, chociażby z dużym krytycyzmem, materię mitów, gdy zagląda pod podszewkę tradycjom legendowym. A więc: książę Józef. Wielkość serca okazał po 1812, w ostatnich miesiącach życia. Poszedł „za głosem wszystkich instynktów swego rycerstwa i godności narodowej". Co dało, jak słusznie rozumie to Berent, początek legendzie już nie tylko rodzimej:

Pozostawi też po sobie nową w Europie legendę o Rolandzie. Ludowi zaś francuskiemu przekaże — po Dąbrowskiego zapomnianych już walkach w obronie Republiki — bardziej tam pamiętne m e m e n t o: jak to przeznaczenia Francji kojarzą się nieuniknienie z losem Polski. Stanie się tej łączności symbolem nieledwie.

I na taką, symbolicznie zinternacjonalizowaną, wersję legendową Księcia Berent, jak widać, godzi się chętnie. Prześmieje co innego, co go w tym wszystkim żywotnie zajmuje — legendę rodzimą:

W legendzie swojskiej natomiast spoczciwieje dość obrazkowo: jako wcielenie „udałości polskiej" — wraz z jej nieodłącznymi wtedy atrybutami: czapką hulańską na bakier i baczkami pod nią. W najosobliwszym przeciwieństwie do tej ikony narodowej uwieczniło go dłuto cudzoziemca szablonem klasycyzmu: zapożyczoną postacią Marka Aureliusza na koniu kapitolińskim — figurą na placu. Historia dopiero, i to dni naszych zaledwie, wystawiła mu pomnik godniejszy — nad francuskie rapsody o wiernym wasalu, nad legendę u nas obrazkową i nad cudzoziemski spiż.[9]

Już to Berent nie lubił — programowo — klasycyzmu. Nie zechciał zauważyć świetności dzieła Thorvaldsena, w innym miejscu swych ekskursji w przeszłość okaże zupełną, umyślną głuchotę na wiersze Kajetana Koźmiana — równie mało mu odpowiadał tradycyjny narodowy pop-art w epinalskiej, obrazkowej wersji. W zdaniach przecież o „udałości polskiej" Księcia, o francuskim wasalstwie i narodowej ikonie jest najlepszy Berent — jego styl, jego demaskatorstwo obraźliwe, poniżające („ikoną" Książę, jakby *modo russo*, wedle ulubionego idiomu Berenta, do patronów i świętych zaszeregowany), jest ten Berent protestujący w obliczu sztampy, nieżywych ideologii, półprawd i prawd nieżywych. Zdanie o hulaństwie Księcia z ikony pisał tym samym piórem,

[9] *Nurt*, t. 2, s. 299–300.

co przed laty, gdy pod górnobrzmiącym słowem narodowej elity umysłowej wykrywał pustkę, słabiznę, modernistyczne nerwy zamiast uczuć:

Wóz życia ugrzązł w piachach, a duszom karm w istocie wciąż tenże: sprzed wieka! I jedno wciąż źródło sił idealnych, które ma ich w aniołów zamieniać — w aniołów ruchu i ofiary. [...] W sentymentalnej wrażliwości wyobraźni egzaltowanych pokutują wciąż jeszcze wszystkie upiory i widma romantyzmu...[10]

Berenta w ogóle nie interesuje historia w swym niegdyś przebiegu autentycznym, a to, co nazywa on „*bios* historii"[11], charakteryzując swą postawę w tzw. opowieściach biograficznych, to najdalsze jakiejś biologicznej naturalistyczności w odtwarzaniu dziejów — to raczej życie „duszy gromadom ludzkim wspólnej".[12] Życie wspólne synchronicznie — ale i diachronicznie określonej grupie. Dla Berenta taką wspólnotą jest oczywiście naród polski rozumiany jako wspólnota tradycji i świadomości. Prezentacją zaś takiej wspólnoty — bynajmniej nie symboliczną, ale realną prezentacją — jest inteligencja, rozumiana, rzecz jasna, nie w kategoriach socjologicznych czy też wąsko profesjonalnych, ale w kategoriach ideowo-emocjonalnych; inteligencja polska to ci, którzy mają jasną świadomość „duszy wspólnej", poczucie historyczności, ciągłości, współczesnej odpowiedzialności za dziedzictwo. Badacz własnego drzewa genealogicznego jest pogrążony w historii, ale nie jest historykiem — taki właśnie jest Berent, opowiadacz biografii przykładnych, poszukiwacz wzorcowych przodków dla polskiego inteligenta. Mieszczański Plutarch niepodległej ojczyzny. Z jakąż pasją pokazywał współrodakom, kim są, skąd się biorą, czego powinni się trzymać w tradycji. Że mają papiery szlacheckich szaraczków, wypartych ze wsi, wędrujących do miasta, jak Podlasianin Jezierski (biogram Franciszka Salezego Jezierskiego jest finezyjnie wycieniowany, tak by jego pierwowzór mógł zająć miejsce w galerii wielkich przodków) — albo że wiodą się od mężów twardej mieszczańskiej cnoty i wielkiej miłości ojczyzny, jak Jan Dekert, że z kościuszkowskiej insurekcji i z Legii włoskich się wiodą, a nie z lekkokonnego pułku gwardii obcego Cesarza — istotna tradycja, nawiązująca do najdalszej przeszłości, zapowiadająca romantyzm i przyszłość, to nie wasalska epopea napoleońska, ale chłopi i obywatele oficerowie z Legii I i II. Stąd też u Berenta takie oto legendotwórstwo, wzruszające, pełne wiary w *bios*, ale i *ethos* historii:

Nawiało w uszy tłumów — mowa o mieszkańcach Rzymu po wkroczeniu tam pierwszej Legii pod Dąbrowskim i Kniaziewiczem — że ten lud obcy pogromiono gdzieś na

[10] *Ozimina*, t. 1, s. 191.
[11] *Nurt*, t. 1, s. 8.
[12] *Ozimina*, t. 2, s. 44.

Wschodzie, więc błąka się odtąd po świecie [...] Aż się [...] wyłoniła baśń — że oto naszły na miasto potomki rycerzy ostatniej wyprawy krzyżowej, co ponownie „p o g r o m i e n i o d M o n g o ł ó w" pragną tu w Rzymie obwołać krucjatę nową.
Te baśni „motłochu" [...] nie były tak bardzo chybione. Lud rzymski wyczuł — pierwszy! — tchnienie romantyzmu bijące wręcz od Legionów, czyniąc z nich nieledwie ostatnich rycerzy błędnych.[13]

Bios historii u Berenta to ma być żywa prawda „duszy wspólnej", nie martwa litera historycznej ścisłości, z którą niczego nie podziałasz wobec realnych, współcześnie bijących źródeł świadomości. I nie w polemiki z historykami wchodził Wacław Berent — miał wielką ambicję, by odwrócić, a przynajmniej po innemu regulować bieg owej współczesnej świadomości wspólnoty z przeszłością. Przeciw utrwalonej tradycji patriotyzmu szlacheckiego, ziemiańskiego, rodowego, kawaleryjskiego, romantycznego w wersji albo płaskiej, mistyfikatorskiej, albo tak wysokiej, mistyczno-mesjanicznej, że równie zmistyfikowanej... Inaczej chciał ustawić Berent wskaźniki i patriotyzmu, i przydatności sprawie wspólnej, jeżeli nawet kanon wartości całkiem się zruszyć nie dawał, to przynajmniej chciał go dopełnić, poszerzyć. Do kanonu poezji romantycznej dodać takich jak Karpiński, jak Niemcewicz, odróżniając ich od dworskiej martwoty sztuki stanisławowskiego klasycyzmu. Do rzędu pierwszych w narodzie przywrócić wielkie, ale odsunięte w *„logos* historii" nazwiska Kościuszki i Dąbrowskiego, dodać im na trzeciego Staszica.

Stoi przy tym wytrwałość narodów duchem swych przywódców wielkich, a Polska wtedy właśnie grzebała kolejno Kościuszkę, Dąbrowskiego, Staszica: — F i d e s, S p e s, C a r i t a s pokolenia porozbiorowego.[14]

Wiara, Nadzieja, Miłość. Wypowiedział te słowa Berent w r. 1933, kończąc mowę na otwarcie Polskiej Akademii Literatury. Mowa ta jest mimowiedną autointerpretacją wszystkich opowieści biograficznych, jest stanowieniem drogowskazu z przeszłości w teraźniejszość. Gdyby ktoś potrafił zastąpić nazwiska wielkich mężów nazwanych wedle trzech cnót teologicznych, a stanowiących wodzostwo ideowe pokolenia porozbiorowego, nazwiskami lub symbolami nazwiskowymi równie doniosłymi dla Polski tego pokolenia, które przeżyło jak Berent odzyskanie niepodległości, ten by odnalazł nieomylną formułę interpretacyjną całej jego późnej twórczości. (Gdyby takich nazwisk współczesnych w kontynuacji przodków zabrakło u Berenta — to by było jeszcze bardziej ważne świadectwo.) W każdym razie do wartości przez tamtych trzech wywołanych, do tak sformułowanej zasady narodowego przywództwa — dziejów nie „króla", ale „obywatela-ducha" — należeć by musiały

[13] *Nurt*, t. 2, s. 69.
[14] W. Berent *Onegdaj*, Warszawa 1933, s. 50.

obok trzech cnót teologicznych także cztery cnoty kardynalne: roztropność, sprawiedliwość, umiarkowanie i męstwo. Wedle jakiej z kolei współczesnej formuły mitu inteligenckiego szukałby Berent wzorów, ideałów i postaw godnych wielkiego dziedzictwa? Nie zapisał tego, ile wiem, wyraźnie. Ale jest pewna poszlaka. W mowie na otwarcie PAL ubolewał, iż ani Dąbrowski, ani Staszic nie mają w Warszawie pomnika. Jednak

> jak obaj utrudzali się sami za wszystkich, sporni po tylekroć całej opinii warszawskiej, tak też sami wystawili sobie pomnik, i to w sercu stolicy: stanęli dwiema oporowymi kolumnami „Pałacu Kultury Polskiej" — za Kopernikiem w Warszawie.[15]

Tu i jesteśmy.[16] Kopernik, Staszic — a cóż w tym gronie robi generał wychowany w Dreźnie, wsławiony we Włoszech? Czy z racji obrony Warszawy w r. 1794 stanął w szeregu genealogicznym inteligencji, ludzi miejskich? Nie tylko. Raz jako erudyta i zbieracz namiętny, który swe przebogate materiały przekazał Towarzystwu Przyjaciół Nauk. Po wtóre za to, iż w Legiach założył instytut, że kształcił oficerów i gemajnów legionowych, że w ślad za Komisją Edukacji Narodowej pierwszy tak dbał o obywatelską edukację wojska narodowego. A także z tej wielkiej racji ideowej, iż Berent, konstytuując nowy ciąg tradycji, nie miał bynajmniej zamiaru zastępować legendy ziemiańsko-patriotycznej i romantycznej — więc legendy wojskowej, powstańczej, ułańskiej — jakimś mdłym surogatem organicznej skrzętności, pacyfizmu ugodowego, rozsądnego. Skądże, jego nowe odczytanie narodowej „duszy wspólnej" miało za sobą i Naczelnika narodu — cywilnego i wojskowego — i generała, który z szablą w ręku dobijał się straconej niepodległości państwowej. Berentowski „stan trzeci", Polska ani dworska, ani chłopska, Polska umysłów światłych i ludzi mądrej pracy, też miała swoich świętych, męczenników, „uporczywców wielkich", jak nazwie Berent i Dąbrowskiego, i Jezierskiego, i Staszica... Właściwie to tylko tacy „uporczywcy" sprawy narodowej, ludzie, którzy zdecydowali się świadomie na robotę dla Polski — którym ona sama nie zleciała razem z nazwiskiem historycznym, herbem i pańską, lekkomyślną fanaberią — tacy tylko mają dobre miejsce w Berentowym Panteonie. I dlatego tak doskonałym bohaterem tej Polski „trzeciej" zdał mu się generał Jan Henryk Dąbrowski. Bo miał tu na raz i tradycję szlachecką, ale już odsuniętą od ziemiaństwa żołnierskim profesjonalizmem, i poważne traktowanie nauk, kultury umysłowej, bo to przecież o nim napisał uczony Johann Gottfried Seume: „Er ist einer

[15] *Onegdaj*, s. 53.
[16] Referat wygłaszany w Pałacu Staszica — przyp. red.

von den heutigen Generalen, die die meiste Wissenschaft ihres Fachs haben; und Du findest bei ihm Bücher und Karten, die Du vielleicht an vielen anderen Orten vergebens suchst".[17] No i to — ostatnie, ale nie najmniejsze — że tej swojej polskości musiał się Dąbrowski dobijać, że ją musiał potwierdzać i jej dowodzić, przebijając się przez domową niemczyznę. Na taką polskość z zasługi, na asymilacyjną siłę dawnej Polski był Berent specjalnie uczulony. I być inaczej nie mogło, jeżeli szukał oporu i fundamentu w Polsce „trzeciego stanu"; z niekłamanym wzruszeniem pisze o tych Polakach w Legionach, którzy ani polskich nazwisk nie mieli, a i polskiego czasem uczyli się dopiero:

Pewien nalot obcej mowy i obyczaju wnosili [...] liczni oficerowie z mieszczaństwa Warszawy i miast prowincjonalnych, te Bauery, Schuberty, Müllery, Billingi, Junge, Lange, Kuntzel, Reinhold, Möller, Schultz, Sand itd., warszawiacy szkockiego pochodzenia, jak Stuart, Roos, Hoppen, Schott, wreszcie spolszczeni latyńcy, jak Chamand, Forestier, Tremo, Amira. [...]
Zastanawia znaczny odsetek tych oficerów legionowych o nazwiskach mieszczańsko-niemieckich lub latyńskich: to tłumne wtargnięcie w polskie życie publiczne stanu trzeciego nazajutrz po konstytucji 3 Maja i rewolucji warszawskiej. W rękach Dąbrowskiego stały się te właśnie sfery (z kilku zaledwie wyjątkami) niezastąpionym cementem ładu i karności w Legii...[18]

Czy nie należy tu także dopatrzeć się już bardzo osobistego wyznania samego Berenta? Słyszałem z ust pewnej wiekowej i czcigodnej damy deklamowane ze łzami w oczach wierszyki:

Ta krew z Turyngii rodem dalekiej
Dawno wyciekła wśród polskich dróg,
Żyliśmy razem długie dwa wieki
Pod ogniem armat spłacając dług.
I znam tajniki sybirskich lochów
[.....]
Za moją kroplę niemieckiej krwi.

Pani ta nosiła polskie, szlacheckie nazwisko z męża, z domu niemieckie. Mówiła mi wiele razy, jak to się w dzieciństwie bawiła nieraz z Wackiem Berentem. Pochodziła z tego samego środowiska starego warszawskiego mieszczaństwa.[19]
Dąbrowski więc, nie Poniatowski. Inny wariant tradycji i legendy czasów rozbioru i wojen napoleońskich. Ma rację Andrzej Zahorski, gdy podkreśla odrębność w tej mierze Berenta od głównego nurtu literackiej tradycji: „Nie Napoleonowi, lecz Dąbrowskiemu poświęcił swój twórczy

[17] J. G. Seume *Spaziergang nach Syrakus im Jahre 1802*, Leipzig, s. 330.
[18] *Nurt*, t. 2, s. 61.
[19] Mowa o Helenie Ciąglińskiej z domu Deike (1871–1956) — przyp. red.

wysiłek i jego opromienił legendą".[20] A jaki był stosunek Berenta do postaci Napoleona? Nie ma chyba w ogóle u Berenta problemu Napoleona, bo określenie jego postawy wobec Cesarza jako krytycznej czy rozgoryczonej — co częste wśród piszących o epopei — byłoby już zbyt emocjonalne, zbyt by Berenta zbliżało do postaci mu z gruntu obcej, niemal obojętnej. Napoleon jest jak Alpy, jak Rewolucja Francuska, jak ówczesne ukształtowanie sił między mocarstwami — jest elementem mapy, europejskiej geografii politycznej. Niemal niczym więcej. Owszem, pewien emocjonalny stosunek złośliwości wobec mocarza, któremu jego ulubiony Dąbrowski tak długo musiał podlegać, pojawi się nagle, gdy Berent marginalnie, z racji rozważań o dalszych losach Mazurka Dąbrowskiego, wtrąci: „Czy gdziekolwiek na świecie grzmią dziś jeszcze tak codziennie wszystkie orkiestry i radia na cześć Bonaparty?"[21] Refleksja dość naiwna: że niby skojarzenie nazwiska Dąbrowskiego z melodią urzędowo odgrywanego i reprodukowanego hymnu narodowego jest częstsze niż jakakolwiek forma popularnej trwałości nazwiska Bonaparte... Wątpliwy wywód, bo na przykład popularność ciastek „napoleonek" ma zasięg międzynarodowy, nazwisko zaś generała z refrenu polskiego hymnu państwowego mówi coś tylko dla Polaków.

W przytoczonym cytacie może zwrócić uwagę forma odmiany nazwiska Napoleona: „Bonaparty". Żeńska odmiana. Tak u Berenta zawsze, z premedytacją. „Do Bonaparty" albo „do Buonaparty", „przez Bonapartę", i tak wszędzie. Co można wywodzić z tradycji wymowy żołnierskiej, popularnej, gdzie ze słuchu znana wersja francuska „Napoléon Bonaparte" przekształciła się w „Napoljon" i w „Bonapart". Ale być może to refleks *Pana Tadeusza*, który jest w opowieściach biograficznych Berenta stałym punktem odwołań, odniesień, nawet pewnej dyskretnej polemiki, a to z racji podniosłych słów Jankiela równających Dąbrowskiego z Mesjaszem — Berent zarzuca Mickiewiczowi historyczną dowolność w tej scenie — otóż mógł z *Pana Tadeusza* zapamiętać sugestywną deklinację nazwiska Cesarza:

Raz w bitwie, gdzie podział się? szukać Bonaparta! —
A on zmienił się w lisa, tak Suwarów w charta;
Tak Bonaparte znowu w kota się przerzuca,
Dalej drzeć pazurami, a Suwarów w kuca.
Obaczcież, co się stało w końcu z Bonapartą...
[I 527–531]

Ale to mówi zacny Ryków, nie Polak, ma prawo odmieniać i błędnie, i z ruska (*Bonapárt, Bonapárta, s Bonapártom* itd.). Być może, że to

[20] A. Zahorski *Z dziejów legendy napoleońskiej w Polsce*, Warszawa 1971, s. 167.
[21] *Nurt*, t. 2, s. 273.

jeszcze jeden przykład małej frasobliwości Berenta o historyczne realia, tym razem leksykalne. W każdym razie taki *usus* deklinacyjny nie służy podniesieniu rangi osoby deklinowanej. A w ogóle, godzi się chociażby sprawę poruszyć jednym zdaniem, analiza dokładna zabiegów stylizatorsko-leksykalnych i słowotwórstwa Berenta w opowieściach biograficznych doprowadziłaby, jestem pewien, do zupełnie precyzyjnych wniosków interpretacyjnych w dziedzinie tego, co tu najważniejsze: jak dowolnie postępuje Berent wobec historii, jak swobodnie „kreuje" sposób mówienia i myślenia swych bohaterów, jak bardzo zaciera granice między sobą a przeszłością (bo przecież *bios* historii, jak to Berent rozumie, składa się tak samo z niego samego, przeżywającego swą narodową, grupową przeszłość, jak z tamtej przeszłości do dziś działającej w potomkach; gdyby obok analizy lingwistycznej rzecz zacząć od określenia pozycji narratora i charakteru narracji, i tak by trzeba dojść do generaliów „duszy wspólnej" i jakiegoś osobliwego bergsonizmu historycznego, którym się Berent posługiwał).

W każdym razie żadna analiza opowieści biograficznych nie wskazałaby na postać Napoleona jako na problem ważny, chociażby negatywnie. Ani Berent Napoleona nie kontrował, ani z nim nie musiał sobie interpretacyjnie dawać rady. Jeżeli idzie o motywy i motywacje napoleońskiej polityki, to Berent — w rzadkich na ten temat wzmiankach — zdradza przeciętny poziom ignorancji. Nie ma najwidoczniej ochoty poświęcić więcej uwagi zjawisku postronnemu, obcemu. Jedynie rodzime refleksy kultu Napoleona i napoleonizmu wzbudzają jego krytyczną uwagę, ale tylko wówczas, gdy tamta legenda zasłania jego własną, gdy mu się mąci jego własny, „trzeci" wariant ciągłości rzeczy polskich. Egzotyce zawsze był skłonny przeciwstawić rodzimość. I tak z racji udziału Polaków w wojnie hiszpańskiej napisał z goryczą:

> Ten najtragiczniejszy dla ówczesnego pokolenia rozdźwięk równoczesnej walki o wolność własną i o niewolę cudzą potrafi z czasem przezwyciężyć romantyzm, który owładnie legendą o Legionach, wywyższając w niej wszystko, co chmurne, groźne, dalekie i — Napoleońskie.
> Tam za Pirenejami — dantejskie I n f e r n o po dwakroć burzonej *Saragossy* lub niedościgła brawura bohaterów *Somo-Sierry*; tu zaś w Polsce [...] — tu, pożal się Boże! *Radzymin, Rawa, Góra Kalwaria, Łęczyca*...[22]

Stefan Treugutt

[22] *Nurt*, t. 2, s. 298.

Pożegnania

Niepochwytny Treugutt

Słyszę po latach, od lat, jego głos. Co się staje z głosem po śmierci? Jak jest, skoro go słyszę? „Na ziemi mojej dalekiej, na której mnie może nie będzie", to jak u Miłosza. O Boże. Był.

[O Tadeuszu Borowskim — poecie, z zapisków Stefana Treugutta, 13 VIII 1983]

Właśnie głos Stefana jest tym, co jako pierwsze narzuca się wspomnieniu. I jeśli nawet z jego rozproszonych publikacji da się skomponować dwie, trzy nowe książki i dołączy się je do już wydanych, to i tak najważniejszy będzie Treugutt mówiący.

Jego osobowość objawiała się przede wszystkim w kontakcie bezpośrednim, w rozmowie, w istnieniu momentalnym. Kiedyś takich ludzi nazywano artystami życia. Nie mam na myśli modernistycznej psychosocjologii cyganów czy estetów, lecz swoistą hierarchię wartości, paradoks uwiarygodniania sztuki życiem, ukazywania jej w obrębie doświadczanej tu i teraz wielopoziomowej egzystencji współczesnego człowieka.

Treugutt nie dążył do budowania sobie trwałego monumentu z dzieł własnych, literaturoznawczych czy krytycznoteatralnych. Trochę to lekceważył. Satysfakcję dawało mu ulotne obcowanie z ludźmi, z polityką, z arcydziełem podlegającym próbie dnia dzisiejszego. Dlatego może tak kochał teatr — sztukę realizującą się wobec widowni, dlatego cenił sobie telewizję i radio.

Jego sukces jako protagonisty mass mediów polegał chyba na tym, że

umiał omijać stereotypy kultury popularnej. Kiedyś zapytałam go: jak ty to robisz, że tak przykuwasz uwagę słuchacza i telewidza? Po prostu wyobrażam sobie — odpowiedział — że mówię do pojedynczego człowieka, do jednej osoby, że nawet patrzę jej w oczy. Ten sekret rzemiosła gwarantował dwa osiągnięcia: po pierwsze, intymność kontaktu, a więc jego autentyczność, po drugie, narzucane odbiorcy partnerstwo intelektualne i emocjonalne, wspólnotę przeżyć. Przypomina się „czytelnik idealny" Karola Irzykowskiego.

Oczywiście, trzeba było mieć dar takiej wypowiedzi, i publicznej i prywatnej, która stawała się natychmiastowym zaistnieniem w spektaklu życia. Nie bez znaczenia był tu może aktorski epizod Treugutta. Zagrał on kiedyś prawdziwą rolę sceniczną — w sztuce *Androkles i lew* Shawa. Kiedy po latach trochę sobie z tego podżartowywałam, Stefan spojrzał na mnie rozżalony; było to przecież jego cenne doświadczenie.

Jak tyle innych, o których niewiele wiemy. Powściągliwy w zwierzeniach, napomykał np. niekiedy o swych osobliwych perypetiach młodzieńczych w Drohiczynie, Hajnówce, Siemiatyczach. Był dzieckiem inteligenckim, synem nauczycieli, ale zdarzało mu się za okupacji radzieckiej i niemieckiej bywać pisarzem gminnym i robotnikiem kolejowym. Być może także i tutaj kryją się korzenie jego kontaktowości, umiejętności nawiązywania rozmowy z ludźmi różnych środowisk.

Mówi się słusznie o prostocie jego wypowiedzi. Chodzi tu jednak o prostotę wyrafinowaną, daleką od wszelkiej naiwności, opartą na kulturze osobistej i elegancji porozumiewania się bez wylewności i wścibstwa. Nie wykluczone, że u podstaw znajdowała się pewna filozofia człowieka, poświadczona zresztą na marginesach naukowych prac Treugutta. To przede wszystkim szacunek dla obszarów życia jednostki objętych tajemnicą, zwłaszcza gdy wie się, że są to najczęściej obszary samoułudy, klęski i bezsensu, a więc lepiej zatrzymywać się na progu, na którym wzajemne zrozumienie jest możliwe.

Treugutt był zatem człowiekiem poważnym, ale takim, jakiego znosić łatwo. Także dzięki jego wytrawnemu poczuciu humoru. Mam na myśli nie tyle jego znawstwo anegdoty historycznej, chociaż będąc gigantem lektur pamiętnikarskich doceniał jej znaczenie. Myślę raczej o jego dowcipie incydentalnym, wyłaniającym się bezpośrednio z miłej pogawędki, niestety, nie dającym się z niej wyrwać i przez to niepowtarzalnym. Odcień tego dowcipu był czasem złośliwy, częściej — sceptyczny, najczęściej — wyrozumiały.

Ta postawa życzliwości wobec świata, łatwości sposobu bycia, pewnej — jak to się mówi — koncyliacyjności, bardzo szlachetnie zaowocowała wtedy, kiedy Treugutt był wicedyrektorem IBL-u. Chodzi o czasy politycznie przykre, o szczególną atmosferę roku 1968, o okres, w którym

nie po raz pierwszy, ale tym razem wyjątkowo dramatycznie nad Instytutem zawisła groza likwidacji. Treugutt wykazał wtedy żelazną wytrwałość w opieraniu się atakom podejmowanym przez funkcjonariuszy partyjnych różnych szczebli, mało sobie ważąc uszczypliwości niektórych kolegów, kierowane pod jego adresem jako „naszego Stanisława Augusta". Pamiętam, jak mądrze osłaniał nas po tym, gdy na balkonach Pałacu Staszica w oparach gazu towarzyszyliśmy studentom 8 marca. Równie roztropnie, z zimną uprzejmością wyprowadzał z iblowskiego korytarza zomowców w czasie strajku 15 grudnia 1981. Te korytarzowe bądź konferencyjne pertraktacje, a to z tzw. Kazetem, a to z ludźmi Moczara, a to, potem, z soldateską Jaruzelskiego, miały aurę ponurą. Ale zdarzało się, dochodziły nas takie głosy, że Stefan zagrał *va banque*, ucinając oskarżenia śmiałym żartem; obezwładnieni pretorianie (i pretorianki) władzy ludowej wycofywali się, nie chcąc w oczach sławnego Treugutta uchodzić za ciemniaków.

Charakterystyczna dla Stefana umiejętność postępowania, otwartość na świat widziany w całej ostrości alternatyw, a równocześnie skłonność, by ocalać to co się sprzecznościom wymyka, przejawiała się nie tylko w rejonach wielkiej polityki. Kiedy studiowaliśmy na Uniwersytecie Warszawskim — on zresztą o trzy lata wyżej ode mnie — było na polonistyce dwóch mistrzów, a jednocześnie cichych rywali: Wacław Borowy i Julian Krzyżanowski. Otóż Treugutt, niewątpliwy uczeń Borowego, umiał także inspiracje Krzyżanowskiego sobie przyswoić, godząc jak gdyby te dwie odmienne opcje naukowe. Z Borowego wziął świetny smak, koneserstwo, warsztat filologiczny wysokiej próby, z Krzyżanowskiego — wielostronność zainteresowań, energię poznawczą, waloryzację niskich rewirów kultury jako zjawiska społecznego.

Ta ostatnia kwestia wymaga może chwili uwagi. Chodzi nie tylko o to, że ten sam Treugutt, który był znakomitym komentatorem arcydzieł, nie lekceważył utworów klasy pośledniej. Istotne jest, że umieszczał je na ogólnej skali wartości humanistycznych, że poddawał je z pewną nawet pokorą procesowi rozumienia i wyjaśniania. Dlatego mógł prowadzić uczciwe porady dla amatorów piszących (audycja o ogromnym powodzeniu), dlatego podejmował pytania niestosowne wobec twórczości „wysokiej". Już po jego śmierci pojawiło się np. nagranie radiowe dotyczące Rodziewiczówny. Z jakąż wnikliwością przedstawił tam przesłanki swoiście ksenofobicznej mentalności tej pisarki, nie częstując jednak jej admiratorów wyrazami obrzydzenia czy pogardy, doradzając jedynie historycznie uzasadnioną rezerwę w sytuacji, kiedy i tak górę weźmie zaufanie moralne do autorki *Dewajtisa* i sugestywność jej pióra. Kim innym był zapewne Treugutt w oczach przyjaciół ze środowiska teatralnego, kim innym jeszcze w oczach studentów i doktorantów.

Z tymi ostatnimi pracował bodajże bardzo solidnie, nie dając się zwieść efekciarstwu. Proszony o pomoc, zaskakiwał erudycją, znawstwem wielu dziedzin, nie tylko artystycznych. Dopiero teraz wiadomo, jak skrupulatnie czytał: książki pozostałe w jego bibliotece zawierają na karteczkach dziesiątki glos i uwag warsztatowych oraz pomysłów twórczych. Ale ani w swoich prelekcjach, ani w pracach pisanych nie zanudzał popisami wiedzy. Wrażliwy na wszelką pretensjonalność, obdarzony słuchem językowym (obok muzycznego), także i w tej sferze nie znosił mentorstwa, unikał purystów.

Jego współudział w komitecie redakcyjnym „Tekstów" nie był przypadkowy, skoro oblicze tego pisma kształtowała błyskotliwa inteligencja ludyczna, a zarazem dążenie, by docierać do istoty problemów humanistycznych naszego czasu.

Właśnie w „Tekstach" (1975 nr 5) ogłosił jeden ze swych świetniejszych szkiców napoleońskich, poświęcony opisowi bitwy pod Waterloo w *Pustelni parmeńskiej*. Ulubiona scena z ulubionego Stendhala, pozwalająca bytować w orbicie ulubionego cesarza. Treugutt podjął tu w mikroskali fascynujący go temat mitu i utopii. W tym wypadku chodziło o deheroizację bohatera i deheroizację wydarzenia, jakim była sławetna bitwa, tylko dzięki powieściowemu punktowi widzenia dająca się oglądać „z niskiego poziomu ludzkich oczu". Prawdą o Waterloo okazała się prywatna prawda Fabrycego del Dongo, który płacząc pod wierzbą widział *tout ce qu'on peut voir d'une bataille, c'est-à-dire rien*. Ta złośliwa i cyniczna nieco prawda została przeciwstawiona zarówno okruchom wiedzy o faktach jak i mistyfikacjom kolejnych wersji narracji historycznej oraz epiki batalistycznej. Literackość zatriumfowała nad zdarzeniowością, a tym bardziej nad dyskursem, który zdarzeniami manipuluje. Ten cienko postawiony problem spotkał się w tekście z bardzo bogatą argumentacją, zarówno w zakresie poetyki jak i biografii pisarza. Detalom historycznym śledzonym w relacjach źródłowych towarzyszy autopsja topograficzna zza szyby współczesnego samochodu. Nawet dwunastoletniej panieneczce, której pan Beyle opowiada o bitwie, wyznaczył Treugutt rolę w igraszkach perspektywą. Dowiadujemy się, że chodzi o przyszłą cesarzową Eugenię; to ona była ongiś mimowolnym świadkiem narodzin wielkiego pomysłu pisarskiego. Szkic mistrzowski w wykonaniu, ale przede wszystkim stawiający tezę przekorną wobec historycyzmu, z którym Treugutt był związany podobnie jak całe pierwsze pokolenie iblowskie, ale któremu wystawił tutaj jawne votum nieufności.

Dystans w stosunku do koncepcji dziejów spod znaku Hegla, a choćby i jej nowoczesnych wcieleń, dał się już chyba widzieć w książce o *Beniowskim*. Nie mnie wypowiadać się na temat tej książki, jak i w ogóle

znaczenia prac Treugutta nad romantyzmem. Pamiętam, że w chwili gdy się ukazała, odebrałam ją jako faktyczne przeciwstawienie się szkole historii idei, mimo posługiwania się przez autora pojęciami z zakresu typologii ideologicznej.

W przypadku prac Stefana Treugutta trudno zresztą kwalifikować założenia teoretyczne, z reguły świadomie ukryte za językiem filologii, mitografii, a także konstrukcji stylu w duchu New Criticism. Był z pewnością badaczem niezależnym, nie dającym się uwodzić przez mody metodologiczne. Nie znaczy to, że ich nie śledził czy z nich nie czerpał. Nowe techniki obłaskawiał z zachowaniem własnego porządku myślenia, ale wykazywał dużą dla nich ciekawość.

Najbardziej spektakularnie przejawiała się ona w pasji kupowania książek. Kiedy po Październiku otworzyły się możliwości dotarcia do nowości wydawniczych humanistyki światowej, Stefan był pierwszym i głównym łowcą tych wspaniałości. W poniedziałki o godzinie dziesiątej w księgarni PAN w Pałacu Kultury prezentowała się tzw. wzorcówka. Nasza kilkuosobowa grupka szaleńców książkowych korzystała z dobroci Stefana Żółkiewskiego, który odstąpił nam na zawsze magiczny numer 101, konto osobiste akademika, pozwalające składać indywidualne zamówienia. Skumplowany z szatniarzem, Treugutt rzucał mu zwał naszych palt, kiedy po mozolnym przebyciu największego placu w Europie zajmowaliśmy strategiczną pozycję przy drzwiach wzorcowni, by przepchnąć się przez tłum konkurentów, biegiem znaleźć się koło właściwego stołu i zdążyć zamówić jedyny egzemplarz książki, mogącej okazać się Xięgą. Potem szliśmy do pobliskiej kawiarni „Europa" *vel* „Stolica", siadając przy stoliku, nad którym ścianę zdobiły dwa mocujące się misie; nazywaliśmy je walką dwóch marksizmów. Rozmowa dotyczyła wszystkich najważniejszych kwestii tego świata, ale zwłaszcza obejrzanych przed chwilą książek.

I teraz dopiero uświadamiam sobie, że kiedy dłużej rozpamiętuję postać Stefana, widzę go zawsze wobec wyzwania, jakie stwarza sterta książek o nieznanej jeszcze sile — czy to w zgrzebnym Korbutianum lat czterdziestych, gdy parał się zakurzonymi foliałami jako student, a potem asystent, czy to w jego gościnnym domu, gdzie „całe miejsce" na masywnym stole zabierały stosy edycji grubych i dostojnych, zmyślnie przemieszanych z tandetnymi pozornie *paperbackami*, czy wreszcie właśnie w absurdalnej peerelowskiej wzorcowni, gdzie rozciągało się najwspanialsze pole walki.

Mirosława Puchalska

Treść

Anna Nasiłowska — Intelektualiści, esteci i myśl praktyczna 1

Szkice

Zygmunt Bauman — Miłość wbrew przeciwnościom. Intelektualiści a państwo 7

Edward Balcerzan — Przyboś metafizyczny 20

Maria Delaperrière — Metafora absolutu 35

Jarosław Marek Rymkiewicz — Kilka szczegółów 56

Roztrząsania i rozbiory

Joanna Zach-Błońska — „Szatańska pycha" Norwida 73

Tadeusz Zgółka — Oni nami mówią 77

Tomasz Lewandowski — O podręczniku „Młoda Polska" z 1991 r. nie tylko polemicznie 83

Portrety

Stefan Morawski — Pochwała Leszka Kołakowskiego . . 91

Zofia Stefanowska — Michał Głowiński jako badacz nowomowy 101

Autobiografia

Kazimierz Bartoszyński — Esprit d'escalier — czyli rzecz o prywatnej metodologii 106

Archiwalia

Nowaczyński i Brzozowski o Berencie. Inedita z archiwum „Przeglądu Tygodniowego" (oprac. *Ryszard Nycz*) 129

Stefan Treugutt — Fides, Spes, Caritas 143

Pożegnania

Mirosława Puchalska — Niepochwytny Treugutt 155

Warunki prenumeraty:
Roczna prenumerata krajowa: **60 000 zł** (6 numerów)
Roczna prenumerata zagraniczna:
— kraje postkomunistyczne: **120 000 zł** (pocztą zwykłą)
— inne kraje świata: **36 USD** (pocztą lotniczą).
Cena pojedynczego egzemplarza — **6 USD**.
Wpłaty prosimy kierować na konto: Instytut Badań Literackich PAN, „Teksty Drugie", PBK XIII O. Warszawa, nr 370044-3489, z podaniem dokładnego adresu nadawcy.
Istnieje także możliwość opłacenia prenumeraty dolarowej czekiem, który prosimy kierować na adres redakcji.

Bieżące numery do nabycia w księgarniach OR PAN

Warszawa	Pałac Kultury i Nauki
Lublin	ul. Marii Curie-Skłodowskiej 5
Poznań	ul. Mielżyńskiego 27/29
Wrocław	ul. Plac Wolności 7
Katowice	ul. Bankowa 11
Białystok	ul. Nowotki 13
Kraków	ul. Św. Marka 22

oraz m. in. w księgarniach:

Warszawa	Księgarnia im. B. Prusa, Krakowskie Przedmieście 7
	Księgarnia Reprint, Krakowskie Przedmieście 71
Kraków	Księgarnia Naukowa, ul. Podwale 6
	Księgarnia Orlando, Plac Wszystkich Świętych 7
	Księgarnia Znak, ul. Sławkowska 1
Wrocław	Księgarnia Ossolineum, Rynek 6
Toruń	Księgarnia Indeks, ul. Kościuszki 9
Szczecin	Księgarnia Scriptum, ul. Mazurska 26
Gliwice	Księgarnia Kultura, ul. Zwycięstwa 17
Opole	Księgarnia Akademicka, ul. Matejki 12
Gdańsk	Księgarnia Domu Książki, ul. Wita Stwosza 55

„Teksty Drugie" są kontynuacją dwumiesięcznika „Teksty" wydawanego w latach 1972–1981 i zawieszonego w stanie wojennym.

Drukowano w Bielskich Zakładach Graficznych, zam. 2331/92

W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH

Jan Błoński
O „Wiadomościach Literackich"
Włodzimierz Bolecki
Polowanie na postmodernistów
Zdzisław Łapiński
Postmodernizm. Co to i po co?
Wiktor Erlich
Młodość w szeregach Bundu
Zofia Stefanowska
Stereotyp Żyda u Mickiewicza
Anna Wierzbicka
Żydowska etnografia mowy
Eugenia Prokop–Janiec
O Żydzie wiecznym tułaczu
Jacek Leociak
Norwid o Żydach
Clare Cavanagh
Poetyka żydowskości
Wiktor Weintraub
Klaczko i jego kompleks
Janusz Sławiński
O Romanie Zimandzie

ISSN 0867-0633